Nr. 1 i 2.

ROCZNIKI

OBYDWÓCH ZGROMADZEŃ

Św. WINCENTEGO à PAULO.

Rok XXIII.

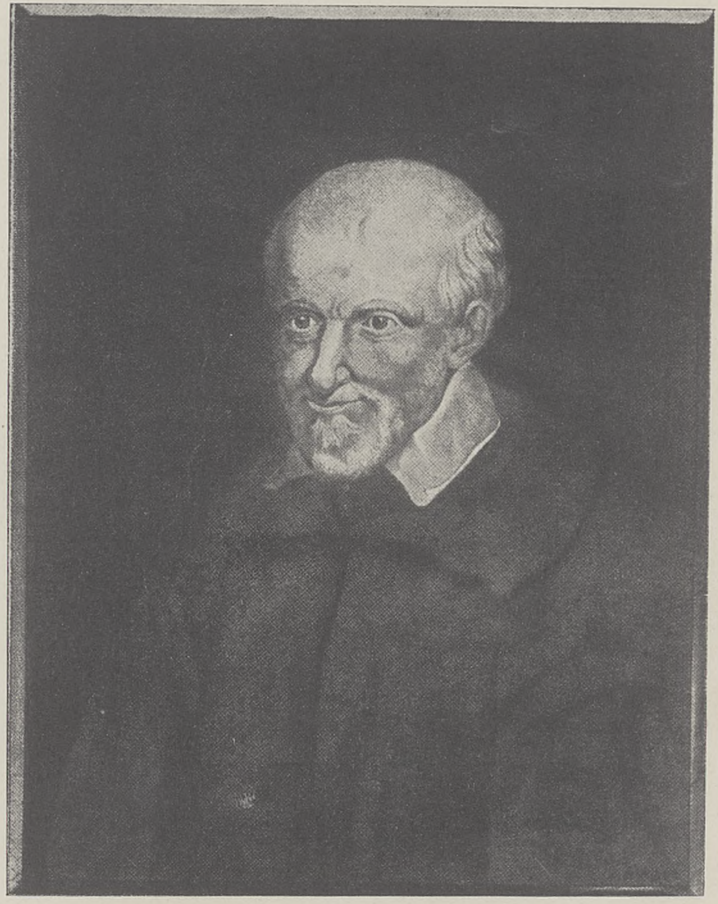


KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład Księży Misjonarzy.
1921.

SPIS TREŚCI:

POD ZARZĄDEM JÓZEFA DZIUBANOWSKIEGO.

CZCIONKAMI DRUKARNI ZWIĄZKOWEJ W KRAKOWIE, MIKOŁAJSKA 13.



Św. WINCENTY a PAULO
portret z roku 1654.

Nieznany portret św. Wincentego.

Obraz, który przynosi numer niniejszy Roczników, przedstawia św. Wincentego z r. 1654. Jestto fotograficzna reprodukcja portretu ołówkowego, zrobionego w r. 1654, przez Angielikę Labory. Oryginał jego przechował się od 1654 r. w rodzinie de Comet, której dzieje tak nieodłącznie połączyły się z historją św. Wincentego. Ostatni potomek rodziny de Comet, pani vice-hrabina de Gambest ofiarowała go w Bordeaux dnia 28 października 1898 r. księżom Misjonarzom i obecnie znajduje się w domu Zgromadzenia w Berceau de s. Vincent.

Jestto portret nieznany, ponieważ znajdował się dotąd w prywatnem posiadaniu jednej rodziny, która z pietyzmem, ale zazdrosnem okiem go strzegła, jako drogą relikwję po Świętym. Nieznał go nawet Artur Loth, który we wspaniałem dziele ilustrowanem „S. Vincent de Paul et sa mission sociale" (Paryż, 1881), zebrał skrzętnie wszystkie portrety i szkice, które odnoszą się do św. Wincentego.

Zapewne więc miłą nowością będzie ten obraz i dla naszych czytelników, bo znać go mogą tylko ci bardzo nieliczni, którzy go oglądali w Berceau de s. Vincent.

X. W. S.

Nieco statystyki Zgromadzenia.

Skoro powoli stosunki już się uspokajają po zawierusze wojennej, warto się rozejrzeć w śladach, jakie wojna pozostawiła w Zgromadzeniu. Za momenty porównawcze niech nam posłuży rok 1914 i 1920, a za źródła, na których opierać się będziemy: 1) Catalogue des maisons et du personnel z r. 1914 i 1920, 2) Cyrkularze Ojca Generała z 1. I. 1920 i z 1. I. 1921, 3) Spis domów i osób prowincji polskiej z 1920 r., 4) Zeitschrift für Missionswissenschaft 1917-21.

1. Najpierw stwierdzić należy, że jedna prowincja Zgromadzenia przez zawieruchę wojenną zupełnie zniesioną została, a mianowicie Abisynja. Misja ta przed wojną liczyła 8 księży i 2 braci i dzieło wiel. X. Jakobisa podtrzymywała wśród niesłychanych trudności. Dziś jej niema.

Natomiast zanotować należy, że powstały 2 nowe prowincje, t j. węgierska i jugosłowiańska. Wyrosły obie z gruzów rozpadającej się Austrji. W r. 1914 liczyła prowincja austrjacka 205 członków (86 księży, 20 kleryków, 99 braci). Na skutek wojny światowej dzieli prowincja austrjacka losy państwa i w r. 1920 już na tym samym terenie istnieje 1) prowincja austrjacka z 124 członkami (55 księży, 14 kleryków, 55 braci), 2) prowincja węgierska z 14 członkami (12 księży, 2 braci) i 3) prowincja jugosłowiańska z 68 członkami (27 księży, 18 kleryków, 23 braci). Austrjaccy konfratrzy mają 9 domów: 1 w Grazu, 1 w Eggenberg, 1 w Salzburgu, 1 w Schwarzach, 4 w Wiedniu, 1 w Konstantynopolu. Prowincja węgierska ma 2 domy w Budapeszcie a 1 w Pilis Csaba. Prowincja jugosłowiańska ma 1 w Lublanie, 1 w Cilli i 1 w Grad blisko Gorycji.

Zmiany wielkie też zaszły w prowincji Belgo-Holandji, która przed wojną miała 6 domów a teraz liczy ich 9; liczba kleryków z 35 w r. 1914, wzrosła na 58 w r. 1920.

Prowincja niemiecka wskutek wypadków wojennych niema już głównego swojego domu w Theux lecz w Kolonji, gdzie wskutek braku innego pomieszczenia i utrzymania, kilkunastu księży poprzyjmowało różne doraźne kapelanje.

2. Jeżeli weźmiemy pod uwagę całe Zgromadzenie, to liczba członków wynosiła:

w Europie	1914:	2273	(księży 1168,	kleryków 524,	braci 581)
	1920:	2145	„ 1173	„ 495	„ 477
w Azji	1914:	365	„ 299	„ 39	„ 27
	1920:	385	„ 299	„ 41	„ 45
w Afryce	1914:	35	„ 29	„ —	„ 6
	1920:	20	„ 17	„ —	„ 3
w Ameryce	1914:	866	„ 627	„ 135	„ 104
	1920:	883	„ 627	„ 171	„ 85
w Oceanji	1914:	62	„ 51	„ 2	„ 9
	1920:	85	„ 73	„ —	„ 12

Wszystkich Misjonarzy razem na całym świecie było w 1914 r. 3601, w tem księży 2174, kleryków 700, braci 727, zaś w r. 1920 3744, t. j. księży 2316, kleryków 760 braci 668.

Porównując więc rok 1914 z r. 1920 w rozwoju liczbowym Zgromadzenia, dochodzimy do wniosku, że po wojnie jest nas o 143 więcej. A mianowicie jest więcej o 142 księży i o 60 kleryków, ale jest mniej o 59 braci.

Nie znaczy to jednakże, jakoby Zgromadzenie przez wojnę nie poniosło strat w ludziach. Wiemy zkądinąd, że francuskich konfratrów kilkudziesięciu padło w rowach strzeleckich, że Misjonarzy włoskich tylu zginęło na froncie, iż trudno się podźwignąć niektórym domom, wiemy, że misja abisyńska jest zupełnie zniesiona, że w okropnej rzezi chrześcjan w Persji męczeńską śmiercią zginęli misjonarze: biskup Sontag i księża: Dinka, L'Hôttelier i Miraziz. Samo zestawienie liczb z r. 1914 i 1920, nie dowodzi niczego

o stratach. Przeciwnie, na pozór dowodzi, że zyskaliśmy w tym czasie, bo jest nas o 143 więcej.

3. Ale jak dalece mylnym byłby taki sąd, można się przekonać choćby z naszej polskiej prowincji. W r. 1914 było nas w prowincji 126, w tem księży 118, kleryków 63, braci 45 a w r. 1920 już 226, w tem księży 127, kleryków 53, braci 46. A zatem w r. 1920 było nas w prowincji o 100 członków więcej niż w r. 1914, tymczasem poniosła prowincja nasza w siedmioleciu 1914—1920 takie straty, jak nigdy, bo aż 31 Misjonarzy polskich umarło, t. j. 15 księży, 8 kleryków i 8 braci.

Skoro już mowa o naszej prowincji, to statystyka nasza stwierdza, że prowincja polska należy do najpotężniejszych prowincji Zgromadzenia.

Prowincji europejskich jest 17, a wśród nich tylko dwie są liczebnie silniejsze, niż nasza prowincja; mając 226 członków ustępujemy w Europie tylko wobec prowincji paryskiej, która ma 243 członków i wobec madryckiej, która ma 525 członków. Wszystkie inne prowincje europejskie są słabsze. Poza Europą jest 16 prowincji, ale z nich jedna tylko prowincja Wschodnich Stanów Ameryki Północnej liczebnie nas przerasta, bo ma 245. Na liczbę więc jesteśmy czwartą z szeregu prowincją najsilniejszą (pierwsza Madryt, druga Wschodnie Stany, trzecia Paryż); wszystkie inne prowincje w liczbie 29 są mniejsze od prowincji polskiej.

X. W. Szymbor.

Rzeź Misjonarzy i chrześcian w Persji.

Przed wojną pięknie rozwijała się misja wśród chaldejczyków w Persji. Nasi konfratrzy mieli w Persji 5 domów misyjnych: 1) w Urmiah, gdzie rezydował ks. arcybiskup Jakób Emil Sontag, jako delegat apostolski dla Persji, wizytator prowincji i superjor domu wraz z pięciu innymi Misjonarzami, 2) w Ispahan, gdzie było dwu Misjonarzy, 3) w Kozrowa, gdzie trzech Misjonarzy utrzymywało seminarjum dla duchowieństwa chaldejskiego założone już w r. 1841, 4) w Tauris z trzema Misjonarzami i 5) w Teheranie z pięciu Misjonarzami. Gwałtowne i krwawe prześladowanie chrześcjan, które wybuchło podczas wojny, zniszczyło prawie doszczętnie całą misję perską, tysiące chrześcjan wymordowali muzułmanie, czterech Misjonarzy zginęło śmiercią męczeńską w tem i arcybiskup Sontag, z pięciu domów misyjnych dwa i to najważniejsze: w Ispahan i w Kozrowie nie istnieją a trzy inne w Tauris, Urmiah i Teheranie ledwie wegetują, z dziewiętnastu zaś misjonarzy zaledwie siedmiu pozostało, ale i oni niepewni życia na wulkanie siedzą wśród ludności, która zakosztowała w mordach i rzezi.

Straszne dni prześladowań krwawych opisuje w liście do O. Generała, datowanym 25 kwietnia 1919 r. z Teheranu, ks. Arystydes Chatelet, który był naocznym świadkiem wypadków:

Obiecałem nadesłać szczegóły o smutnych wypadkach lipcowych zeszłego roku, które nawiedziły nasze biedne misje w Urmiah i Kozrowie. Opóźniłem się dlatego, że nie miałem żadnej komunikacji z temi prowincjami, ponieważ ciągle jeszcze czekam na rezultat dochodzeń oficjalnych. Odwleka się je z tygodnia na tydzień.

Dnia 31 lipca ostatni uchodźcy chrześcijańscy opuścili Urmiah przez bramę dignalską; z przeciwnej strony pierwsze straże kurdoturków wkraczały do miasta przez bramę singarską. Wewnątrz cała ludność muzułmańska, mężczyźni i kobiety, uwolnieni od panowania dżilosów, uzbroili się w co kto mógł i żądni zemsty, ruszyli przeciwko misji katolickiej, gdzie arcybiskup Sontag był wraz z tysiącem uchodźców chrześcijańskich, przeważnie ze Salmas.

W domu misyjnym przebywał wśród domowników jakiś naczelnik muzułmański Archad Homayun, któremu w czasie rozruchów ks. arcybiskup Sontag, życie ocalił. Pod pozorami gładkimi, słówkami słodkiemi, człowiek ten chytry, krył głęboką nienawiść do chrześcjan i bezgraniczną pożądliwość, którą podniecały bogactwa powierzone arcybiskupowi przez chrześcjan przed ich ucieczką. Ten podły człowiek, który arcybiskupowi zawdzięczał swe życie, który oszukiwał arcybiskupa i naszych chrześcjan chytremi obietnicami, wtargnął do mieszkania arcybiskupa i w tym samym pokoju, w którym ukrył go był arcybiskup przed jego wrogami, oświadczył bezczelnie arcybiskupowi, że zaraz każe go rozstrzelać. Przed drzwiami klęczały płaczące kobiety chrześcijańskie. Przechodząc mimo, jak P. Jezus, który w drodze na Golgotę, pocieszał niewiasty płaczące, zatrzymał się arcybiskup, zdjął krzyż biskupi i dał go jednej z nich nie chcąc, aby ten przedmiot święty dostał się w ręce niegodne. Potem szedł dalej z siepaczami zupełnie spokojnie. Ci ustawili swojego dobroczyńcę na dziedzińcu przed kościołem. Dwa strzały się rozległy i arcybiskup Sontag padł nieżywy, jako męczennik obowiązku pasterskiego. Ciało jego rzucono na śmietnisko, gdzie parę dni przeleżało bez pogrzebu.

Po tej haniebnej zbrodni podły zdrajca Archad Homayun, pootwierał drzwi domu misyjnego dla motłochu miasta spragnionego krwi. Motłoch rzucił się do rzezi. W podwórzach, w kościele, w pokojach, na dachach tarasowych szkoły mordowali muzułmanie szablami, bagnetami, nożami, karabinami i rewolwerami, zabijali kobiety i dzieci

bez litości, mordowali mężczyzn uciekających w popłochu, księży w ostatniej modlitwie. Wielu uciekało na terasy, ale ścigani przez bandytów, rzucali się z nich w ucieczce lub gwałtem spychani z nich w dół, gdzie tłum rozwścieczony czekał i zarzynał ich sztyletami. Cała misja splynęla krwią. Z tysiąca uchodźców chrześciańskich zostało nieco więcej niż dwieście.

O parę minut sląd inne okrucieństwa się dokonywaly. Ks. Natanael Dinka w mieszkaniu zajętem kiedyś przez francuską misję sanitarną, opiekował się 2.000 muzułmanów i bronił ich przed gniewem chrześcjańskich dżilosów zrozpaczonych, że muszą miasto opuszczać. Został szablami literalnie porąbany, zdaje się, przez tych właśnie, których bronił. Ucięto mu głowę, a w końcu przez jakiś giest haniebnej brutalności jeszcze mu ci niegodziwcy krzyże złamali.

Turcy po swem przybyciu, tak sami mówią, położyli kres tej okropnej rzezi. Tłum się cofnął pędząc przed sobą chrześcjanki, które wzięli do niewoli, każąc im nieść obfitą zdobycz, bo bogactwa chrześcjan uciekających były schowane w domu misyjnym. Turcy twierdzą jeszcze, że z honorami oddali ostatnią poslugę arcybiskupowi i misjonarzom francuskim. Śledztwo wykaże, czy tak jest. Ale oni przybyli z Salmas, a tam pod ich oczyma a może i na ich rozkaz ks. Lhotellier i ks. Miraziz, kilku księży chaldejskich i parę tysięcy chrześcjan wyrżnięto wśród okrucieństw. Pierwszym ich czynem w Urmiah, był rozkaz nakazujący mieszkańcom miasta pod karą śmierci wydawać chrześcjan, którzy się schronili u nich. Ten i ów bowiem przez litość, przez przyjaźń lub przez politykę dał schronienie u siebie rodzinom chrześcjańskim. Z tymi, którzy mieli na tyle czasu, aby schronić się w misji amerykańskiej, mogło tych nieszczęśliwych być 6000—7000. Otóż to była robota Turków. Oddzielono mężczyzn od kobiet. Pierwszych wyrżnięto po największej części. Kobiety obnażono zupełnie i prowadzono przez ulice miasta pod świstem batów, pod bezecnym śmiechem motłochu. Jak u barbarzyńskich razziasów Centralnej

Afryki, każdemu wolno było wybierać wśród tych niewolnic. Potem najsilniejszych z mężczyzn i kobiet skierowano wśród razów od kolb bez pożywienia na równinę pod Salmas, gdzie mieli sprzątnąć żniwo. Poszło ich 2000, wróciło 300. Znęcanie się, głód, epidemje, gwałty święciły trjumfy.

Domy jeszcze stały. Lecz w chwili zawieszenia broni, kiedy Turcy się cofnęli, muzułmanie miasta jeszcze panowali niepodzielnie. Trzeba było za wszelką cenę przeszkodzić powrotowi chrześcjan; a już mówiono o nim. Więc domy zburzono, misyjne domy z dymem puszczono, zniszczono wszelki dobytek. Tu i ówdzie mordowano, ale już nie masowo. Znęcano się nad nieszczęśliwemi niedobitkami, którzy uszli poprzednich rzezi. Ta nienawiść nienasycona dochodziła do szału i czepiała się martwych przedmiotów. A jakby nie dosyć było tej czarnej niewdzięczności, której ofiarą padli arcybiskup Sontag i ks. Dinka, którzy w ostatniej jeszcze chwili nimi się opiekowali, zbezczeszczono jeszcze grobowiec Misjonarski. Kości, te resztki czcigodne delegatów apostolskich, Misjonarzy, Sióstr miłosierdzia, którzy przez długie lata dawali całe swoje poświęcenie dla dobra ich kraju, rzucili bezwstydnie do kanałów miejskich. Tak dokonała się ostateczna ruina misji.

Arcybiskup Sontag, biskup chaldejski z Urmiah ks. Tomasz Audo, trzech Misjonarzy, dziesięciu księży chaldejskich, kilka tysięcy chrześcjan zamordowanych, nasze misje spalone, domy naszych chrześcjan zburzone, ich dobytek zniszczony, oto straszna rzeczywistość.

Mgr. Petrus Aziz, biskup chaldejski Kozrowy, uciekłszy przed rzezią do misji w Urmiah, schronił się z sześciu księżmi w dawnym kościele nestorjańskim, pewnie jest z nimi w Mosul. Pomiędzy naszymi uchodźcami z Bakuba pod Bagdadem jest też dziewięciu księży katolickich. Siostry Miłosierdzia z Urmiah są tu, zawezwane jeszcze w sam czas przez konsula francuskiego do Tauris. Księdza Clarys, z pozostałymi przy życiu czterema seminarzystami posłałem do naszych katolików do Urmiah, bo grasują tam wśród

nich choroby. Ks. Stefan, kapłan ormiański z Tauris, jest w Kozrowa. Z pośród 7000 chrześcjan w Urmiah w chwili ucieczki ludu chaldejskiego mamy obecnie 1500. Z 5.000 chrześcjan w Kozrowie, zostało się tylko 200—300. Z 60.000 którzy uciekali, zginęło 10.000.

Przy pomocy tych niedobitków mamy się dźwigać z gruzów. Ażeby zgromadzić ten lud rozpierzchły po przestrzeniach setek kilometrów, ażeby go przywrócić do ognisk domowych, ażeby go przeżywić przez jeden rok i dać mu sposobność do życia na przyszłość, dokonano nadzwyczajnych wysiłków i chętnie wierzę, że trwać one będą dalej. Ale to tylko Bóg sam może nas natchnąć tą energją nadprzyrodzoną, byśmy trwali na wysokości zadania. Mówią nam księgi św., że prorok Ezechiel na rozkaz Boży zgromadził kości rozsiane po bezgranicznej pustyni i słowem swojem przyodział je ciałem i dał im życie. Oby ta wizja prorocza spełnić się mogła i duchowo i materjalnie w naszej drogiej a nieszczęśliwej misji perskiej. Tu na miejscu zrobimy, co w siłach naszych; ale niechby pracownicy, co są zdala od nas, przybyli i podjęli pracę opuszczoną, a miłosierne dusze niechby nas wspomagały.

Dom św. Wincentego w Krakowie na Kleparzu *).

Początki Domu.

Każde dzieło, zwłaszcza dzieło boże, zaczyna się zwykle od rzeczy maluczkich; Bóg w tem właśnie lubi dobrotliwą a zarazem potężną działalność swoją zaznaczać, ze z początków tak błahych i nieznacznych, wielkie i zdumiewające wyprowadza dzieła. Ludzie, sami tych dzieł świadkowie, albo i narzędzia, zwykle nawet nie przypuszczają, by rzeczy drobne mogły być początkiem dzieł poważnych; dlatego mało zwracają na nie uwagi.

Sześćdziesiąt lat dochodzi, jak powstał ten dom kleparski, dziś tak obszerny w swoich rozmiarach, a nam wszystkim tak drogi. Konfratrzy, którzy tu byli na początku, znajdowali się w tak trudnych warunkach, że przypuszczać nie mogli, aby ich dzieje mogły później kogo interesować, zresztą zajęci pracą nad siły i liczbę, starali się tylko dopilnować dzieł swego powołania, wcale prawie nie myśląc o jakichkolwiek zapiskach czy kronikach. Spiszemy tutaj to, co się dało pozbierać z ich nader szczupłych notatek, tudzież z opowiadania starszych, a później z pamięci średniej generacyi, aby ten tak drogi nasz dom nie był swojej historji pozbawiony.

Dziwna doprawdy Opatrzność Boża nad naszem Zgromadzeniem! Kiedy nad prowincją polską, gdzie przez 200 lat z górą okrywał Bóg Zgromadzenie nasze niesłychaną

---

*) Jestto artykuł ś. p. ks. Sokołowicza, napisany jeszcze w r. 1903 a nowszemi wiadomościami uzupełniony przez Redakcję „Roczników".

świetnością, już wisiała straszna katastrofa z r. 1864, prawie równocześnie czyni Bóg przygotowania, by Zgromadzenie ożywić w tej tu części Polski. Konfratrzy domu stradomskiego, który jedyny jako monument z dawnych czasów pozostał, nader nieliczni, zaledwie podołać mogli pracy około seminarjum dyecezjalnego, o misjach wtenczas nawet mowy nie było, a Zgromadzenie Sióstr Miłosierdzia w Galicji, skutkiem coraz trudniejszej komunikacji z Warszawą, nie miało opieki duchownej w myśl św. Fundatora naszego. Do Lwowa, gdzie było centrum quasi-prowincji tego Zgromadzenia, przybył naprzód z Warszawy dawny wizytator ks. Jakób Basiński, a gdy tenże, licząc lat 83, zmarł dnia 3 kwietnia 1848, dojeżdżali tam ze Stradomia z posługą duchowną konfratrzy, a w r. 1859 wysłano znowu z Warszawy ks. Jana Siedleckiego, który stale we Lwowie osiadł, pełniąc obowiązki spowiednika i exhortatora Sióstr. Gdy znowu w Krakowie na Kleparzu zaczęto myśleć o utworzeniu centralnego domu dla Sióstr Miłosierdzia, odwołano ze Lwowa ks. Siedleckiego, a domy Sióstr odwiedzał i obowiązki ich dyrektora pełnił sam ks. Szczepan Klinger ze Stradomia. Był to kapłan pełen ducha bożego i całem sercem obydwom rodzinom św. Wincentego oddany. Ponieważ zaś właśnie w tym czasie domek siostrzeński na Kleparzu hojnie poparł fundacją swoją ks. biskup Ludwik Łętowski, była zatem dobra sposobność urzeczywistnienta dawnych planów, tj. sprowadzenia Misjonarzy, którzyby duchowną pieczę nad domem centralnym objęli.

Już pod koniec roku 1861 wysłał O. Generał Étienne ks. Piotra Konrada Stroevera, niemca rodem, z Kolonii, jako kapelana względnie dyrektora Sióstr do Krakowa na Kleparz, a równocześnie wezwał ze Stradomia ks. Wiktora Ożarowskiego, by, jako władający polskim językiem, ks. Stroeverowi pomagał w pracy duchownej. Ci dwaj konfratrzy mieszkali obok domu Sióstr przy kościele świętych Szymona i Judy na Kleparzu. ~~Komora ta trwała nie całe pół roku.~~ Obok kleparskiego rynku stał dom księży Pijarów, dla braku

kapłanów zupełnie pusty, a zarządzał nim ks. Leopold Górnicki, kanonik kapituły katedralnej krakowskiej. Z nim się umówili konfratrzy i najęli mieszkanie za 600 złr. rocznego czynszu. Oprócz ks. Stroevera i Ożarowskiego, którzy się od Sióstr przeprowadzili, przybył tu nadto ks. Aleksander Popławski, który świeżo nadjechał z Warszawy, gdzie jako świecki kapłan, ukończywszy akademię, wstąpił do naszego Zgromadzenia; nadto ks. Jan Siedlecki, świeżo ze Lwowa na Kleparz przeniesiony, tudzież z Kolonii br. Bartłomiej Voss. U księży Pijarów mieszkali prawie rok, od połowy roku 1862 do połowy 1863, zajmując się Siostrami, obsługując szpital św. Łazarza i inne dzieła naszemu powołaniu właściwe pełniąc. Księża Ożarowski i Stroever pracowali u Sióstr, ks. Siedlecki był prokuratorem domu i chodził do szpitala, a ks. Popławski pomagał, tudzież udzielał nauki religji w pensjonacie u p. Józefczyka.

Tymczasem pilno było tak Siostrom jak i konfratrom wyszukać jaki osobny kąt dla Misjonarzy. Siostry nabyły od hr. Leona Rzewuskiego dosyć spory kawał ziemi położony między ul. Warszawską a ul. św. Filipa; do tego to ogrodu znowu przytykała realność jakiegoś prywatnego właściciela browaru i karczmy, na części tej realności były jeszcze resztki kościoła św. Filipa. Po długich i mozolnych zabiegach udało się te wszystkie parcele nabyć Siostrze Talbot, co nastąpiło już w kilka lat po osiedleniu się konfratrów na Kleparzu. Na razie parcele nabyte od hr. Rzewuskiego tak rozdzielono: znaczna część ogrodu ciągnąca się od ulicy Warszawskiej wprost w kierunku Pędzichowa została zupełnie w rękach Sióstr, część zaś ogrodu od ulicy św. Filipa ustąpiły Siostry na dom dla księży Misjonarzy, zastrzegając sobie prawo własności, a nam ustępując użytek domu i ogrodu. Te parcele sięgały aż po dzisiejszy kościół włącznie, resztę zaś później nabyto.

O. Generał Étienne w r. 1864 wydał rozporządzenie, które tu doszło dnia 17 lipca, jak Siostra Talbot o tem księdzu Oudiette doniosła, a mocą którego dom centralny Sióstr

w Krakowie ma kleparskim Misjonarzom dostarczać: mieszkania wolnego od podatku, pożywienia, bielizny i prania tejże.

Na wzmiankowanych tedy parcelach wybudowano już w roku 1862 prowizoryczny domek, mający być na razie kapelanią, a kiedyś centralnem prowincji naszej ogniskiem. Plany wykonał architekt Beym, a robót doglądał Strauss. Z budynku, który dziś jak koszary wojskowe wygląda, a znaczną część ulicy św. Filipa zajmuje, wzniesiono na razie od strony kościoła dzisiejszego prawie całe drugie piętro (tj. tu, gdzie zwykle wizytator prowincyi mieszkał); tuż obok tego aż do poprzecznego korytarza, było tylko jedno piętro, a zatem, aż po dzisiejszy refektarz włącznie, był parter. Za tem stał domek parterowy osobno (gdzie obecnie kuchnia) w nim gromadzono ubogich i rozdawano im posiłek. Późniejsza zakrystja była kapliczką domową czyli oratorjum.

Dnia 27 czerwca 1863 r. zaczęli się konfratrzy przeprowadzać od Pijarów, a urządziwszy wszystko od 7 lipca 1863 roku już stale tu osiedli. Tymczasem, prawie równocześnie z tem przeprowadzeniem, księdza Stovera odwołano do Chełmna na superjora domu, który się udało konfratrom otworzyć, a na miejsce jego przysłał O. Generał ks. Piotra Henryka Oudiette. Zamieszkał tu tedy: ks. Oudiette, jako superjor domu i dyrektor Sióstr; ks. Ożarowski był asystentem domu i pomagał w pracy u Sióstr; ks. Siedlecki był prokuratorem domu, ks. Aleksander Popławski kapelanem szpitala św. Łazarza; br. Bartłomiej Vos był z nimi.

Z tych pierwszych chwil pobytu konfratrów na Kleparzu zanotować wypada wizytę Najprzewielebn. O. Generała Étienne, który tu przybył z ks. Devin, swoim sekretarzem, tudzież z ks. Louison, kapłanem naszego Zgromadzenia. Dnia 3 września 1863 r. poświęcił O. Generał cały nasz dom i oratorjum, a dnia następnego w Jego obecności ks. Aleksander Popławski u św. Łazarza pierwszy z nowej prowincji złożył ślubowania.

Pobyt w tym nowym domku głęboko zapisał się w sercu O. Generała, bo widzimy z dalszych notatek, jak dbał o to, żeby tu siły misjonarskie skupiać, zasilając ten dom coraz to nowymi pracownikami.

Dnia 3 października 1864 r. przybył tu z Paryża ks. Walenty Rademacher, a niedługo za nim, również z Paryża, przybył 23 listopada 1864 r. ks. Karol Ernst. Dnia 24 sierpnia 1865 r. posyła tu tenże O. Generał wprost ze seminarjum w Paryżu ks. Józefa Kiedrowskiego. Dnia 19 grudnia 1865 wstąpił do Zgromadzenia ks. Leon Bogatko, a wkrótce po nim, 29 grudnia tegoż roku, przybył na Kleparz ks. Tomasz Popławski, jedna z patryarchalnych postaci u św. Krzyża w Warszawie. Natomiast ks. Aleksander Popławski dnia 23 listopada 1864 wrócił do Warszawy, gdzie prawie na kasację Zgromadzenia trafił.

Jeszcze za księdza Oudiette zatwierdził O. Generał dnia 28 marca 1865 r., tę nową prowincję, jako prowincję krakowską. Dnia 20 lipca 1866 r. odjechał ks. Oudiette do Paryża, a na jego miejsce przybył na Kleparz, dnia 15 sierpnia 1866 r. ks. Piotr Soubieille, wysłany jako superjor domu kleparskiego i dyrektor Sióstr w Galicji, a zarazem wizytator nowej prowincji, w skład której wchodziły domy: kleparski, stradomski, poznański i chełmiński. Odtąd coraz piękniej dom kleparski, a z nim i nowa prowincja, dźwigać się i rozkwitać poczęły. Gdy pod innymi zaborami domy nam zamykano, tu się chronili konfratrzy, a były to siły znakomite, bo ogniem prześladowania wypróbowane.

Gdy w r. 1867 zamknął rząd pruski dom nasz w Poznaniu, przybył stamtąd dnia 15 marca ks. Filip Mirucki, który nam tu potem przez trzydzieści lat świątobliwością życia, głęboką nauką, niezmordowaną gorliwością przyświecał. Tegoż roku dnia 13 maja, przybył ks. Jędrzej Płoszyński z Paryża, a za nim dnia 1 lipca z Poznania ks. Józef Kostrzewski, dnia 2 sierpnia zaś przybywa z seminarjum z Paryża ks. Konstanty Domagalski. Następnego roku 1868, dnia 7 października przybył jako dyrektor kleryków ks. Jan Coursières z Paryża,

a 9 listopada tegoż roku wrócił do nas dawny konfrater prowincji litewskiej ks. Józef Bąkowski. W r. 1870 dnia 12 czerwca przybył z Chełmna ks. Jan Binek, a dnia 2 marca 1874 ks. Franciszek Block.

Dnia 19 września 1869 przybył na Kleparz posłany z Paryża ks. Józef Wabner, zabawił tu zaledwie kilka miesięcy, bo już 20 czerwca 1870 wrócił do Paryża.

Dnia 10 grudnia 1870 r. przybył z Paryża ks. Adam Więcek, pełnił urząd prokuratora domu do 2 marca 1874, poczem przeniósł się na Stradom w tymże charakterze, a w jego miejsce prokurę kleparską objął ks. Melchior Wdzięczny, który tu przybył ze Saloniki dnia 12 listopada 1873 roku.

Dnia 27 lipca 1881 r. przysłał z Paryża O. Generał Fiat ks. Eugeniusza Lechevallier, w charakterze dyrektora Seminarii Interni et scholasticorum. Dnia 17 lutego 1882 przybył tu znowu z Cilli w Styrji, z prowincji austrjackiej, ks. Antoni Kowalik. Na początku r. 1885 przybył do prowincji naszej ks. Franciszek Grzegdala ze Syrji; zabawiwszy krótko na Kleparzu przeznaczony został do domu we Lwowie, gdzie przebył lat dziesięć. Pod jesień tego roku przybył z Kurlandji ks. Franciszek Kamiński, a w czerwcu 1888 roku wrócił do nas ks. Antoni Gąsiorowski, obaj z dawnej prowincji warszawskiej. O wszystkich bliższe szczegóły niżej się poda.

Z naszego Seminarium Internum, które na Kleparzu już od roku 1867 prowadzono, wyszło kilku kapłanów. W roku 1873 wyświęceni zostali na kapłanów księża Karol Szczepański i Jan Szczur; w r. 1874 ks. Ludwik Olszański; w r. 1875 ks. Kazimierz Siemaszko; następnie ks. Florjan Hora, ks. Mikołaj Molecki; później jeszcze ks. Jakób Boruta i ks. Franciszek Kuderman, wreszcie w r. 1894 ks. Leon Pobłocki. Ks. Marjan Emiljan Steindl i ks. Franciszek Domaradzki wstąpili do Zgromadzenia jako kapłani. Inni wszyscy odbywali przynajmniej w części swe studja gimnazjalne

u nas, bądź w później założonem Małem Seminarjum, bądź jako klerycy.

Z Braci uwzględniamy tu tylko tych, którzy z innej prowincji do nas przybyli, bo ci, którzy tu odbyli seminarjum, w odnośnych księgach są zapisani.

Brat Bartłomiej Voss, ur. 1832, powoł. 1855, przybył tu, jak jeszcze konfratrzy u Pijarów mieszkali, tj. w czerwcu 1862 r. Br. Jan Ryziński, ur. 1829, wstąpił do Zgromadzenia w roku 1854, przybył do nas z Warszawy, przyświecał wzorem pobożności i pracowitości do r. 1902. Br. Bernard Scheiffers przybył z Prus w sierpniu 1873; w maju 1875 poszedł na Stradom, gdzie zmarł pod jesień 1893. Br. Jan Klecza, długoletni furtjan kleparski (od r. 1878) urodzony 1838, wstąpił do Zgromadzenia 1864, a wychowywał się prywatnie przy ks. Klingerze na Stradomiu.

Rozszerzenie i przybudówki domu kleparskiego.

Kiedy się tu od Pijarów sprowadzili konfratrzy, dom ten, jak się rzekło wyżej, wyglądał jakby drabina o trzech szczeblach: część dwupiętrowa, dalej jedno piętro a na końcu parter; późniejsza zakrystja, a od r. 1912 ekspedycja, była kaplicą, refektarz był naprzeciw dzisiejszych rozmównic, tam, gdzie obecnie skład książek. Pożywienia z początku dostarczały Siostry; później urządzono kuchnię u nas w piwnicy. Dnia 25 marca 1873 r. przeniesiono kaplicę do sali, gdzie obecnie refektarz i tak było aż do wybudowania i poświęcenia kościoła, tj. do września 1877 r. Ks. Soubieille naprzód cały budynek podniósł na dwa piętra, co nastąpiło w latach 1874 i 1875. W kaplicy domowej ustawiono ołtarzyk Najśw. Panny Marji z Lourdes, sprawiony przez Zuzannę ks. Czartoryską. Liczne i znaczne cuda wyjednywała tu Najśw. Panienka pobożnym czcicielom swoim. Ołtarzyk ten był później na chórku, a w końcu w kaplicy seminaryjnej, a wiele on rzeczy pamięta. Księża w wolnych chwilach siadywali w konfesjonale, a ludek gromadził się coraz liczniej. Z nabożeństwami i całą pracą nie mogli się jednak daleko za-

puszczać, lubo gorliwość rwała, gdyż było ich nie wielu miejsce za szczupłe, a przytem wszystkiem nie chcieli z parafją w kolizję wchodzić. Upominał też O. Generał, by, jeżeli dorwą nieco wolnego czasu, raczej do parafji szli spowiadać, a do siebie żeby narodu nie ściągali. W sam dzień trzechsetnej rocznicy urodzin św. Wincentego a Paulo dnia 24 kwietnia 1876 r. odbyło się uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego pod nowy kościół; na pamiątkę tego obchodu ks. Bąkowski postarał się o odbicie kartek z hymnem: „Dziś tryumf w niebie".

Kościół św. Wincentego a Paulo.

Wspomniało się wyżej, że wiele trudności miała Siostra Talbot, kiedy chodziło o nabycie przyległych do domu naszego parceli, na których dziś stoi kościół i reszta naszego domu. Należały one do jakiegoś protestanta, który posłyszawszy, że tu ma kościół katolicki stanąć, wspomnieć sobi nie dał o odstąpieniu parceli. Kupiono jednak te parcele przez pośrednictwo jakiegoś obywatela. Budowa kościoła w roku ukończoną została tak, że pod jesień 1877 roku już można było o konsekracji myśleć. Jak przed sześciu laty, w roku 1871, kiedy chodziło o konsekrację kościoła siostrzeńskiego, przybył z Wiednia nuncjusz apostolski, ksiądz Marjan Falcinelli Antoniacci, arcybiskup tyt. ateński, i kościół ten poświęcił w niedzielę 3 września 1871 r., tak na konsekrację naszego kościoła również zjechał z Wiednia nuncjusz ap. ks. Ludwik Jacobini; odbyła się ta konsekracja dnia 2 września 1877 r.

Kościółek długo pierwotną formę zatrzymał. Sciany dwie zamykające boczne kaplice w kierunku bocznych naw wybito w r. 1880, żeby można procesję rezurekcyjną i inne w ciągu roku swobodnie odbywać, co przedtem było wprost niemożliwe. Tę małą zmianę udało się księżom wykonać, a kościół wiele na tem zyskał. Ściany zostały białe aż do r. 1882, kiedy je po raz pierwszy pomalowano. Trafił się poczciwy malarz z Nowego Sącza, który za niewielką sumę

(2000 złr.) ślicznie nam kościół ozdobił. W r. 1883 sprawił ks. wizytator Soubieille stalle i ambonę; razem przyszły. Z ambony po raz pierwszy głosił słowo Boże ks. Bąkowski w niedzielę Mięsopustną. Wkrótce potem ta sama firma rzeźbiarska w Brzesku wykonała 3 konfesjonały większe dębowe, a nieco później dwa mniejsze, wszystkie zamykane jak szafy. Jeden t. zw. „wizytatorski“, (bo w nim najwięcej ś. p. ks. Soubieille słuchał) był sprawiony zaraz po konsekracji kościoła; dwa późniejsze zaś, z miękkiego drzewa, są domowej roboty Br. Bartłomieja. Pierwsze malowanie kościoła z r. 1882, pomimo tego że natrafiło na lata rekolekcij ludowych, których serje po kilkaset osób, a czasem i ponad tysiąc liczyły, wytrzymało ośm lat. Obchód jubileuszu 50 lat kapłaństwa ks. wizytatora Soubieille chciano uczcić nowem malowaniem kościoła. Już były w tym kierunku poczynione starania w samym roku jubileuszowym 1899, dzieło jednak przyszło do skutku dopiero na przyszły rok 1900, kiedy fundator kościoła już w grobie spoczywał. Wtedy polichromię wykonał Matejko, a koszta wraz z odnowieniem i pomalowaniem ołtarzy wyniosły 4500 złr. — Znacznie przerobiono i rozszerzono kościół w r. 1911 i 1912. Dokładnie o tem informowały „Roczniki“ *)

Dalsze rozbudowanie domu.

W opowiadaniu przebudówek kleparskiego domu stanęliśmy na tem, jak już dwa piętra stanęły od kościoła aż po dzisiejszy refektarz włącznie. Prawie równocześnie z kościołem po stronie ewangelii wybudowano dom dwupiętrowy, połowę tego, który dziś stoi z drugiej strony kościoła tj. dawny nr. 75 ulicy św. Filipa. Gdy już szczęśliwie w r. 1878 rozpoczęto Małe Seminarjum, zakład ten znalazł we wspomnianym domu w sam raz pomieszczenie: na drugiem piętrze była jednolita sala — to dormitarz 12 pierwszych wychowanków Małego Seminarjum; obok był mały pokoik,

*) „Roczniki“ ob. Zgromadzeń. 1913. str. 181 — 199.

służący za mieszkanie Dyrektora Zakładu. Na pierwszem piętrze od strony ogrodu była klasa, z której się przechodziło do sali od ulicy, gdzie był pokojk rekreacyjny na wypadek deszczu. Jak tylko była pogoda, w lecie czy w zimie, rekreacja była na podwórzu. Obok sali rekreacyjnej, a pod mieszkaniem ks. Dyrektora znajdujący się pokoik służył za infirmerję; było tam też nieco książek — niby biblioteczka zakładu. Szafy nawet w murze były spożytkowane: na drugiem piętrze była bielizna, na pierwszem zeszyty, ołówki itd. dla zakładu. W parterze od ogrodu był refektarz a od ulicy bracia, szewc i krawiec pracowali, a obok nich (pod infirmerją) składało się i czyściło obuwie.

Na razie lokal ten najzupelniej wystarczał na pomieszczenie Zakładu. Gdy jednak przyjęcia miały się dalej corocznie odbywać, wypadło nieco i z przyszłością się liczyć. To też widzimy, że od roku 1879 ks. wizytator Soubieille dalej dom rozszerza i przybudówki prowadzi. Zaraz na wiosnę w tym roku zburzono maleńki parterowy domek, gdzie ubogich przyjmowano, a od dzisiejszego refektarza aż do sąsiada zajęto cały plac dwupiętrowym budynkiem mieszczącym kuchnię, dormitarze itd. Na rok szkolny 1879/80 przybyło drugie tyle, co poprzedniego roku wychowanków do Małego Seminarjum. Na I. piętrze wyrzucono ścianę dzielącą klasę od salki rekreacyjnej i tak powstał drugi dormitarz, refektarz przeniesiono do domu księży tuż obok ich refektarza, a z dawnego refektarza była klasa II., a klasę I. umieszczono w jednej z sal katechizmowych, która służyła zarazem i do przygotowania się na lekcje i za rekreacyjną salę.

Jeżeli sprawy tak dalej pójdą jak dotąd, to na przyszły rok zabraknie miejsca; to było do przewidzenia. Znowu tedy w r. 1880 buduje ks. Soubieille drugą połowę obecnego budynku Małego Seminarjum, sięgając tym sposobem aż do sal t. zw. katechizmowych.

Z rokiem każdym przybywało personalu w domu: zaczęto tedy myśleć o jakiem takiem gospodarstwie. Obok sąsiada naprzeciw nowej kuchni wybudowano stajenkę,

w której zaledwie 3 krówki pomieścić się mogły, a obok niej był chlewik na nierogaciznę. Siostry poczciwe pomogły jakoś te ubikacje zaludnić i dobrze się to udało. Brat Wawrzyniec Ławniczak gorliwie się tem zajął. Za stajnią była wzdłuż muru szopa na słomę.

Prawie równocześnie z tem gospodarstwem zaczął ks. Kowalik rekolekcje w kościele urządzać. Słomy z noclegów nie brakło, a brat Wawrzyniec i gospodarstwo prowadził i przy rekolekcjach pomagał. Rekolektanci otrzymywali noclegi darmo, jeszcze i kaszę w dodatku; z ofiar jednak, jakie dobrowolnie składali, nie tylko mógł braciszek słomy kupić, sale zabrudzone czyścić, ołtarz w kaplicy odnowić, ale i przy gospodarstwie nieco upchnąć. Stajenka pierwotna okazała się wkrótce za szczupłą: dobudowano tedy w dalszym ciągu całe skrzydło w miejscu, gdzie była szopa na słomę. Budynek ten nowy był nieco szerszy od dawnej stajenki, którą razem z nowym budynkiem podniesiono na piętro. Tak powstało prawe skrzydło domu naszego w ogrodzie, a prowadzono tę budowę w r. 1884/5. Miał ten budynek służyć za stajnię i chlewy obszerniejsze, a piętro na skład słomy i siana; gdy jednak w domu coraz ciaśniej się robiło (bo do Małego Seminarjum co rok po kilkunastu nowych przybywało, a inni przechodzili znowu do Seminarjum Internum), pomieszczono tu kleryków. Fatalny to jednak był pomysł; wśród ostrej zimy trzeba było cieniutkie belki wyrywać a nowe wstawiać; piece dla oszczędności postawiono z cegieł; były do niczego; mury jak opłatki; zimno dokuczało. Wielu tu zdrowie zniszczyło.

W r. 1886 podobne skrzydło po lewej stronie ogrodu i domu naszego postawiono; tu przeprowadzono żywy stajenny inwentarz; ale i tu długo nie został. W Nowej Wsi Narodowej część łąki i cały ogród, których dom Stradomski używał, wydzielił ks. Wizytator Soubieille na rzecz Kleparza; tu wybudowano obszerne stajnie i pomieszczono całe gospodarstwo. Kleparskie ubikacje w skrzydłach, zajmowali klerycy i bracia.

Prawie całe piętro prawego skrzydła zajmowało muzeum przyrodnicze od 1894 do 1920 r. Gromadzili je przedewszystkiem ks. Słomiński i ks. Rossmann, a najwięcej pracy w preparowanie okazów włożyli ks. Trawniczek, ks. Chylaszek, ks. Bielawski, ks. Zygmunt i ks. Kominek, ci czterej naturalnie jeszcze jako klerycy. Wzbogaciło się bardzo muzeum nasze w piękne okazy, kiedy ks. Bajer, ks. Dylla i ks. Chylaszek z Brazylji przysyłać zaczęli to ametysty, to kolibry i cudne motyle, to skórki drapieżnych zwierząt, to narzędzia dzikich botokudów. W r. 1920 przeniesiono wszystko na Stradom.

Rok 1896 był przełomowym w pomieszczeniu naszych zakładów. Do tego roku bowiem cały dom na zachód od kościoła zajmowało Małe Seminarjum. Całe pierwsze i drugie piętro urządzone były jako sypialnie dla chłopców z mieszkaniem dyrektora w pokoju między domem a kościołem; na parterze były klasy; w podwórzu „przytułek" na dni słotne. W r. 1896 Małe Seminarjum przeniesiono na Nową Wieś Narodową. Na Kleparzu zaś od września tegoż roku dom na zachód od kościoła mieścił Seminarjum Internum Rozkład ubikacji naogół został tensam: na pierwszem i drugiem piętrze były dormitarze, ks. dyrektor mieszkał w tym samym pokoju, który dawniej był mieszkaniem dyrektora Małego Seminarjum, a na parterze urządzono ładną kaplicę seminaryjną z ołtarzem pod ścianą od ulicy. W r. 1901 Seminarjum Internum przeniesiono na Stradom a sale po niem na Kleparzu służyły odtąd przeważnie na pomieszczenie rekolektantów.

Z wybuchem wojny odrazu cały ten dom zajęto na szpital wojskowy. Od r. 1918 mieszczą się w nim biura państwowej dyrekcji kolejowej.

Prace domu kleparskiego.

Właściwym tego domu celem była pierwotnie piecza duchowna nad zakładami Sióstr, a w szczególności nad domem centralnym. To też było zrazu primarium opus kon-

fratrów w tym domu zamieszkałych. Ponieważ jednak trzeba było zaraz i o przyszłości myśleć; więc też powstały i inne dzieła: wychowanie młodzieży, seminarja nasze i studja z tym domem się złączyły. Z czasem przybyło dużo innych zajęć, naszemu powołantu właściwych. Zesłał zaś nam Bóg tak śliczne wzory gorliwości zaraz na początku istnienia tego domu. że ustawicznie w te żywe i to swojskie, rodzime przykłady gorliwości i misjonarskiego życia zapatrywać się możemy, a zawsze będą one dla nas wskazówką i wzorem. Pełnili konfratrzy tutejsi nietylko to, do czego ściśle z przeznaczenia domu byli obowiązani, ale przytem tyle dzieł pięknych, na wskróś misjonarskich, podejmowali i nam w spuściźnie zostawili.

U Sióstr, prócz zwykłych czynności dziennych i tygodniowych, do których spełnienia liczy się 3 konfratrów, są inne prace, którym nie 3, ale i 6 księży zaledwie podołaćby mogło. Wziąć na uwagę choćby same rekolekcje tychże Sióstr: bywa ich po 6 i więcej seryj w tym samym centralnym domu, a główny ich ciężar na kleparskim domu spoczywał. W początkach sam ks. Stroever, a właściwie ks. Ożarowski musiał wszystkiemu podołać. Gromadzą się i we Lwowie ze 4 razy do roku i w Mariampolu; prawda, że inne domy pomagały, ale zawsze o to najwięcej Kleparz głowa bolała. Pruskie Siostry 5 razy do roku takie rekolekcje odbywają i tu najwięcej Kleparz był w robocie. — A prócz samych Sióstr i prac do nich się odnoszących były inne dzieła, jakby pożyczane, przyczynkowe: szkoła dzieci domowych i przychodnich — (ta ostatnia przez długie lata w domu centralnym się mieściła, dopiero od r. 1892 przeniesiona została do osobnego budynku pod nazwą szkoły św. Stanisława Kostki) to wszystko od najdawniejszych lat obsługiwali konfratrzy kleparscy: nietylko udzielając lekcyj religji, ale co trochę całe te gromady spowiadając; nadto udzielając im rekolekcyj: raz do roku wspólnie dla Dzieci Marji i Aniołów Stróżów; prowadzą je Siostry, ale konfratrzy przewodniczą.

Inne prawie wszystkie zakłady siostrzeńskie w Krakowie były zostawione opiece konfratrów kleparskich. U św. Łazarza pracuje stale 2 konfratrów w charakterze kapelanów, mając jeszcze jako filję przydany Zakład św. Ludwika, a oprócz nich do samych Sióstr 2 lub 3 spowiedników dochodziło co tydzień.

U Helclów kapelan urzędowy, a spowiednik osobno; w Zakładzie Lubomirskich spowiednik; u św. Stanisława nawet spowiednik osobny, prócz katechety, który szkołę prowadził. Kazimierz tylko (od niedawna) obsługiwali konfratrzy stradomscy; zato znowu jeden z Kleparza co tydzień do Tenczynka jeździł. U Sióstr na Kleparzu gromadzą się Panie Miłosierdzia, tudzież Panny Ekonomki, któremi to stowarzyszeniami zajmuje się zwykle ks. Wizytator prowincji.

W samym domu prowadzili konfratrzy prawie bez przerwy, począwszy od 1867 r. Seminarium Internum aż do r. 1901, a przytem, rozumie się, i całe studjum filozoficzne i teologiczne.

Dyrektorami Seminarii Interni byli: ks. Jędrzej Ptaszyński (1867—1869), ks. Jan Coursiéres (1870—1874), ks. Jan Szczur (1874—1877), ks. Karol Szczepański (1877—1879), ks. Melchior Wdzięczny (1879—1881), ks. Eugenjusz Lechevallier (1881—1891), ks. Ludwik Ollé (1891—1892), ks. Wojciech Wdowicki (1892—1896), ks. Kasper Słomiński (1896 do 1899), ks. Józef Gaworzewski (1899—1902). Po trzechletniej przerwie objął dyrekcję ks. Jan Weissmann w roku 1905 i dzierżył ją aż do września 1919 roku. Ale to już na Stradomiu, bo w wrześniu 1901 r. z Kleparza przeniesiono Seminarjum Internum.

Zrazu przyjmowano do Seminarjum wszystkich kandydatów, którzy się zgłosili. Stąd przeważnie wszyscy po pewnem pobycie w Seminarjum opuszczali Zgromadzenie.

Dowodem najdobitniejszem to, że na 53 kandydatów przyjętych od założenia Seminarjum w r. 1867 aż do 1882, w którym wstąpili pierwsi kandydaci z Małego Seminarjum, 44 opuściło Zgromadzenie.

Przełomową chwilą dla Seminarjum był r. 1882, kiedy pierwsi wychowankowie Małego Seminarjum, przed czterema laty powstałego, przywdziali sukienkę św. Wincenego. Jak tylko Misjonarze maleńki niby swój kącik na Kleparzu znalezli, gromadzili dziatwę ubogą w niedziele i święta, ucząc katechizmu. Katechizmy te są tak dawne, jak sam dom kleparski. Ks. Coursières wprowadził w r. 1873 uroczystą komunię św. pierwszy raz, którą corocznie chłopcy sami razem z dziewczętami siostrzeńskiemi przyjmowali w parafji św. Florjana. Posprawiał dla nich stosowne ubrańka. Dla dzieci pilniejszych rozdawano co roku nagrody. Na procesję Bożego Ciała w parafji św. Florjana w niedzielę intfra octavam występowali z chorągiewkami, co wielką było dla nich zachętą. Z tych katechizmów wywiązało się tak piękne i pożyteczne stowarzyszenie Dzieci Marji, które również ślicznie się kiedyś rozwijało, a później razem z katechizmami upadło. Ks. Siemaszko od katechizmów zaczął pracę nad swoim zakładem, który jego imię szeroko w świecie rozsławił. — Ulubiona to była praca ks. Miruckiego, ze Stradomia tu dochodził staruszek, a pilnował; przyszło mu do Prus wyjeżdżać, to się nie ruszył, aż sobie zastępcę upatrzył.

Innem dziełem bardzo umiłowanym przez ks. Soubieille byli ubodzy. Codziennie gromadzili się u bramy naszej i otrzymywali ciepłą strawę; na Boże Narodzenie otrzymywali hojną gwiazdkę; na wielki czwartek z pośród nich wybierano 12 staruszków do umywania nóg; a na święta wielkanocne wyprawiano im domowym kosztem wspaniałą ucztę u nas. Ci ubodzy zbierali się w niedziele i święta całego roku w osobnej kaplicy, gdzie była dla nich msza św. i czytanie pobożne z rana, a wieczorem nauka. Przytem dostawali rano i wieczór po chlebku. Chętnie przemawiał do nich ks. Mirucki. Przez długie lata chodzili tu klerycy nasi, bliscy wyświęcenia, i zaprawiali się do urzędu kaznodziejskiego.

Przy tylu rozlicznych zajęciach i pracach, co dorwali wolnego czasu, siadywali w konfesjonale i to jeszcze

w kaplicy domowej; a na dobre praca ta rozwinęła się później, kiedy Bóg pozwolił kościół otworzyć. Z dalekich stron przychodzili ludzie, by ciężary ze sumienia złożyć. To było ulubionem zajęciem ś. p. ks. Soubieille; dał mu też Bóg tę pociechę, że, rzec można, w konfesjonale życie zakończył, padając, jak żołnierz wytrwały z bronią w ręku. Prócz niego wiele w konfesjonałach kleparskich pracował ś. p. ks. Kowalik. Chociaż Słowak, umiał się z prostaczkami porozumieć i z Bogiem ich pojednać. Ślęczeli przy nim po kilka dni, a wytrwale czekali, aż wreszcie dostali się do spowiedzi.

Z tego właśnie same z siebie rozwinęły się ludowe rekolekcje. Zaczęto bowiem dla nich rekolekcje odprawiać; setkami i tysiącami spieszyli na tę ucztę duchowną. Osobne rejestry wykazują, ilu liczebnie w tych ćwiczeniach wzięło udział, a Bogu wiadomo najlepiej, ile się przez nie dobrego zrobiło.

W miejscu niewiele się udzielali konfratrzy tutejsi z pomocą w konfesjonale lub na ambonie po innych kościołach zato chętnie spieszyli na misje i exkursje. Od r. 1867 aż do 1881 prawie bez przerwy dawali misje na spółkę z lwowskim domem po kilka rocznie. Po dziesięcioletniej przerwie, t. j. w r. 1891, znowu to apostolskie a nam najdroższe dzieło ożyło w prowincji i ciągnie się już nieprzerwanie aż do dni dzisiejszych. Utworzono 3 ogniska misyjne w prowincji: jedno dla zachodniej, drugie dla wschodniej Galicji, trzecie dla Bukowiny; z biedą mogli podołać konfratrzy wezwaniom, jakiemi nas biskupi i proboszczowie zaszczycali. Samo kleparskie kółko pracowało w trzech dyecezjach: krakowskiej, lwowskiej i wrocławskiej; do tej ostatniej tylko w austrjackiej części, t. j. w Generalnym Wikarjacie Cieszyńskim, zaglądali konfratrzy, dawniej i na pruskim Śląsku bywali.

U siebie w kościółku św. Wincentego, prócz zwykłego nabożeństwa w niedziele i święta, t. j. sumy o godzinie 8-mej, tudzież nieszporów o godz. 5-tej z kazaniem, odprawiały się dawniej w poście rekolekcje dla publiczności; rozumie się, brali w nich udział sami prostaczkowie nasi,

Od r. 1896 zaprowadzono w poście co niedzielę „Gorzkie żale“ z kazaniami pasyjnemi. W wielki czwartek po południu odbywała się ceremonja umywania nóg dwunastu ubogim; jest przytem kazanie. Od wybudowania kościoła wprowadził ks. Bąkowski zwyczaj, że w Wielki Piątek podczas śpiewania „Gorzkich żali“ kapłan siedm razy z ambony przemawiał, rozbierając siedm słów Pana Jezusa na krzyżu; zwyczaj ten w r. 1902 zamieniono na jedno kazanie. Oktawa Dnia Zadusznego odprawia się uroczyście: w sam dzień Officium Defunctorum i suma z kazaniem; po południu nieszpory z kazaniem. Przez całą zaś oktawę codzień rano msza św. śpiewana, po południu nieszpory z kazaniem i konduktem. Oktawę Niepokalanego Poczęcia również solennie dawniej obchodzono: codzień roraty z wystawieniem Najśw. Sakramentu, a wieczorem nieszpory z kazaniem i solennem błogosławieństwem; po nieszporach litanja loretańska, śpiewana przed ołtarzem N. M. P. z Lourdes, a wieczorem po majowem nabożeństwie kazanie. Uroczystość św. Wincentego a Paulo, tudzież Przeniesienie relikwij tegoż Świętego, obchodzą się jak najsolenniej. Od r. 1894 w podobny sposób zaczęło się obchodzić święto Objawienia Cudownego Medala N. Panny dnia 27 listopada; a od roku 1908 święto Zjawienia się N. M. P. z Lourdes, 11 lutego.

W kościele nabożeństwa odprawiały się z początku jak najskromniej: codzień było kilka cichych mszy św., o ile księży starczyło, co piątek wieczorem błogosławieństwo, a w Wielkim Poście i Droga Krzyżowa; w niedziele nie bywało sumy, tylko ciche msze św., a wieczorem nauka. W czasie błogosławieństwa przygrywano na fisharmonii, bo organów nie było. W niedziele na I. mszy św. śpiewano z ludem litanję loretańską, a w soboty „Godzinki“ o N. Pannie. Dopiero kiedy nastało Małe Seminarjum znacznie postąpiła chwała Boża i podnosiła się zwolna coraz więcej aż doszła do blasku, który tu późniéj podziwiano. Wychowankowie Małego Seminarjum zaczęli codzień na mszy św. śpiewać pieśni pobożne, jakoś głośniej się w kościele zrobiło.

W niedziele i święta przed nauką zaczęto również „Godzinki" śpiewać. Zdatniej to było dla ludu, który słysząc śpiew prędzej do kościoła wstąpił i dla kaznodzieji, lepiej jakoś było naukę zacząć po śpiewie. aniżeli wśród ciszy. W lecie r. 1879, przybył ze Lwowa ks. Kiedrowski i objął naukę śpiewu w Małem Seminarjum. W poprzednim roku ks. Block, udzielając lekcji śpiewu naszym wychowankom do tego doprowadził, że potrafili na błogosławieństwach zaśpiewać do rzeczy łacińskie utwory: o Najśw. Pannie, o św. Józefie, o św. Wincentym i o Najśw. Sakramencie. Ks. Kiedrowski wkrótce poduczył ich śpiewu gregorjańskiego naprzód, a potem i figuralny udoskonalił. Już w tym drugim roku pobytu w zakładzie zaczęli śpiewać co niedzielę nieszpory de Immaculata Conceptione B. V. M., a rano wprowadzono sumy śpiewane, w czasie których studenci śpiewali msze gregorjańskie rozmaite, stosownie do święta z „Cantus diversi". Po raz pierwszy w tym kościele (po konsekracji) śpiewał ks. Binek pasterkę r. 1878, a ks. Szczepański miał wśród tejże pasterki kazanie. Gregorjańskie msze zaczęto śpiewać od uroczystości św. Wincentego a Paulo w r. 1879. W powszednie dnie, kiedy wypadła śpiewana msza św. sztukowano polskiemi pieśniami. Figuralny śpiew podniósł znacznie ks. Kiedrowski, wprowadzając śpiew na głosy. Chociaż to jeszcze nie wielu było studentów i nie było z czego chóru tworzyć, jednak i te początki się udały, zaczęto śpiewać litanję loretańską na głosy, a czasem i na błogosławieństwie był jaki taki występ poważniejszy. Całe jednak nabożeństwo nasze wyglądało jeszcze blado. Później gdy już i klerycy byli a w Małem Seminarjum zrobiło się ludno, zaprowadził tu ks. Lechevaller asystę w niedzielę, a u Sióstr bywała tylko w wielkie święta. Tenże ks. Lechevallier, wydostał od ks. Dąbrowskiego, biegłego w muzyce i śpiewie, ze Stradomia, wiele ciekawych i ładnych rękopisów warszawskich; muza nasza śpiewacka już w dobre siły zaopatrzona, zaczęła je odtwarzać; innych kawałków dostarczył profesor zakładu Dr. Mrniak. Wiele do uświetnienia bo-

skiej chwały u nas przyczynił się ks. Jakób Konieczny. Prefektem kościoła będąc, sprawił mały organ. Robił go prywatny fabrykant Wojciechowski z Krakowa, kosztował około 900 złr.

Ks. wizytator Soubieille zaprowadził tu zaraz po swojem przybyciu, Dzieło Trójcy Przenajświętszej. Przez kilka lat zanim kleparski kościół wystawiono, miało to dzieło siedzibę przy kościele św. Łazarza; potem dopiero na Kleparz je przeniesiono.

O. Generał Antoni Fiat, szczególniejszą sympatją otaczał Stowarzyszenie Dziecięctwa P. Jezusa i prawie w każdym okólniku swoim polecał je gorliwości naszej. Zaczęto i nad rozszerzeniem tego Stowarzyszenia u nas pracować, zajmowali się nim początkowo księża Szczepański i Olszański od r. 1879 do 1883; potem zajął się niem gorliwie ks. Józef Kiedrowski, zaczął wydawać „Roczniki" odtąd nieprzerwanie wychodzące i bardzo to dzieło rozdmuchał. Za jego czasów trzy razy do roku odbywały się zebrania w naszym kościółku a przy każdej takiej sposobności głosił słowo zachęty ks Dyrektor Stowarzyszenia. Po nim rozmaici konfratrzy kolejno toż dzieło prowadzili a mianowicie księża Bystrzonowski, Dihm, Rosmann, Słomiński, Dziewior, Lach, Rzymełka, Sosnowski a od 1920 r. ks. Graczyk. Wszyscy oni jako dyrektorzy dzieła wydawali „Roczniki Dziecięctwa P. Jezusa".

W r. 1895 zaczęły też wychodzić na Kleparzu „Roczniki obydwu Zgromadzeń", które w dwudziestu kilku tomach przyniosły wiele wiadomości informacyjnych z rozwoju naszego Zgromadzenia i szczegółów historycznych do dziejów prowincji. Zaczynał redakcję ks. Wdowicki, potem redagował je ks. Słomiński, ks. Dihm, ks. Konst. Michalski, ks. Rzymełka, ks. Weissmann a obecnie ks. Szymbor.

Wśród prac piśmienniczych, wymienić też należy „Miłosierdzie Chrześcjańskie", które jako organ towarzystw dobroczynnych a zwłaszcza konferencji św. Wincentego wychodzić zaczęło w r. 1905, ale z powodu wojny upadło. Pierwszym redaktorem był ks. Rzymełka, drugim i ostatnim ks. Sosnowski.

Jedną z najpożyteczniejszych instytucyj, powołanych do życia i utrzymywanych przez konfratrów z Kleparza jest Zakład im. ks. Siemaszki dla biednych opuszczonych chłopców. Wyrósł z bardzo skromnych początków, ale wytrwała praca i szerokie serce ks. Siemaszki, zapewniły mu rozwój. Po ks. Siemaszce kierował zakładem ks. Binek, a potem dyrektorem jego został ks. Rzymełka i był nim od 1906 do 1919 r. Od tego czasu kieruje zakładem przy ulicy Długiej ks. Lorek, a filją jego w Czerny ks. Korolczuk.

Dziełem dla kleparskiego domu najchlubniejszem a dla całej prowincji najkorzystniejszem, było otwarcie Małego Seminarjum, dnia 21 września 1878 r. Ks. wizytator Soubieille w prowincji pomnik sobie niewzruszony postawił, przyłożywszy ręki do tego dzieła. Prawie cały personal, jaki dziś domy prowincji zaludnia, to owoc Małego Seminarjum. Było ono na Kleparzu od r. 1878 aż do 1896, poczem przeniesiono je do nowego domu w Nowej Wsi Narodowej [1]). Dyrektorami Małego Seminarjum byli: ks. Jan Binek przez 3 lata od 1878—1881, ks. Kiedrowski, 1881—1883, ks. Wdzięczny 1883—1884, potem nastąpił ks. Lechevallier, którego zastępowali ks. Boruta 1885—1887 i ks. Rossmann 1887—1891, wreszcie ks. Jakób Konieczny 1892—1899. Na Nowej Wsi zakładem kierowali: ks. Wdowicki 1896—1900, ks. Ciopalski 1900—1901, ks. Osadnik 1901—1908, ks. Szymbor 1908—1911 i ks. Zieliński 1911 aż potąd. Z pośród 127 księży naszej prowincji jest 122 wychowankami Małego Seminarjum a tylko pięciu przybyło z poza niego [2]).

(C. d. n.).

---

[1]) Po resztę szczegółów o Małem Seminarjum odsyłamy czytelników do „Roczników“ z 1903 r. str. 180—198.

[2]) Według „Spisu osób i domów prowincji polskiej“ w Rocznikach“ za r. 1920, str. 120—128.

Z dziejów domu stradomskiego.

III. Seminarjum duchowne na Stradomiu.

9. Fundacja Kapituły Katedralnej Krakowskiej.

Po śmierci księcia biskupa Andrzeja Stanisława Załuskiego wstąpił na biskupstwo krakowskie w r. 1759 ks. Kajetan Sołtyk, dotychczasowy biskup kijowski, pasterz wysoko wykształcony, bardzo czynny i gorliwy. W sprawach politycznych należał do przeciwników rosyjskiego wpływu w Polsce. To miało wpływ na całe losy jego życia. Gdy bowiem w kwestji dyssydentów wystąpił bardzo energicznie na sejmie 1766 r. przeciw konfederacji dyssydentów i przeciw wojskom rosyjskim obozującym w Polsce, Moskale splądrowali mu dobra biskupie 1767 r., a w końcu poseł rosyjski Repnin kazał biskupa Sołtyka i jego bliskich stronników hetmana Wacława Rzewuskiego, tegoż syna Seweryna Rzewuskiego, posła na sejm i wreszcie biskupa kijowskiego Józefa Załuskiego, wywieźć do Kaługi. Takie samowolne wywiezienie senatorów obcego państwa musiało strasznie podziałać na szlachetniejsze umysły w narodzie. Biskup Sołtyk, przewidując, co go może spotkać, zawczasu urządził wszystko w swej dyecezji na ten wypadek. Archidjakona krakowskiego Józefa Olechowskiego zamianował administratorem in spiritualibus, a kanonika Michałowskiego zrobił administratorem in temporalibus. Wygnanie biskupa Sołtyka trwało pięć lat. Gdy wreszcie wrócił z wygnania do Warszawy, witano go jako wzór miłości ojczyzny i stałości zasad. Wszakże niewola podkopała mu zdrowie tak dalece, że zaczął popadać stopniowo w coraz większą chorobę umysłową. Z tej przyczyny

wywołał swem postępowaniem różne zatargi z kapitułą, z uniwersytetem, a zwłaszcza z Kołłątajem, zajętym reformowaniem krakowskiej Akademji. Po powrocie do Krakowa żył ośm lat w odosobnieniu a potem nagle zaczął brać udział w życiu publicznem i kościelnem, ale z objawami świadczącemi wprost o obłędzie: drukował listy na kapitułę, a zwłaszcza na księdza Olechowskiego, jednego kanonika opoliczkował, od stołu zrywał się chcąc święcić kleryków, słowem doszło do tego, że mu Stolica święta dała do pomocy w urzędzie biskupim koadjutora w osobie biskupa księcia Michała Poniatowskiego. A kuratorem osoby chorego Sołtyka był ks. Tymoteusz Gorzeński, kanonik krakowski, późniejszy prymas.

Sprawę biskupa Sołtyka wywleczono na sejm 1782 r. w celach agitacji politycznej przeciw królowi Stanisławowi Augustowi. Kapituła bowiem nie widząc innego sposobu, internowała chorego biskupa, najpierw w domu seminarjum duchownego na Zamku, a potem przewiozła go do pałacu biskupiego w Kielcach, gdzie w sześć lat potem w 1788 r. zmarł świątobliwie, odzyskawszy przed śmiercią przytomność umysłu [1]).

Administracja biskupa księcia Michała Poniatowskiego trwała jeszcze trzy lata, do r. 1791, poczem biskupem został zacny Feliks Turski. Ten się znalazł w gorszych warunkach niż poprzednicy, bo w r. 1789 Sejm czteroletni zagarnął dobra ziemskie biskupstwa krakowskiego na rzecz skarbu wojskowego, wyznaczając biskupowi tylko pensję, która naturalnie nie była ani w przybliżeniu równą dawnym dochodom biskupa.

Po zamknięciu biskupa, które zresztą było konieczne dla zapobieżenia zgorszeniom bez końca, odpokutowała Kapituła krakowska i Misjonarze. Kapitułę najpierw skarał Maciej Garnysz, biskup chełmski, który jako delegat metro-

---

[1]) Ks. Jan Korytkowski: Prałaci i kanonicy katedry metropolitalnej Gnieznieńskiej etc. „Kajetan Ignacy Sołtyk, biskup krakowski". K. Rudnicki: Biskup Kajetan Sołtyk, Kraków i Warszawa. 1006.

politalny badał sprawę: on uznał Sołtyka za umysłowo chorego, ale Kapitułę skazał na 6000 grzywien do szpitala św. Barbary i nakazał jej uroczyście przeprosić biskupa, gdy on wyzdrowieje, za to, że go internowano nie w pałacu biskupim, ale w seminarjum kleryckiem. Zresztą nie mógł nic więcej zarzucić Kapitule [1]). Za Sołtykiem, jakoby pokrzywdzonym, ujęli się także Austrjacy, bo część dyecezji krakowskiej była przez nich zajętą. Naturalnie, że ujęli się tak, że mieli z tego korzyść. Czytamy o tem w kronice domu stradomskiego te słowa: W roku 1776 tuż przed świętami Bożego Narodzenia został superjorem tego domu ks. Andrzej Hewner, jeszcze za życia księdza Włodarskiego. Ten starością i chorobą przygnieciony już niedługo żył, bo w maju roku następnego 1777, gdy mu chirurg ciął spuchłą rękę, zranił mu przytem arterję, z czego powstała niepokonalna hemoragja, na którą zmarł... Za jego przełożeństwa zajęli w roku 1772 Austrjacy część Polski po prawej stronie Wisły. Odtąd różne kontrybucje spadały na nasze majątki w tym kordonie leżące, a rosły z dniem każdym (bo to rząd absolutny). Odtąd zaczął nasz dom maleć, aż w końcu prawie zupełnie zmarniał z następującej okazji: Biskup krakowski Kajetan Sołtyk, popadał codzień w coraz większy obłęd. Gdy wprzód przebywał ukryty w swoim pałacu, to teraz począł się pokazywać w mieście i robić różne (takim ludziom właściwe) nieodpowiednie czyny, obchodzić się twardo z kanonikami, wyśmiewać ich. Kapituła za wiedzą władzy kościelnej i świeckiej zamknęła Biskupa w Seminarjum na Zamku u naszych konfratrów, a potem wysłała do Kielc dla trzymania go pod opieką. To było zachętą dla Austrjaków (którzy popierali Biskupa i przeczyli temu, jakoby był w obłędzie) do zagarnięcia majątków do kanoników należących a z nimi zagarnęli i nas. Tak więc w roku 1782 dnia 15 kwietnia straciliśmy wszystko. Tu podajemy naszą stratę, jak ją na piśmie do urzędu podano: Dom misjonarski stra-

[1]) Korytkowski l. c.

domski ma w Kordonie Cesarskim następujące straty: 1⁰. Odebrano mu wieś Laskowę, nadaną od J. O. księcia Małachowskiego Biskupa krakowskiego, roku 1695, z zachowaniem przepisów konstytucji 1635 r., czyniącą intraty rocznej około 12.000. — 2⁰ Odebrano dwie wioski: Dobronowice i Wolę Dobronowicką, nadaną od J. O. Szaniawskiego Biskupa krakowskiego roku 1732 na Seminarjum Internum i Externum, czyniące rocznej intraty około 3000. — 3⁰ Odebrano kapitału in summa 245.503 złp. i groszy 25. Ta suma lokowana była na dobrach następujących: Makowica w sumie 11.180. Niewiarów w sumie 81.920 gr. 19 W której to sumie znajdowała się suma 12.000 złp. dana od Jana Męcińskiego, kanonika koadjutora krakowskiego, na kleryków świeckich trzech. Nieznanowice w sumie 43.403 gr. 6. Te trzy wioski cum attinentiis trzymali Misjonarze w posesji swojej i mieli z nich rocznej intraty około 9000. Reszta kapitału jako to 74.000 lokowane na dobrach Grojowie i Żegocinie księcia Lubomirskiego marszałka wielkokoronnego w hrabstwie Wiśnickiem i 35.000 na Gaju i Wysokiem, wsiach miasta Krakowa, w kordonie leżących, czyniła im rocznej prowizji 5450 złp. — 4⁰ Odebrano folwark za Wisłą nazwany Stawisko i Wierzchowisko, czyniący rocznej intraty około 1200. Suma straty na rok 30.650 — Rezydencja Lipowiecka straciła prowizję od kapitału 10.000 lokowanego na Laskowej 500 złp.“ [1]). Ks. Hewner udał się do starostwa we Wieliczce pytając o powód konfiskaty. Odczytano mu tam dekret cesarski, że rząd austrjacki postanowił oddzielić od Polski część dyecezji krakowskiej, objętą kordonem austrjackim a dobra biskupie i kapitulne oraz dobra Misjonarskie, które są funduszami na wychowanie kleru, zabrać, gdyż odtąd kler będzie się wychowywał nie w Krakowie, ale w tym kordonie. Także starania w najwyższem Gubernium we Lwowie nie przyniosły skutku, bo w styczniu 1783 r. otrzymali Misjonarze stradomscy dekret cesarski z 25

---

1) Initia et progressus Domus Stradowiensis str. 142 — 144.

listopada roku zeszłego, że należy Misjonarzom zabrać majątki tak ich własne, jak i przeznaczone na wychowanie kleru, gdyż „dom instytutu misjonarskiego można uważać tylko za niedostateczny ekwiwalent w sprawowaniu miejscowego niewystarczającego duszpasterstwa i mniejwartościowy środek w nauczaniu i utwierdzaniu wiernych w dogmatach wiary". Tę smutną i krzywdzącą wiadomość doręczył im starosta bocheński Appelshofen [1]).

Ograbionemu domowi stradomskiemu przyszedł z pomocą ks. Wizytator warszawski Mikołaj Siemieński, który za zgodą ks. Antoniego Jacquier, Generała Zgromadzenia, oddał w jego posiadanie majątki domu lwowskiego, przez austrjaków zniesionego. Ocalały bowiem majątki te, które leżały w Polsce, poza kordonem austrjackim. W ten sposób dostały się Stradomiowi dwie sumy, jedna 100 000 złp. lokowana na wsi Czeremówce, niedaleko Kamieńca Podolskiego, dająca rocznego dochodu 2000 złp. i suma 70.000 na Pieczychwostach, pod Łuckiem na Wołyniu, przynoszącą rocznie 2450 złp. Miał wtedy Stradom na utrzymaniu z górą czterdzieści osób oprócz konwiktorów a na to 18.000 złp. dochodu. Do tego uzyskał jeszcze Stradom po domu lwoskim w r. 1785 sumę 23.000 złp. na wsi Morozewo na Podolu; sumę tę odstąpił Ojcom Teatynom, właścicielom tej wsi, za roczny czynsz 500 złp. Mówimy tu o stratach i dochodach własnych Misjonarzy.

Również zmniejszyły się dochody przeznaczone na Seminarjum dyecezjalne, bo audytor ówczesnego zarządcy dyecezji krakowskiej, biskupa-koadjutora Michała Poniatowskiego, rozporządził, by na Stradomiu było tylko ośmiu fundacyjnych kleryków dyecezjalnych, a dziewiąte miejsce miało pozostać wolne pro corrigendo sacerdote [2]). Poprzednio książe biskup Sołtyk w r. 1779 dnia 24 sierpnia podobnie zarządził, aby alumnów na Stradomiu było siedem-

[1]) ibidem str. 144 — 145.
[2]) Kronika Domu stradomskiego. Initia etc. str. 145.

nastu, a ośmnaste miejsce zastrzegł pro corrigendo sacerdote [1]).

Przełożonym na Stradomiu w tych nieszczęśliwych czasach był ks. Andrzej Hewner (od Bożego Narodzenia 1776 do lipca 1795 roku). Po jego rezygnacji superjorem został ks. Michał Świżyński i sprawował ten urząd do czerwca 1800 r. Potem przypadają krótkie rządy ks. Wojciecha Piętkiewicza, który zmarł 10 sierpnia 1801 roku. Były to czasy pełne niepokoju: rozbiory Polski, zajęcie Krakowa przez wojska polskie i obce. O czem w Kronice Stradomskiej (str. 150) czytamy: „1796 dnia 6 stycznia opuścili Prusacy Kraków, którzy trzymali go pod swą władzą po wielkiem powstaniu, tu uczynionem przez Kościuszkę, pierwszego za rządcę Królestwa, czyli Naczelnika. Weszli cesarscy. Homagium od wszystkich mieszkańców wszelkich stanów odbierał dnia 17 sierpnia tegoż roku J. Król. Cesarska Mość, w osobie J. O. księcia Auszperk w kościele Marjackim w rynku. Mszę śpiewał Celsissimus Ordinarius Turski. Te Deum laudamus śpiewano w Katedrze".

Od października 1799 r. było dwóch polskich wizytatorów w naszej prowincji Misjonarskiej: wizytator generalny warszawski ks. Józef Jakubowski i wizytor prowizoryczny dla Misjonarzy polskich w kordonie austrjackim; ten ostatni ustanowiony pod przymusem rządu austrjackiego, nie życzącego sobie komunikacji Misjonarzy z Warszawą. Wizytatorem dla kordonu austrjackiego prowincji polskiej został ks. Józef Dębkowski, superjor domu lubelskiego. Do niego więc należał Stradom. Już ks. Piętkiewicza przełożonym mianowali obaj wizytatorowie za wzajemnem porozumieniem [2]).

Ks. superjor Michał Świżyński prowadził osobną swą księgę, raptularz, w którym wszystko bez porządku notował

---

[1]) Cathalogus clericorum alumnor. in semin. domus Stradomiensis C. M., karta przedostatnia.

[2]) Kronika Strad., str. 151.

na różnych miejscach [1]). Otóż on pisze (l. c. karta 6 i następne), że piątego stycznia 1796 r. weszli do Krakowa Austrjacy. W sierpniu 13-go złożył w imieniu ks. wizytatora „plenipotencję“, a na następny dzień miał posłuchanie u księcia Auersperga. Z początkiem 1800 r. przybył do Krakowa ks. Dębkowski, by osobiście przedstawić się nowemu rządowi. Dnia 15 października 1798 r. przybyli na Stradom dwaj komisarze, by upatrzyć miejsce dla chorych Moskali. (Świżyński. K. 13.). W czerwcu (7—24) 1799 r. przechodzili przez Kraków Moskale, idąc na Francuzów. W lutym 1800 roku wracając, Moskale umieścili swych chorych w naszym domu. Mianowicie 16 lutego przybyło 30 Moskali chorych, w dwa dni później 85, 20 lutego 70, 22 lutego 92. (Świżyński K. 21—22).

Na takie to czasy przypada fundacja Kapituły katedralnej krakowskiej Była to Kapituła głośna z zasług i gorliwości, sławna z liczby kanoników, dostatku, a zwłaszcza z osób, wielkich pochodzeniem, a zazwyczaj także znakomitych wiedzą i cnotą. Całą wartość okazała w stosunku do biskupa Sołtyka, którego popierała, mimo prześladowania od niego i innych. Zresztą sama fundacja wskazuje dostatecznie, co za żywioły panowały wówczas w Kapitule krakowskiej. Im zależało na dobrym klerze, skoro takie sumy potrafili wyłożyć na jego wychowanie. Przypatrzmy się tej fundacji.

Dla nowej fundacji rozpoczęto nowy katalog alumnów, a na czele umieszczono najgłówniejszy ustęp Aktu erekcyjnego, podpisanego przez ks. Józefa Olechowskiego, sufragana i archidjakona krakowskiego, pod datą 8 maja 1791 r. [2])

---

[1]) „Notatki ks. Michała Świżyńskiego, superjora domu Stradomskiego, 1795—1800“, tytuł późniejszy. Format 38×12 cmt., oprawa: grzbiet i rogi ze skóry, okładka z tektury, ze sznurkami do wiązania. Kart 92.

[2]) Katalog tej fundacji ma format 33×20½ cm.; oprawa: grzbiet w skórę brunatną, okładka z tektury, końce w skórę oprawne, sznurki do wiązania. Na grzbiecie nalepiono tytuł: „Nowa ordynacja Seminarji; Cathalogus alumnorum“. Na okładce zaś przylepiono kartkę w formie serca

Strona finansowa fuudacji kapitulnej. Na cele Seminarjum Stradomskiego złożyła Kapituła katedralna krakowska stodwadzieścia tysięcy złotych polskich jako kapitał żelazny, mający przynosić stałe dochody. W tej sprawie zapadła odnośna uchwała Kapituły w sobotę dnia 16 kwietnia 1791 r. Wspomnianą sumę oddano na pożyczkę, aby w ten sposób uzyskać procent stały. Mianowicie połowę, to jest sześćdziesiąt tysięcy, wypożyczono Urszuli z Morstinów Dembińskiej, staroście wolbromskiej, hipotykując ją na majątku Węgrzynów, w województwie krakowskiem leżącym; czego dokonano aktem w grodzie krakowskim dnia 23 kwietnia 1791 roku. Drugie sześćdziesiąt tysięcy ulokowano na dobrach Karniewice, leżących w województwie krakowskiem, i na Krzonowie, w województwie sandomierskiem, majątkach należących do Joachima Morstina, starosty skotnickiego; akt odnośny sporządzono w grodzie krakowskim dnia 30 kwietnia 1791 roku.

Procent, jaki mieli płacić od tej sumy 120 000 złp. ułożono na 6 000 złp. rocznie, czyli po 5 od sta. Procenta pobiera Kapituła. A superjor domu Stradomskiego ma otrzymywać od prokuratora Kapituły co rok sumę pięć tysięcy siedmset złp. na utrzymanie seminarjum stradomskiego: i to w dwóch ratach po 2850 złp. w miesiącu lipcu i styczniu. Pierwszą ratę podjąć miał w lipcu 1792 r., drugą w styczniu 1793 i tak dalej co rok. Superjor ma za każdym razem dać prokuratorowi pokwitowanie na pobrane sumy.

Podział procentów jest następujący: Najpierw na alumnów, których ma być dwunastu, przypada 3600 złp.; czyli po 300 złp. rocznie na jednego. Fundacja utrzymuje alumnów tylko podczas roku szkolnego, a nie podczas wakacyj. Powtóre na utrzymanie profesorów wyznaczono roczną sumę

---

a na niej napis: Cathalogus alumnorum in Fundatione nova sub tutela Reverendissimi Capituli Cathedralis Cracoviensis existentium a die 1a 7bris 1792". Pierwsze dwie kartki wolne, potem 4 kartki aktu erekcyjnego, dalej $5^1/_2$ kartki katalogu alumnów przez 10 lat, to jest od 1 września 1792 do 30 czerwca 1802 r. Potem wszystkie dalsze karty niezapisane.

16.000 złp. Dalej na naprawę domu (sarta tecta domus), oraz na naczynia kuchenne, jakoteż na opłatę podróży profesorów, przybywających z innych domów na Stradom, odliczono rocznie 500 złp. Po czwarte, dla Kapituły krakowskicj „in consolationem pro tutela, ad mentem statutorum", czyli na osłodzenie opieki nad seminarjum, corocznie daje fundacja 100 złp. Osobno zaś prokurator Kapituły za staranie, ponoszone około tej fundacji, miał przeznaczone rocznie 30 złp., a również tyle wiceprokurator. Wreszcie na cele wydobycia dochodów (pro vindicatione censuum), gdyby potrzeba było osobno o to czynić starania, odkładano rocznie 140 złp. W ten sposób roczny dochód rozłożono na różne pozycje.

Gdyby kiedy rata od dłużników nie wpłynęła, to Kapituła przyrzeka ze swych pieniędzy wypłacić ją superjorowi, ale tylko za jeden rok. A w takim razie poczyni ona starania; by należną sobie sumę wydostać i stąd mieć odszkodowanie. Ale to może rzadko się zdarzy, a suma 146 złp. odkladana właśnie na cele windykacji procentów, urośnie tymczasem tak, że stanie się dostatecznem źródłem, z którego będzie można zaczerpnąć tymczasowo dochód na wypłacenie zaległych rat. Gdyby zaś roczny dochód zmalał na stałe, to trzeba będzie zmniejszyć liczbę alumnów tak, aby na jednego wypadło po 300 złp. rocznie.

Nadzór Kapituły. Z pieniędzy, jakie superjor stradomski pobierze na księży profesorów, oraz na dom, kuchnię i podróże profesorów, ma obowiązek wyliczyć się tylko przed swymi przełożonymi Zgromadzenia a Kapituła tych pozycyj nie bada. Ale ze sumy, przeznaczonej na alumnów, musi on zdać ścisły rachunek przed kanonikami prowizorami lub względnie przed Officium Generale, albo przed innymi wizytatorami, czyli kalkulatorami, których wyznaczy biskup krakowski lub wikarjusz kapitularny.

Sposób wyliczenia się ma być najdokładniejszy. Rewizorzy mają badać czy liczba alumnów była pełna według przepisu tej fundacji, to jest dwunastu. Dalej, czy pożywienie

dostateczne i odpowiadające kwocie przeznaczonej na alumna. Trzeba w katalogu alumnów oznaczyć dokładnie dzień przybycia alumna, oraz dzień odejścia; albowiem za każdy dzień nieobecności należy odliczyć kwotę odpowiednią. To, co się zyska za nieobecność alumnów, ma obrócić na utrzymanie alumnów nadliczbowych. Wykonanie tego przepisu widzimy w Katalogu najdokładniejsze. Już w pierwszym roku fundacji znalazło się 465 dni wolnych. Rewizji dokonali księża kanonicy krakowscy Ignacy Skarbek Woyczyński, delegat Kapituły krakowskiej i Karol Lochmann, prowizor seminarji. W drugim roku widzimy obok dwunastu fundacyjnych alumnów, aż trzech nadliczbowych. Rachunki podpisali ci sami kanonicy 6 listopada 1794 r. W trzecim roku było alumnów czternastu. Rachunki podpisał sam tylko kanonik Lochmann. W czwartym roku było kleryków 17, w piątym 15, w szóstym 16, w siódmym 14, w ósmym 13, w dziewiątym 14, a w dziesiątym roku fundacji 12. Od czwartego roku fundacji prowizorem jest ks. B. Trzebiński, kanonik katedralny krakowski, który sam tylko podpisał rachunki; tylko rok szósty i dziesiąty nie wykazują żadnego podpisu. Na początku 10-go roku połączono prowizorycznie ze Stradomiem seminarja Akademickie i Zamkowe w październiku 1801 r. Oprócz tej rewizji finansów, Kapituła miała jeszcze wglądać w stan moralny seminarjum. Superjor stradomski był obowiązany aktem fundacji przedkładać Kapitule krakowskiej, podczas „generalnej Kapituły“ co rok w maju spis alumnów, zaznaczając odkąd przebywa każdy w seminarjum, jakie są ich postępy w nauce i cnocie i jaką budzą nadzieję pożytków duszpasterskich dla dyecezji.

Obowiązki alumnów. Na mocy niniejszej fundacji, jako też na podstawie rozporządzenia, jakie wydał Urząd biskupi krakowski dnia 11 sierpnia 1787 r., dla wszystkich seminarjów dyecezji krakowskiej, alumni mieli odbywać trzechletnie studja. Fundacja stawia to za zasadę; dopuszcza jednak możliwość wyjątku, w którym alumn może już po dwóch latach — ale nie prędzej — być wypuszczonym ze semi-

narjum. Warunkiem było w takim razie, aby alumn taki naprawdę miał już po dwóch latach dostateczny postęp w nauce i cnocie (adaequate excultum) a wtedy nie może go wypuścić superjor — jak to postanawiała fundacja Szaniawskiego — lecz Prowizorzy lub Officium Ordinarium. Alumni tej fundacji wyświęceni na kapłanów, po wyjściu ze seminarjum muszą pracować jako wikarjusze w dyecezji krakowskiej przynajmniej przez tyle czasu, przez jaki korzystali z powyższej fundacji. Z tej też przyczyny fundacja ta dopuszcza jako titulus ordinationis fundacjonalistów tylko titulus vicariatus sam lub połączony cum institutione ad curam animarum a zabrania im święcić się ad titulum beneficii simplicis. Jest to najściślejszy i niedopuszczający dyspenzy obowiązek dla alumnów tej fundacji. Ktoby zaś z pośród nich nie chciał zgodzić się na vicariatus sive provisionalis sive per Institutionem dari solitus, to musi zwrócić do kasy seminarjalnej wydatki za czas, przez jaki korzystał z fundacji i o ile go nie odsłużył. Zaraz w drugim roku znajdujemy taką refuzję kosztów przez księdza Wincentego Moleckiego, który spłacił 293 złp., by się uwolnić od dalszego obowiązku wikarjusza. W trzecim roku złożył z tego tytułu ks. Stanisław Jaskierski 510 złp., a w następnym ks. Jakób Pyżowski 518 złp.

Obowiązki objęte przez wyrażenia devotiones, officia, obsequia, jakie ciążyły na alumnach za fundacji księcia biskupa Szaniawskiego, pozostają nadal a nadto obecni alumni mają sub onere conscientiae, gdy zostaną kapłanami, odprawić po dziesięć mszy świętych, za zmarłych niemających żadnej specjalnej pomocy.

Konwiktorzy. O konwiktorach, to jest klerykach, płacących za swoje utrzymanie w Seminarjum, dowiadujemy się z osobnego katalogu [1]). Fundacjonaliści otrzymywali gra-

---

[1]) Ten katalog dodatkowy, jest oprawny; grzbiet i rogi w skórę, boki z tektury, format 32¼×20 cm. Tytuł na grzbiecie nalepiony: Clerici de fundatione Capituli viventes. Na pierwszej karcie spis personalu

tis mieszkanie i pożywienie; konfiktorzy musieli za pożywienie płacić. Z rachunków widać, że im także liczono za rok po 300 złp. Konwiktorów była znaczna liczba. I tak w r. 1796 na 1797 jest ich trzynastu, w następnym roku dwudziestu, w r. 1799 dwudziestu siedmiu, zaś w rok potem 28, wreszcie w latach 1801 na 1802 tylko dziewięciu.

Studja. O sposobie nauczania w okresie tej fundacji daje nam wiadomości ks. Jan Kanty Górnicki, prefekt Seminarjum zamkowego, który w listopadzie 1801 r. dla rządu austrjackiego, zajmującego od roku Kraków, napisał opinię [2]) swoją, na pytania przez ten rząd postawione co do seminarjów krakowskich. Na pierwsze pytanie: Jaki jest stan trzech seminarjów w Krakowie istniejących? Jaka liczba alumnów się w nich wychowuje? Odpowiedział ks. Górnicki, że co do stanu nauki, to alumni uczą się następujących przedmiotów: teologji dogmatycznej, moralnej, pastoralnej, prawa kościelnego, hermeneutyki, egzegezy Nowego Testamentu, logiki, metafizyki, rytu sakramentów „cum historica eorumdem notione" wymowy świętej wraz z praktyką kazań i katechizmu, rubryk mszału i brewiarza wraz z komputem kościelnym, ceremonji większych i mniejszych, wreszcie śpiewu gregorjańskiego. Metoda nauczania polega na krótkim wykładzie przedmiotu, którego alumni uczą się z oznaczonych podręczników. Mianowicie do dogmatyki użyto podręcznika Klüpfla [3]), moralnej wyznaczony jest

misjonarskiego i alumnów, potem wyjątki z katalogu konwiktorów 1800 r. i funkcjonalistów z lat 1798 i następnego zapisanych kart 5. Na odwrotnej stronie księgi, czyli na końcu, zapisanych kart 8; znajdujemy tam katalog konwiktorów od r. 1796 do 1802. Uwzględnia głównie stronę finansową. Płacili po 30 złp. za miesiąc, jak widzimy z prośby Tomasza Szczepanowskiego, z 12 maja 1824 do Konsystorza krakowskiego Nr. 685.

[2]) Opinio ad quaesita Excelsi Gubernii de Seminario proposita a subsignato in Commisione Guberniali dictata ad Protocolum Commissionis 1801 a. diebus novembris. Sześć kart in folio własnoręcznie pisanych przez ks. J. K. Górnickiego.

[3]) Engelbertus Klüpfel, Institutiones theologiae dogmaticae. 2 tomy, wyd. I. 1789 w Wiedniu.

Schanza [1]), do pastoralnej Giftschütz [2]), do prawa kościelnego Cavallari [3]) z dodatkami z Pehema, do hermeneutyki Kopf wraz z dodatkami pisanymi. Profesor pyta uczniów codzień, wyrywając kilku według swego uznania; a co miesiąc odbywa się egzamin z materjału przerobionego w tym czasie, wobec przełożonego i innych profesorów. Przy pytaniu objaśnia profesor i stosuje naukę do praktyki.

Z doboru podręczników, jakie tu podaje ks. Górnicki, jasno widać, że zabiegał o względy ówczesnego rządu austrjackiego. Zwłaszcza książka Pehema jest przesiąknięta Józefinizmem. Co do planu nauczania powiada, że rok szkolny zaczynano w pierwszych dniach września. Alumnów rozdzielano na klasy w miarę ich wykształcenia. Ci co przyszli bez wykształcenia filozoficznego uczęszczali rano na filozofię, po południu zaś na teologję moralną. W drugim roku słuchali dalej moralną i zaczynali dogmatykę. Na trzeci rok przypada dalszy ciąg dogmatyki i zaczęcie prawa kościelnego. Na czwartym roku kończyli prawo i uczyli się pastoralnej. Historji nie brano osobno, lecz poprzestawano na tem, co przychodziło w dogmatyce, prawie i innych naukach, a czytano historję w refektarzu podczas obiadu i kolacji. Zdaje się, że czwarty rok wprowadził w swój plan dopiero ks. Górnicki. Mniejsze ćwiczenia (exercitia minora) odbywały się codzień przez trzy kwadranse, a mianowicie: w niedzielę ceremonje praktyczne i śpiew gregorjański, w poniedziałek rubryki mszału i brewjarza, we wtorek wymowa kościelna, we czwartek obrządki sakramentów, w piątek hermeneutyka z exegezą W tych ćwiczeniach brali udział wspólnie wszyscy alumni.

---

[1]) Vencelaus Schanza. Moralis christiana in systema redacta. 4 tomy Viennae 1785.

[2]) Franc. Giftschütz. Institutiones theologiae pastoralis. Viennae 1789. 2 tomy. Polski przekład sporządził Chodani. Wilno 1824.

[3]) Dominicus Cavallari. Institutiones Iuris Canonici. Paviae 1789; Wilnae 1804.

Jos. Joan. Pehem Praelectionum in ins ecclesiasticum universum partes tres. Viennae 1791.

Co do ćwiczeń pobożnych powiada ks. Górnicki, że alumni mają codzień pół godziny rozmyślania, poczem czytają jeden rozdziałek Ewangelji — klęcząc, jak pisze dyrektor kleryków ks. Gołębiowski w swym referacie w r. 1791. Procz tego jest wspólne czytanie duchowe, rachunki sumienia, dwa partykularne i jeden generalny; dalej konferencją jednego z księży profesorów co środę, przyczem pyta alumnów niektórych o powtórzenie rozmyślania. W sobotę odbywają alumni spowiedź a w niedzielę przystępują do komunji św. Co rok są rekolekcje pięciodniowe.

Porządek dnia został ten sam co dawniej. Mianowicie o godzinie 5 wstają, 5½ medytacja, o 6 horae canonicae, o 7 msza św., o 9—10½ lekcja, o 11 rachunek sumienia, de profundis pro benefactoribus mortuis, obiad. Potem godzina rekreacji pod przewodnictwem jednego z profesorów. Po niej Cursus de Beata Maria Virgine pro benefactoribus vivis. O godzinie 1¼—2 lectio ex minoribus, potem zaś o ½4—5 główna lekcja popołudniowa. O godzinie 5 Matutinum, raz na tydzień dla wprawy. O 6 czytanie duchowne, o 6½ rachunek sumienia i kolacja. Po niej rekreacja do godziny 8, poczem examen generale, modlitwy, przeczytanie punktu rozmyślania. O wpół do dziewiątej silentium i gaszenie światła. W czasach nieobjętych wyliczonemi zajęciami odbywa się studjum w milczeniu.

Co się tyczy ilości alumnów, to w Seminarjum Zamkowem liczy ich ks. Górnicki 30. Na Stradomiu fundacyjnych 12, a 13 konwiktorów; a w Seminarjum Akademickiem 12, którzy płacą za swe utrzymanie.

To, co tu ks. Górnicki donosił rządowi austrjackiemu, daje nam ogólny rzut oka na ubiegły czas fundacji kapitulnej. Tylko, że slusznie przypuścić można, że nie używano wymienionych przez niego autorów, tak mile widzianych w Austrji w owym czasie, oraz że studja trwały tylko 3 a nie 4 lata.

System wychowawczy zostawiła Kapituła ten sam co dawniej. Okazał się bowiem dobrym. Dla tego Akt Erekcyjny tylko ogólnie go potwierdza w te słowa: „Na tę fun-

dację można przyjmować tylko tych, którzy posiadają w całej pełni wszystkie warunki, jakie książę biskup Szaniawski w swej Fundacji tego Seminarjum postawił dla mających być przyjętymi. Jak zaś ci alumni mają się w Seminarjum zachować, jak mają być prowadzeni i wychowywani, o tem nie daje się tu żadnego nowego rozporządzenia, lecz dopóki stolica biskupia nie wyda z czasem innych reguł — jakieby po myśli świętych kanonów i Kościoła Chrystusowego dla kierownictwa alumnów w seminarjach zdać się mogły pożyteczniejsze, dopóty prowadzenie tych alumnów tak pod względem obyczajów i studjów jako też co do praktyk pobożnych i nabożeństw, oraz obowiązujących statutów seminaryjnych, ma się we wszystkiem stosować do wyżej wspomnianej Erekcji Szaniawskiego pod względem ustaw i reguł oraz do Instrukcji dyecezjalnej wyżej wymienionej z r. 1787". Czyli, że system wychowawczy pozostał ten sam, a tylko studjum rozłożono na trzy lata.

W końcu Kapituła, mając na pamięci kasatę Jezuitów i praktyki cesarza Józefa II. względem zakonów, zabezpiecza swą fundację podwójną klauzulą. Najpierw powiada, że gdyby biegiem wypadków Zgromadzenie Misjonarzy zostało zniesione, czy to legalnie czy bezprawnie, na taki wypadek sumy przeznaczone przez Kapitułę na Seminarjum mocą tej fundacji, mają być uważane nie za własność Misjonarzy ale Dyecezji Krakowskiej, więc nie mogą być w żaden sposób objęte taką kasatą, ale zawsze mają iść na wychowanie kleru dyecezjalnego. Powtóre zastrzegła sobie Kapituła wolność przeniesienia tych kapitałów, gdyby biskup, za zgodą Kapituły — a nie inaczej — chciał odjąć Seminarjum Misjonarzom a oddać je w innym miejscu, innym nauczycielom pod kierownictwo, jeżeliby za tem przemawiały wielkie i słuszne powody.

Oto ogólny rzut oka na Seminarjum Stradomskie w latach 1792 — 1802. Następuje trzeci okres w rozwoju Seminarjów krakowskich, gdy z rozkazu rządu austrjackiego, wszystkie trzy seminarja duchowne, złączono w jedno na Stradomiu. (C. d. n.). *X. Franc. Bączkowicz.*

Misje w czasie wojennym.

(C. d.)

W tejsamej trójce odprawiliśmy jeszcze misje: w Mokremlipiu 10—17 czerwca, w Szczebrzeszynie 18—25 czerwca, w Goraju 25—30 czerwca, w Krasnobrodzie 1—9 lipca, w Radzięcinie 9—13 lipca, w Frampolu 14—18 lipca.

Z powodu żniw zrobiliśmy przerwę w misjach i skończywszy pracę w Frampolu wśród niewypowiedzianego entuzjazmu ludu, który nam na pożegnanie jako upominek złożył pierwociny swoich żniw: piękny wieniec, uwity ze zbóż, przetykany cudnymi chabrami i czerwonymi makami, wróciliśmy przez Lublin do Krakowa. Jednakże reszta parafij w Lubelszczyźnie czekała na nasze przybycie i dlatego też, skoro tylko pokończyły się najpilniejsze prace w roli, pojechaliśmy znowu: ks. Bibrzycki, ks. Dudziak i ja z końcem września w te same strony. Tym razem zaczynaliśmy od Wielonczy pod Zamościem. Miała to być pierwsza w całym szeregu nowych misyj. Ale zdołaliśmy jedynie tę jedną skończyć od 1—8 października, bo już nadszedł od komendy austrjackiej dla nas zakaz odprawiania dalszych misyj, zakaz kategoryczny, którego żadną miarą niepodobna było odmienić, mimo zabiegów z naszej i proboszczów strony.

Jeżeli zrobimy zestawienie [1]) tych misyj, które odpra-

---

[1]) Oszczów 2600 spowiedzi, 5600 komunji św.

Hrubieszów	5200 „	20.000 „		
Trzeszczany	2200 „	3200 „	28 nawróc. z prawosławia.	
Horodło	1475 „	4200 „		
Dubienka	2300 „	4900 „	49	„
Uchanie	3300 „	5800 „	53	„

wiliśmy w tem jednem lecie 1916 r., to otrzymamy obraz wspaniały: 15 misyj, 57.397 spowiedzi, 216 200 komnnii św. i 225 nawróceń z prawosławia.

Wkrótce potem otrzymałem od komendy niemieckiej rozkaz, na podstawie którego zaciągnięto mnie do wojska pruskiego dnia 13 listopada 1916 r. Na razie więc ustały misje. Z żalem rozstawałem się z naszem primarium opus. Udało mi się jednakowo po kilku miesiącach służby wojskowej dostać częściowe uwolnienie od wojska celem duszpasterskiej opieki nad wychodźcami naszymi w djecezji hildeshajmskiej. Tam pracowałem od 30 marca 1917 r. do 12 października 1918 r., a ks. Lorek od 20 czerwca 1917 r. do 5 listopada 1918 r.

II. Fragmenta.

Przez cały rok 1917 nie było misyj z powodu trudności, sprowadzonych przez stan wojenny. W roku 1918 odbywały się, ale raczej dorywczo, fragmentarycznie, że tak powiem, bez związku z całością, bez dalszego planu, ale przecież odbyło się kilka. Ponieważ jednakże i o takich ułomkach powiedziano: „Colligite, quae superaverunt fragmenta" (Io. VI. 12), więc zbieram je tutaj, aby snadź pamięć o nich nie zaginęła.

Pierwszym takim fragmentem misyjnym była misja w Goli w Wielkopolsce, którą odprawiłem 2—8 stycznia 1918r.

Grabowiec	4883	spowiedzi,	11.000	kom. św.	57	nawróc. z prawosł.
Zamość	5100	„	28.000	„		
Mokrolipie	6500	„	17.000	„	8	„
Szczebrzeszyn	7500	„	38.000	„	30	„
Goraj	3700	„	16.000	„		
Krasnobród	7339	„	29.000	„		
Radzięcin	3200	„	8.900	„		
Frampol	3900	„	10.600	„		
Wielończa	5200	„	14.000	„		
	57.397		216.200		225	

Nazwiska nawróconych wpisane są w „Księdze misyjnej", przeznaczonej dla archiwum prowincjonalnego.

Ks. Tyczkowski i ks. Witaszek odprawili misję w Czaplach Wielkich w powiecie miechowskim 8—16 stycznia.

Miała się odbyć misja w Poznaniu, w katedrze; miał na nią przyjechać ks. Wizytator i ks. Buchhorn. Ale jeden nie dostał paszportu, a drugi zachorował, więc we dwóch tylko odprawiliśmy ją: ks. Bieniasz przybył z Chełmna, ja z Hildesheimu. Trwała od 4 do 14 marca 1918 r.

Ci sami odprawili misję w Poznaniu na Łazarzu od 16 do 27 marca. Skąd znowu wracałem czemprędzej do pracy swojej w djecezji hildeshajmskiej. Wypadki rewolucyjne wyrzuciły nas: ks. Lorka i mnie z Niemiec i znaleźliśmy się w Wielkopolsce.

Zaraz w grudniu, mianowicie 3—8 grudnia 1918 roku dałem jedną misję w Zaniemyślu, drugą w Gnieźnie w parafii Trójcy św. 8—21 grudnia, potem w Wyszanowie od 14—19 stycznia i w Strzelcach Wielkich 22—27 stycznia 1919 r., a ks. Lorek równocześnie 22—27 w Śnieciskach pod Środą [1]).

III. W djecezji podlaskiej 1919 r.

W następstwie wojny światowej i powszechnej rewolucji rozpadły się trzy największe mocarstwa europejskie, a z gruzów ich wyrosła niepodległość Polski. Rząd rosyjski swojego czasu pokasował różne djecezje w Kongresówce, między innemi i djecezję podlaską. Skoro odżyła państwowość polska, odżyły i dawne tradycje. Wskrzeszono pokasowane djecezje; wskrzeszono i djecezję podlaską. Biskupem

[1])

Gola	960	spowiedzi,	2600	komunij św.
Czaple W.	?	„	?	„
Poznań, katedra	8700	„	19.000	„
Poznań, Łazarz	16.800	„	24.000	„
Zaniemyśl	1400	„	3.700	„
Gniezno, Trójca	7600	„	16 800	„
Śnieciska	1200	„	2.900	„
Wyszanów	2300	„	4·600	„
Strzelce W.	6800	„	14.000	„
9	45.760	„	97.600	„

jej został ks. Przeździecki, zrazu z siedzibą w Siedlcach, a od 1920 r. w Janowie Podlaskim. Była to djecezja, która przez długie lat dziesiątki znosić musiała cały ciężar nienawiści prawosławia. Wielu wydała męczenników i bohaterów, ale przez wiek cały prześladowań narosło i dużo chwastu pod opiekuńczemi skrzydłami deprawacji istinno-rosyjskiej. Dużo kościołów katolickich i cerkwi unickich poprzemieniano na cerkwie prawosławne. Ale teraz, kiedy popi w trwodze opuścili swoje cerkwie i razem z umykającemi wojskami rosyjskiemi uciekli do Rosji, kiedy nie ciężyła nahajka moskiewska nad ludem ongi unickim, a rządy już wykonywało państwo katolickie polskie, zależało nowemu biskupowi podlaskiemu na tem, aby wśród ludności obudzić uśpioną świadomość katolicką, wlać w nią zapał dla sprawy katolickiej, naprawić szkody, wyrządzone duszom przez system moskiewski i przywrócić Kościołowi, co jeszcze jest do uratowania tak w duszach, jak i w świątyniach.

Do cerkwi, opuszczonych przez popów prawosławnych, o ile one dawniej były katolickiemi, posłał swoich księży i odzyskał w ten sposób znaczną część parafji. Dla rozniecenia zapału i świadomości katolickiej wezwał nas.

Zaczęliśmy pracę w Węgrowie: ks. Bibrzycki. ks. Lorek i niżej podpisany. Tu misja trwała od 22 lutego do 4 marca 1919 r. W tych samych stronach mieliśmy jeszcze do odprawienia 3 misje. Że jednak naglił biskup Przezdziecki, byśmy z stron czysto katolickich czemprędzej spieszyli w okolice prawosławiem przesiąknięte, więc nie było innej rady, jak te trzy pozostałe misje podzielić między siebie tak, żeby każdą z nich tylko jeden odprawiał, a pracę która domagała się 3 tygodni, ukończyć w jednym tygodniu. Pojechał więc ks. Bibrzycki na misję do Miedzny (4—10 marca), ks. Lorek do Korytnicy, a ja do Starej Wsi, w tymsamym czasie.

Dnia 12 marca już byliśmy w Siedlcach u Ekscelencji po bliższe informacje. Właśnie szło mu o to, aby na całem Podlasiu rozniecić pożar zapału i zagrzać zziębnięte serca i stępiałe umysły. Ale znów tej olbrzymiej pracy należało

dokonać w krótkim stosunkowo czasie. Dlatego najpierw w Parczowie byliśmy na misji wszyscy trzej Misjonarze, ale już tu rozdzieliliśmy się dnia 17 marca tak, że ks. Bibrzycki pojechał na misję do Wisznic (17—23 marca) razem z ks. Lorkiem, a ja do Motwicy, która jeszcze do 1918 r. była parafją prawosławną (17—23 marca). Z Wisznic ks. Bibrzycki udał się sam na misję do Opola (23—27 marca), ks. Lorek również sam do Gęsi, a ja z Motwicy udałem się do Dołhobrodów.

Zjechaliśmy się razem dopiero 28 marca w Sosnowicy, wsławionej pobytem Kościuszki w domu Sosnowskich. Sosnowica cała w gruzach leżała obecnie, wszystkie domu spłonęły w czasie odwrotu Moskali, ludzie mieszkali w znacznej części w ziemiankach, w norach podziemnych, ocalał tylko kościół, plebanja i murowaniec obok plebanii, t. j. dawniejszy dwór i mieszkanie Kościuszki. W pięknym tutejszym kościele odprawiliśmy misję wśród przepięknej pogody od 24 marca do 4 kwietnia.

Następne misje odprawialiśmy już razem: w Ostrowie od 6—10 kwietnia i w Włodawie od 10—15 kwietnia [1]).

Praca szła w szalonem tempie; od połowy lutego do połowy kwietnia, a zatem przez dwa miesiące odprawiliśmy 13 misyj, w tem 34.046 spowiedzi, 95.000 komunii św. i 287

[1])

Węgrów	4200	spow.,	15.000	kom.			
Stara Wieś	2800	„	10.500	„			
Miedzna	1300	„	3.900	„			
Korytnica	2300	„	5.200	„			
Parczów	4200	„	9.800	„			
Wisznice	2100	„	5.600	„	12	prawosławnych	
Motwica	1460	„	3.800	„	51	przeszło na katol.	
Opole	1400	„	4.300	„			
Dołhobrody	1100	„	3.900	„	63	„	
Gęś	1600	„	4.200	„	70	„	
Sosnowica	3680	„	9.800	„	21	„	
Ostrów	4300	„	10.800	„	8	„	
Włodawa	3600	„	8.200	„	82	„	
13	34.040	„	95.000	„	287	„	

nawróceń z prawosławia. Zdołaliśmy tego dokonać tylko dzięki temu, że na znaczną ich ilość rozdzieliliśmy się po jednemu, czyli brał na siebie jeden pracę, która trzem się należała. Ale znużenie też nasze było tak ogromne, że z radością kończyliśmy i w wielki czwartek wracaliśmy z Podlasia na zachód.

X. W. Szymbor.

KRONIKA.

Kraków — Kleparz.

Pod koniec grudnia 1919 r. Superjor domu kleparskiego ks. Antoni Weiss poszedł na Stradom w charakterze prokuratora prowincji a superjorem na Kleparzu został zamianowany ks. Franciszek Bączkowicz, asystent domu stradomskiego. Lecz mimo nowych obowiązków zachował nadal profesurę prawa kościelnego i teologji moralnej na Stradomiu.

Trzeciego stycznia 1920 r. stracił Kleparz brata Maksymiljana Talkowskiego, który tak dziwnie zrósł się z tym domem, że całe swe życie w nim przepędził. Był jedną z postaci charakterystycznych tego domu, jak niegdyś brat Jan Klecza, głośny długoletni furtjan kleparski. Tak jak brata Jana znano i ceniono powszechnie, taksamo chętnie witano i lubiono brata Maksa. Nawet w urzędach, do których udawał się w zastępstwie przełożonych, skoro zauważono jego okazałą postać, o głowie krótko strzyżonej, oczach wypukłych i jasnych, witali go i przed innymi przyjmowali stronami, bo ujmował sobie ludzi powagą i uprzejmością. Od niejakiegoś czasu zaczął tracić zdrowie, zwłaszcza, że już raz przechodził częściowy paraliż. Z czasem zapadł bardzo na serce. Pod koniec grudnia stan jego okázał się groźnym, więc wezwano drugiego lekarza, a ten orzekł, że choremu grozi blizkie niebezpieczeństwo śmierci. Wspomniałem choremu, że trzeba się liczyć z niebezpieczeństwem a on odrzekł spokojnie, że co do duszy nie zaniedbał starań. A czynił to, jak słyszałem od innych, od dłuższego czasu, zwłaszcza, gdy gazety zapowiadały „koniec świata". Koniec ten dla

wszystkich nie przyszedł, lecz brat Maks dobrze na tem wyszedł gotując się nań. — Przytem, jak całe swe życie dbał bardzo o dobro Zgromadzenia, tak i wtedy, gdy czuł się bardzo chorym, nie umiał przemódz na sobie, by się wstrzymać od zajęć swych codziennych. Wstawał więc punktualnie, modlił się wspólnie, chodził i krzątał się, a nawet we furcie zastępował chętnie i nie chciał odpocząć mimo próśb i nalegań. Nie było więc sposobu, jak oddać go do szpitala św. Łazarza i tak zatrzymać go w łóżku. Zawieźli go więc do szpitala po południu 3 stycznia. Zdało się, że zadowolenie i spokój, jaki znalazł pod opieką Sióstr odwróci niebezpieczeństwo, zwłaszcza, że czuł się o wiele zdrowszym. Lecz w trzy godziny po przybyciu nagle zasłabł ostatecznie, i w otoczeniu kapelana, Sióstr i służby szpitalnej zakończył życie spokojnie i prędko. Dom kleparski dużo stracił, bo brat Maks był prawą ręką przełożonych, gospodarzem zapobiegliwym i dbałym o dobro Zgromadzenia swem znawstwem różnych rzemiosł i urządzeń elektrycznych był pomocą wielką w domu. A jako Misjonarz był bratem znakomitym i wzorowym. Cenili go też nasi i obcy. Pogrzeb jego od św. Łazarza świadczył o tej czci dla zmarłego; brali w nim udział licznie nasi księża, klerycy i bracia wraz z ks. Wizytatorem, i zastępy Sióstr Miłosierdzia i wiernych. Brat Maks Talkowski pochodził z Wielkiego Bolemina w Prusach Zachodnich; urodził się 12 sierpnia 1862 r. jako syn bardzo majętnych rodziców.

Oprócz misyjnej pracy, której poświęcali się nasi konfratrzy księża Odrobina, Witaszek, Bibrzycki i Piasecki, inni księża domowi oddawali się pracy w kościele, w którym rozdzielano przeciętnie trzy tysiące komunii świętych co tydzień. Przed niedzielą pasyjną odbyły się doroczne rekolekcje ludowe, które głosił ks. Superjor. W poście ks. Graczyk dał w Tarnowie, w naszym kościele, dwie serje rekolekcji dla ludu tamtejszego. Pod koniec kwietnia księża Dudek i Marzotko głosili nauki do konwiktorów w zakładzie Ojców Pijarów w Rakowicach. — W kwietniu także poje-

chał ks. Konstanty Witaszek do Wilna na superjora domu, by wskrzesić dawne sławne prace Misjonarzy wileńskich na górze Zbawiciela. A za nim udali się tam w jakiś czas kolejno brat Cezary Kamiński, w którym straciliśmy znakomitego zakrystjanina naszego kościoła, a potem ks. Adam Piasecki. Od 10 września odbyły się doroczne rekolekcje a zarazem wizyta domu przez ks. Wizytatora Słomińskiego. Pozatem pracują nasi konfratrzy w Zakładzie im. ks. Siemaszki w Krakowie ks. Lorek jako dyrektor a w Czernej ks. Seweryn Korolczuk, z wielkiem wytężeniem sił ale i z pożytkiem. W Czernej przebudowano i rozszerzono zakład od strony podwórza, tak, że zyskał znacznie na pojemności i trwałości. — Dla wojska mieliśmy służbę duchowną nocną na dworcu kolejowym i obsługę duchowną nad chorymi żołnierzami w oddziałach szpitala w domach Sióstr Miłosierdzia przy ul. Warszawskiej. — Uczestniczyli w pracy nad ludem Górnośląskim z okazji plebiscytu księża Odrobina, Bibrzycki a jeszcze tam bawi ks. Świerczek. — W końcu zaznaczyć mogę, że od października zajął nam rozmownicę wojskowy urząd rozdzielczy, a w tymże czasie odstąpiliśmy na życzenie władz duchownych, dawną kaplicę ubogich na pomieszczenie Redakcji „Ludu katolickiego", który dotychczas wychodził w Tarnowie.

Ks. F. Bączkowicz.

Lwów. — Dom św. Kazimierza.

W roku 1912 dnia 17 lipca przybyłem do Lwowa, by objąć prace i obowiązki po ś. p. ks. Franciszku Blocku, superjorze tego domu, zmarłym w kwietniu tegoż roku. Po kapłanie tej miary ducha i cnoty, nie trudno było w obowiązkach tych zorjentować się, gdyż u niego wszystko było wypisane, rozłożone, ściśle oznaczone co do czasu, miejsca i sposobu. Obok swego urzędu był spowiednikiem Sióstr Miłosierdzia we wszystkich domach we Lwowie, dyrektorem stowarzyszenia Dzieci Marji w dwóch domach i katechetą szkoły prywatnej w domu św. Kazimierza.

Skład osób w tym domu stanowili wtenczas następujący kapłani: ks. Józef Sokołowicz, asystent domu i kapelan szpitala powszechnego, ks. Paweł Mixa, prokurator domu, ks. Tomasz Sołtysik, katecheta szkoły Konarskiego, ks. Zygmunt Bielawski, katecheta szkoły kolejowej i kapelan zakładu karnego dla kobiet, ks. Łucyan Lach, kapelan zakładu karnego dla mężczyzn, ks. Antoni Skrzydelski, kapelan szpitala św. Wincentego w domu Sióstr Miłosierdzia. Oprócz zwykłych zajęć w urzędzie spełniał każdy różne funkcje kapłańskie. Dnia 12 października pojechał ks. Mixa do Kołomyi w zastępstwo ks. proboszcza na parę tygodni.

Ks. Sokołowicz założył Stowarzyszenie Dzieci Marji ze służby szpitalnej złożone, tudzież arcybractwo Różańca św. i był ich gorliwym opiekunem i szerzycielem.

We wszystkich zakładach pod kierunkiem naszych księży odprawiały się rok rocznie rekolekcje dla osób różnego stanu. Prócz tego także w niektórych szkołach i zakładach pod obcym kierownictwem.

Rok 1913. — Dnia 5 kwietnia przybył na mieszkanie ks. Józef Słupina z Nowego Witkowa i z początkiem czerwca objął kapelanię w zakładzie karnym dla mężczyzn w miejsce ks. Lacha, który zapadł na zdrowiu.

W listopadzie tegoż roku dołączono do szpitala powszechnego nowo zbudowane oddziały zakaźne i poddano pod opiekę duchowną kapelana szpitala. Lecz do pracy tej dołączył Wydział Krajowy obowiązki kapelanii w kaplicy zakonnic Sióstr Serca Jezusowego. Nowe obowiązki odprawiania codzień mszy św. i wszystkich nabożeństw we wszystkie uroczystości, tygodniowa spowiedź zakonnic i konferencja co miesiąc, miały być tylko dodatkiem do zajęć kapelana szpitalnego. Zgromadzenie nie zgodziło się na przyjęcie tych obowiązków mimo wszelkich nalegań ze strony ks. biskupa przemyskiego Pelczara.

W listopadzie tegoż roku począł jeden z konfratrów dojeżdżać z nabożeństwem do szkoły gospodarskiej na Snopkowie pod Lwowem. Trzy razy tygodniowo ze mszą św.

a w niedziele i święta miewał naukę. Musiano jednak pracę tę przerwać dla różnych trudności z podwodami tudzież wymaganiami wygórowanymi.

Rok 1914. — Dnia 19 kwietnia jeden z konfratrów rozpoczął konferencje rekolekcyjne dla Sióstr Miłosierdzia. Dnia 27 kwietnia rozpoczęła się wizyta domu. Księdza Skrzydelskiego zamianowano prokuratorem domu.

Dnia 31 sierpnia zakończył swoje funkcje kapelana w zakładzie karnym dla mężczyzn ks. Słupina. Więźniów wszystkich wysłał rząd austrjacki do Mirowa na Morawach z powodu wypadków wojny. Proponowano w tym czasie Zgromadzeniu, by objęło w dalszym ciągu kapelanię nad więźniami w Drohobyczu, dokąd w przyszłości miano ich sprowadzić do nowo zbudowanych gmachów. Zgromadzenie jednak odpowiedziało odmownie. W sierpniu przybył do domu naszego ks. Stanisław Piasecki i został mianowany pomocnikiem kapelana szpitala powszechnego.

Rok 1915. — Dnia 15 stycznia wyjechał ks. Słupina do Jezierzan. Dnia 22 marca rozpoczął jeden z księży rekolekcje z ubogimi w kościele św. Kazimierza. Trwały cały tydzień. Ubodzy zbierali się wieczorem, o godzinie szóstej głoszono naukę, potem odbywało się błogosławieństwo Najśw. Sakramentem i modlitwy wieczorne.

Dnia 12 kwietnia odprawiono pierwszą mszę św. śpiewaną w kaplicy na Zofjówce. Prosiły nas o to Siostry Miłosierdzia z domu św. Kazimierza jako gospodynie tejże kaplicy, domu i otaczającego ją ogrodu. Od tego czasu nabożeństwa odprawiają się tam regularnie ku chwale Bożej i ku pożytkowi wiernych licznie biorących udział w nabożeństwach.

W tym roku odwiedzili nasz dom bardzo liczni konfratrzy, którzy tu przybywali w sprawach wojskowych do konsulatu niemieckiego.

Rok 1916. — Dnia 5 stycznia przyjechał ks. Pawłowski i zabawił tu w drodze do Białego Kamienia aż do 21 kwietnia. W dniu tym zaskoczyła go śmierć nagła. W marcu da-

wał jeszcze nieboszczyk rekolekcje uczniom szkoły Braci szkolnych. W czerwcu przybył do nas ks. Chenczel, proboszcz z Biłki Szlacheckiej, jak to czynił rok rocznie, z prośbą o pomoc w słuchaniu spowiedzi dzieci przed pierwszą komunią św. Na usługę tę jeździło zwykle trzech konfratrów.

Dnia 10 listopada odjechał ks. Mixa na Śląsk do służby wojskowej.

Dnia 13 listopada przybył do domu św. Kazimierza ks. Józef Leńko na mieszkanie.

Rok 1917. — Dnia 20 lipca poszedł ks. Sokołowicz do szpitala, jako ciężko chory na kurację.

Dnia 14 sierpnia przyjechał ks. Jaworek na zastępcę kapelana szpitala, chorego ks. Sokołowicza.

Dnia 19 października przyjechał ks. Masny z Czerwonogrodu, gdzie zastępował dwa lata chorego proboszcza i objął urząd kapelana przy szpitalu powszechnym. Jego pomocnikiem był zrazu ks. Jaworek a potem ks. Hładki.

Dnia 24 października przeprowadził się ks. Leńko do M. Seminarjum.

Rok 1918. — Dnia 7 stycznia umarł ks. Sokołowicz w szpitalu. Zwłoki sprowadzono do kościoła św. Kazimierza, skąd dnia 11 wyprowadzono je na cmentarz. Sumę żałobną celebrował ks. kanonik. grem. Librewski. Kondukt odprawił JE. ks. arcybiskup Bilczewski. Nokturny śpiewali klerycy OO. Franciszkanów. Duchowieństwa tak świeckiego jak zakonnego było bardzo liczne grono obok Sióstr Miłosierdzia ze wszystkich domów.

Dnia 12 marca pojechał ks. Skrzydelski na Śląsk do służby wojskowej.

Dnia 26 czerwca objął po mnie urząd Superjora ks. Jan Rossman, dotychczasowy superjor w Jezierzanach.

Urząd swój spełniał do czerwca roku następnego, poczem wyjechał do Tarnowa w tymsamych charakterze.

Ks. Ciopalski.

Ś. p. ks. Wizytator Józef Kiedrowski.

Dnia 10 lutego 1918 r. w Krakowie na Kleparzu, wśród pożogi wojennej, cicho i spokojnie zakończył życie 82-letni Jubilat, ks. Józef Kiedrowski, dawny wizytator prowincji krakowskiej, wielce zasłużony dla obydwóch rodzin św. Wincentego a Paulo, który, rzec można, organizował, podtrzymywał nadludzką pracą i ożywiał swym duchem apostolskim prawie wszystkie dzieła naszego Zgromadzenia w nowo powstałej prowincji krakowskiej i stąd słusznie obok ś. p. ks. Soubieille, dostał nazwę „ojca prowincji polskiej".

Ci dwaj kapłani byli ludźmi opatrznościowymi dla nowo wskrzeszonej prowincji krakowskiej, po zniszczeniu Zgromadzenia w Królestwie Polskiem w r. 1864. Gdy resztki synów św. Wincentego a Paulo w niemej boleści ducha i serca, po utracie Ojczyzny i Zgromadzenia, tułali się po świecie, nie mając ani swej prowincji ani domu, ani seminarjum, ani nadziei w lepszą przyszłość, wtedy właśnie Opatrzność Boska mały dom w Krakowie na Kleparzu obrała, który sam Ojciec Generał Étienne poświęcił 7 lipca 1863 r. Z tego ziarnka gorczycznego powstała nowa prowincja polska, która później rozrosła się w wielkie drzewo, rozkładające swe konary na drugą półkulę ziemską, do Ameryki północnej i południowej. Po kasacie Zgromadzenia utworzono w kwietniu 1865 roku nową prowincję, zwaną krakowską, do której należał dawny dom na Stradomiu i świeżo utworzony domek w Chełmnie (który niedługo potem rząd pruski zniósł po wojnie z Francją w r. 1871). O. Generał Étienne, jak był odnowicielem dla całego Zgromadzenia, tak i naszą nową prowincję polską, którą prawdziwie ukochał, otoczył

opieką ojcowską. Przy grobie i relikwiach św. Wincentego a Paulo zgromadził polskich księży i kleryków, których potem do Krakowa posyłał; stamtąd wysyłał i francuskich kapłanów, aby pomagali polskim Misjonarzom. Mimo to piętrzyły się trudności, zawody i krzyże na początku i później. Pierwszy wizytator ks. Piotr Oudiette po roku urzędowania wyjechał do Paryża, nie mogąc sprostać trudnościom (1866), perła Zgromadzenia ks. Wiktor Ożarowski wstąpił (1867) do Kamedułów na Bielanach; inni kapłani n. p. Ernst, Rademacher, Kostrzewski, Bogatko, Ptaszyński, Popławski Aleks., Domagalski, Siedlecki, Olszański, Szczepański, Gawroński prędzej czy później opuścili Zgromadzenie. Z otwartego w 1867 r. 15/8 Seminarjum Internum, przez 14 lat, t. j. aż do przyjęcia wychowanków z Małego Seminarjum pozostał tylko jeden, inni opuścili Zgromadzenie lub poumierali. Taki święty kaplan i sługa Boży jak ks. Jan Binek, który zaczął urządzać Małe Seminarjum na Kleparzu, umarł w sile wieku († 1881), młodym umarł ks. Eugenjusz Lechevalier, światły i pobożny Dyrektor kleryków polskich i wielki miłośnik naszego Zgromadzenia (r. 1891 chory wyjechał do Jezierzan † 15/2 we Francji). Trzeba było organizować nową prowincję, nowe pola pracy się otwierały, rosły nowe potrzeby, a tu był wielki brak ludzi i funduszów do prowadzenia dzieł św. Wincentego a Paulo.

Otóż na te ciężkie czasy Pan Bóg wzbudził dwóch kapłanów, Misjonarzy ks. Józefa Kiedrowskiego i ks. Piotra Soubieille, których obydwóch O. Generał Étienne z Paryża do Krakowa posłał. Oni to, jako dwie kolumny, podtrzymywali nowe Zgromadzenie, kładli podwaliny pod nowe jego dzieła i ożywiali je duchem Bożym i św. Wincentego a Paulo.

Ks. Piotr Soubieille, jak Mojżesz, mądrością Bożą i rozumieniem ducha św. Założyciela zakładał nowe domy, dzieła, Seminarjum Internum, Małe Seminarjum, opiekę duchowną objął nad Siostrami Miłosierdzia, ubogimi i dziećmi, a czynił to cicho, spokojnie, wytrwale, kładąc swą całkowitą nadzieję

w Opatrzności Boskiej; przetrwał wszystko cierpliwie i doczekał się wielkich owoców.

Ks. Józef Kiedrowski w rozwoju naszej prowincji był jakby uosobieniem Eljasza, pełen ognia Bożego, którym sam płonął i drugich zapalał przez całe życie gorącem a wymownem słowem, świątobliwem życiem i owocami swych prac apostolskich. Całe życie gorzał na chwałę Boga, pożytek i dobro Kościoła świętego i w poświęceniu się całkowitem dla dusz, zwłaszcza dla obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo.

Duch św. Pawła Apostoła, którego tak czcił, uwydatniał się w jego życiu w gorliwości i pracach ewangelicznych, którym i do sędziwego wieku niezmordowanie się oddawał.

Jako orzeł wpatrzony w słońce wyprowadzał młodych Misjonarzy jakby orlęta do prac apostolskich, zwłaszcza do misji i rekolekcji ludowych. Gdy inni, słabszego ducha, opuszczali Zgromadzenie, on jako Cherubin ognisty z ognistem sercem i ognistem Słowem Bożem stał na wyłomie i musiał starczyć za wielu. Kiedy osoby z obydwóch Zgromadzeń chwiały się w powołaniu, lub zbaczały z dobrej drogi, on jak Rafał anioł umiał ich słodko a mocno na dobrą drogę naprowadzić.

Kiedy przemawiał, wszyscy pod czarem słów jego i namaszczenia Bożego, czyto lud, inteligencja, osoby zakonne czy kapłani, byli tak zasłuchani, że od tych nauk, choćby całe godziny trwały, oderwać się nie mogli, potędze jego wymowy oprzeć się nie było można. Taki dziwny dar słowa miał w konfesjonale, w prywatnych rozmowach; umiał dosadnie w kilku słowach w sedno trafić, rzecz trudną pod jakimś obrazem jasno przedstawić i wytłomaczyć.

A to słowo miało taką moc, bo pochodziło z serca wielkiego i przedobrego, pełnego miłości Boga i bliźnich, serca wyrozumiałego, współczującego nad nędzami ludzkimi tak co do ciała jak i duszy.

Zasadę św. Pawła i on w swem życiu wiernie stosował: t. j. stał się wszystkiem dla wszystkich, aby wszystkich dla Chrystusa pozyskać.

Sobą gardził, chciał być w ukryciu na uboczu. Jego hasłem było: dla bliźnich wszystko czynić, gdzie niema grzechu; dla siebie zaś mało, prawie nic nie żądać.

Cichość, słodycz, pokora, serdeczna życzliwość promieniowała od tego męża Bożego, stąd wzbudzał u drugich obok szacunku, wielkie zaufanie tak, iż każdy rad się do niego zbliżał.

Ten zaś kapłan, tak czynny, pracowity, rozrywany na różne pola pracy, przesiadujący całymi godzinami w konfesjonale, rozmiłowany był w modlitwie i ćwiczeniach duchownych, których nigdy nie opuszczał, nie skracał.

W wieku późniejszym zwierzył się, że jeszcze mu się nie zdarzyło w życiu (prócz ciężkiej choroby), aby Matutinum i Laudes nie zmówił przed mszą świętą. Trzeba było widzieć, z jaką budującą pobożnością ów Misjonarz odprawiał mszę świętą, brewiarz, czy medytację, aktami strzelistymi ciągle do Boga się zwracał. Jego serce ciągnęło do Najśw. Sakramentu, gdzie długo trwał przed Panem, nabożeństwo zaś do Najśw. Marji Panny było mu rozkoszą ducha i serca.

Obok modlitwy praca naukowa najwięcej go pociągała. Nikt by nie uwierzył, że ów miodopłynny, czy złotousty kaznodzieja, opracowywał swe nauki, pisał je całkowicie, czytał całe tomy, zwłaszcza autorów francuskich a z polskich czerpał nauki ze starych, dawnych pisarzy, stąd jego styl trącił dziwnym urokiem przeszłości, był dosadny, jędrny, ucinkowy, pełen polotu, trafnych porównań i zwrotów prostych a oryginalnych.

Nigdy poza czasem rekreacji nie próżnował, a i wtedy mówił w miły sposób budujące i ciekawe rzeczy z życia kapłańskiego, czy duszpastersktego. Nosił przy sobie notesiki i na wzór św. Tomasza z Akwinu, zapisywał sobie to, co trafnego usłyszał, albo jakie oryginalne myśli, czy nawrócenia, skrzętnie notował.

Dużo w życiu przecierpiał, a chociaż bardzo boleśnie to odczuwał w swem wielkiem, a tak wrażliwem sercu, znosił to wszystko cicho, w milczeniu, a nawet z radością. Jak nauczał, tak postępował: wosk cierpienia i krzyżów palił na ołtarzu serca Bogu, a miód słodkości wydawał drugim. Nie żalił się, ani się skarżył.

Nic więc dziwnego, że będąc tak cnotliwym, przepojonym miłością Bożą i przywiązaniem synowskiem do Zgromadzenia, też cnoty i ducha Bożego i miłość do Zgromadzenia w drugich przeszczepiał, boć jak zło, tak i dobro jest zaraźliwe.

Jako ogień przechodzący w płomień, ukryć się nie może, a w ciemnościach jeszcze lepiej się uwydatnia, tak ks. Kiedrowski, nietylko sam gorzał i drugich zapalał do dobrego, lecz i świecił przykładem i w Zgromadzeniu całem i poza niem. Owszem, rzec można, że nasze maluczkie Zgromadzenie na zewnątrz, przez księdza Kiedrowskiego najwięcej było znane w drugiej połowie 19 wieku, tak bowiem wszędzie znany był, szanowany i kochany ów Misjonarz „Ojciec Kiedrowski". Był ozdobą i chlubą naszego Zgromadzenia i jednym z tych wybranych, którego Bóg użył na pożytek Kościoła św. i obydwóch rodzin św. Wincentego i na zbawienie wielu dusz.

O takich wybranych mówi Pismo św.: „Wysławiajmy męże chwalebne i ojców naszych w rodzaju swoim. Ci wszyscy w rodzajach narodu swego sławę otrzymali, a za dni swoich byli w pochwaleniu. Oni ludzie miłosierdzia, których pobożności nie ustały. Ciała ich są w pokoju pogrzebione, a sława ich żyje na pokolenie i pokolenie". (Eccli. r. 44).

Ś. p. ksiądz Józef Kiedrowski (Ksawery, Adolf), urodził się 5 go sierpnia 1836 r., w Wielkim Lubieniu, w powiecie pleszewskim, województwie poznańskiem, z ojca Józefa i matki Marji Chojnackiej. Ród Kiedrowskich miał swe szlacheckie gniazdo rodzinne, w majątku ziemskim, Borucinie, gdzie jeszcze dziadek księdza Józefa z licznymi synami gospodarzył.

Ojciec księdza Józefa oddał się zawodowi nauczycielskiemu. Z dwóch braci księdza Józefa, starszy Wincenty był proboszczem w Góraju. Mały Józef do matki bardzo był przywiązany, postać tej dobrej matki snać tak głęboko utkwiła w pamięci i sercu ks. Józefa, że stąd brał w swych naukach nieprzebrane porównania, gdy mówił o dobroci matki, po jej wczesnej śmierci Józefem poniekąd opiekowała się L., jego starsza siostra. Gdy młody Józef ukończył niższe szkoły, wysłano go wraz z bratem 1 października 1849 r. do gimnazjum w Trzemeśnie (W. ks. P.). Swą wesołością, dowcipem, usłużnością i pilnością zjednał sobie i profesorów i kolegów, wśród których rozbudzał patrjotyzm, zapał do dobrego i serdeczne koleżeństwo i zamiłowanie do śpiewu.

Idąc za głosem powołania, wstąpił 27 września 1856 do seminarjum duchownego w Poznaniu. Tu cnotami, nauką takie sobie zjednał uznanie, iż jego przełożeni mianowali go dziekanem alumnów w seminarjum. Czwarty rok studjów teologicznych odbył w Gnieźnie; święcenia kapłańskie, które mu przyspieszono, otrzymał z rąk ks. arcybiskupa Przyłuskiego, dnia 31 maja 1861 roku, a prymicje swe odprawił u swego brata Wincentego, proboszcza w Góraju.

Przed gorliwym i zdolnym młodym kapłanem, powszechnie cenionym, otwierała się wielka przyszłość. Wnet ks. prałat Jan Koźmian, uprosił go sobie na prefekta do konwiktu w Poznaniu, gdzie wychowywali się synowie szlacheccy obywatelstwa poznańskiego.

Równocześnie powierzono mu urząd kaznodzieji w katedrze poznańskiej, gdzie zasłynął jako niepospolity mówca kościelny. Obok tych zajęć był jeszcze kapelanem w szpitalu SS. Miłosierdzia u Przemienienia Pańskiego w Poznaniu Nagle zesłał Bóg na ks. Józefa krzyż i cierpienie, a stąd wypłynęła dla niego łaska powołania. Popadł bowiem w ciężką chorobę, która mu groziła śmiercią, a mianowicie dostał gwałtownego wybuchu krwi, której nie mógł zatamować. Na szczęście przywołane Siostry Miłosierdzia, uratowały mu życie, które już uchodziło, przeniosły go w groźnym stanie

do swego szpitala i rozpoczęły nowennę do św. Wincentego a Paulo o zdrowie. I rzeczywiście, chociaż już zwątpiono o życiu ks. Józefa, po tej nowennie, polepszyło mu się i wyzdrowiał.

Ta śmiertelna choroba i cudowne uzdrowienie za pośrednictwem św. Wincentego, przy troskliwej opiece SS. Miłosierdzia, zrodziły w jego duszy niezłomne postanowienie wstąpienia do Zgromadzenia ks. ks. Misjonarzy.

Nie małe jednak były trudności, żeby to postanowienie wykonać, bo ani ks. arcybiskup Przyłuski, ani rodzina słyszeć o tem nie chcieli.

Lecz Pan Bóg przyszedł mu w tem z pomocą. O. Generał Etienne, wracając z Krakowa 1863 r., wstąpił do Poznania i tutaj ks. Kiedrowski miał sposobność osobiście pomówić z nim o swem powołaniu, który przyjął go do Zgromadzenia i polecił mu wyjechać do Paryża, dla odbycia tamże nowicjatu. Po wielkich trudnościach uwolnił się z dyecezji. Lecz największe przejście miał ks. Józef w domu rodzicielskim, skąd go puścić nie chciano i dosłownie gwałtem wyrwał się stąd, bo gdy ukochana siostra chcąc go zatrzymać, na progu się położyła, on przeskoczył przez tę kochaną przeszkodę i biegł za głosem powołania do Chrystusa i został, choć ze zbolałem i skrwawionem sercem „Ecce ego, quia me vocasti“... Otom ja, boś mnie powołał. Pan Bóg mu też za tę ofiarę serca zawsze błogosławił i dał mu jakoby tajemniczą moc nad zbolałemi sercami, które później tak przedziwnie leczyć umiał.

W Paryżu rozpoczął ks. Kiedrowski nowicjat 13 grudnia 1864 r. Tutaj w domu macierzyńskim, przy relikwjach św. Wincentego a Paulo, zastał młody kapłan, seminarzysta innych Polaków przyszłych Misjonarzy, między innymi swego najserdeczniejszego przyjaciela ks. Jana Binka, kleryka Adama Więcka, który przyjęty w Rzymie pieszo szedł do Paryża, byli tu klerycy Domagalski i Ptaszyński i ks. Melchior Wdzięczny, wysłany (sierpień 1863 r.) z Warszawy do Pa-

ryża, na życzenie O. Generała Etienne, który chciał mieć przy sobie warszawskich polskich Misjonarzy.

Chociaż nowicjat ks. Kiedrowskiego trwał zaledwie 8 miesięcy, to przecież wyszedł stąd przepojony na wskróś dziecięcą miłością do św. Wincentego i jego dzieł, i wyniósł na całe życie gorące przywiązanie do Zgromadzenia i następców św. Wincentego a Paulo.

Wysłany z Paryża wprost do Krakowa, stanął ks. Kiedrowski w nowym domu na Kleparzu 24 sierpnia 1865 r., pośród czterech konfratrów i zaraz rozpoczął gorliwą pracę jako kapelan w szpitalu św. Łazarza i nad Siostrami Miłosierdzia. Zachwycał i porywał wszystkich swą płomienną wymową, głosił słowo boże po kościołach krakowskich, rozszerzał nabożeństwo majowe, rozchwytywany nieraz wchodził z ambony na ambonę a w słuchaniu spowiedzi był niestrudzony.

29 grudnia 1865 r. przybył na Kleparz ks. Tomasz Popławski, profesor dogmatyki i dyrektor kleryków externistów w Warszawie, jego uczniem był ks. kardynał Ledóchowski, 11 maja 1866 r. musiał uciekać do Poznania potem do Chełmna.

Niebawem dnia 15 sierpnia 1866 r., przedzierając się przez kordony wojsk, w czasie toczącej się wojny austrjacko-pruskiej, przybył do Krakowa nowy wizytator ks. Piotr Soubieille i odtąd ci dwaj Misjonarze jakby związani z sobą, przez całe dziesiątki lat budowali, rozszerzali i podtrzymywali nową prowincję polską.

Śluby święte złożył ks. Kiedrowski 29 grudnia 1866 r. w małem oratorjum na Kleparzu (w dawnej zakrystji, dzisiejszej furcie, przylegającej do kościoła), w obecności ks. wizytatora Piotra Soubieille.

Niedługo po otwarciu nowego domu we Lwowie, przy kościele św. Kazimierza, pojechał ks. Kiedrowski tam z nowym superjorem ks. Filipem Miruckim 29 czerwca 1867 r. Tutaj sprawował urząd kapelana dla więźniów u Brygidek, których swą dobrocią wyrozumiałą zyskiwał dla Boga

i nawracał; długie bardzo lata przechowywała się tamże wśród tych biedaków wdzięczna pamięć o tym ewangelicznym dobrym samarytaninie.

Zaznały jego duchownej pomocy Siostry Miłosierdzia, które jakby odżyły na nowo pod jego kierunkiem. I na inne dzieła św. Wincentego i Stowarzyszenia wionął powiew wiosenny. Przedewszystkiem odżyło na nowo dzięki ks. Kiedrowskiemu dzieło misji, które jest jakby herbem naszym, boć od niego nazwę Misjonarzy nosimy. Zaraz po otwarciu domu św. Kazimierza dano misje w Mogielnicy, pracowali na tej pierwszej misji ks. Kiedrowski i ks. Mirucki 1867 r. W następnym roku 1868 były takie misje w Rozdole, Kochawinie, później 1869 w Krakowie u św. Florjana. W roku 1870 dano aż pięć misji dwutygodniowych po rozmaitych parafjach archidyecezji lwowskiej (Załośce, Tarnawica polna, Stanisławów, Niżniów i Monasterzyska). W r. 1871 widzimy tego niestrudzonego Misjonarza w Narajowie, a w 1874 r. odbyto walną misję, cały miesiąc trwającą w Krakowie na Piasku.

Obok misji ludowych, dzięki zabiegom Ks. Kiedrowskiego, wskrzeszono wielkie i pożyteczne dzieło: wspólnych rekolekcji dla kapłanów, zaczęło się we Lwowie przy licznym udziale kapłanów i ks. arcyb. Wierzchleyskiego. Później rekolekcje dla kapłanów weszły w zwyczaj po wszystkich dyecezjach w rozmaitych miejscowościach. Sama wiadomość, że dla kapłanów rekolekcje mieć będzie ks. Kiedrowski, ogromnie powiększała szeregi kapłanów, którzy pragnęli w swej pracy pokrzepić się słowem potężnem gorącego kaznodzieji i przykładem świątobliwego kapłana.

Od roku 1871 pod jesień został ks. Kiedrowski superjorem domu św. Kazimierza we Lwowie i rzec można z większą jeszcze intenzywnością oddawał się, niż poprzednio, pracom apostolskim, urządzał wycieczki apostolskie i exkursje do domów Sióstr Miłosierdzia, dawał rekolekcje różnym Zakonom i Zgromadzeniom. Z końcem maja 1879 r. odwołano go do Krakowa na Kleparz (5/VII), gdzie powstała jakby lotna

kolumna misyjna, na czele której stanął ksiądz Kiedrowski i rozpoczęły się przerwane misje z nową gorliwością, głównie we wschodniej Galicji, a mianowicie w Wielkich Mostach, gdzie ks. proboszcz Kajetan Sakowski, porwany przykładem księży Misjonarzy, zgłosił się do naszego Zgromadzenia i został przyjęty. Dalej odbyli misję w Załościach, Marjampolu, Brodach. W następnym roku 1880 pracowali w Baryszu i znowu w Marjampolu, Buchanowie, we Lwowie u św. Marji Magdaleny, w Bołszowcach, Rawie Ruskiej. Rakowcu i Bursztynie. Od maja 1881 roku przebiegają ciż Misjonarze z siejbą misyjną Rozdół, Leszniów, Narol, Rawę Ruską i Lwów, gdzie w więzieniu u św. Marji Magdaleny odbyli pięciodniową misję. W tem nagła śmierć ks. Jana Binka, dyrektora Małego Seminarjum w Krakowie z końcem lipca 1881 r., przerwała ów rozpęd misyjny, zabierając ich wodza ks. Kiedrowskiego, którego powołano na jego miejsce 5 sierpnia.

Posłuszny wezwaniu opuszcza ks. Kiedrowski ulubioną pracę misyjną, aby wśród młodzieży pracować nad ich urobieniem na przyszłych Misjonarzy. Ci z uczniów, którzy wtedy byli w Małem Seminarjum pod duchownym kierunkiem ks. Kiedrowskiego, z największą wdzięcznością wspominają tego czcigodnego i kochanego ojca duchownego, który ich ciepłem swego serca gorącego ogrzewał, pocieszał, wymownem słowem oświecał, wchodził, jak troskliwa matka, w potrzeby duszy i ciała.

Dwoma nawrotami pełnił ten urząd ks. Kiedrowski od 5 sierpnia 1881 do lipca 1882 r., a potem od Wielkiejnocy 1883 r. do grudnia 1884 r. i oddał Zakładowi nieocenione przysługi, że nietylko młodzież w duchu Bożym wychowywał, ale zorganizował i podniósł na wyższy poziom nauki, przy pomocy profesorów, a zwlaszcza ks. dra Warmińskiego, którego dla naszego Zakładu pozyskał, zaprowadził śpiew gregorjański, urządził bibliotekę i t. p. W kościele na Kleparzu organizował „Straż honorową Najśw. Sakramentu“.

Kiedy z taką miłością i poświęceniem oddawał się temu dziełu, nagle w grudniu 1884 powołano go na urząd Ojca duchownego dla alumnów Seminarjum w Krakowie na Stradomiu, który przez 4 lata do końca 1888 roku z największym pożytkiem sprawował. Wyrazem tej wdzięczności młodzieży duchownej są n. p. słowa Najp. ks. biskupa Nowaka, dawnego wychowanka jego (wystosowane do młodzieży z okazji 50-cio letniego jubileuszu kapłaństwa 30 kwietnia 1911 r.) „Drogi Ojcze, ile ja ci zawdzięczam, to Bogu najlepiej wiadomo. Ty przyszedłeś do nas z tym zapałem, który porywa do Boga. Ty nie pragnąłeś niczego, tylko by nas przygotować do naszego szczytnego posłannictwa kapłańskiego, by w nas wyrobić tego ducha Chrystusowego, który niczego nie szuka, tylko chwały Bożej i zbawienia dusz... przyjmij, Ojcze drogi, głęboki wyraz czci i podziękowania za to, coś dla djecezji św. Stanisława zrobił.

Dziękuję Ci w imieniu wszystkich djecezyj galicyjskich, nawet Polski całej, pokąd tylko wpływ Twój sięgnął, ale szczególniej w imieniu tych wszystkich, których przygotowywałeś do zawodu kapłańskiego, i tych, którym kiedykolwiek pomocą byłeś“.

Takim był dla kleryków i duchowieństwa, któremu przez całe tak dziękowano i w sercu głęboko złotemi literami wypisano imię jego. Osobną wielką kartę wdzięczności wypisaćby mogli i klerycy innych Seminarjów duchownych, którym nieraz z takim zapałem i namaszczeniem dawał rekolekcje przed święceniami, albo w innym czasie, zwłaszcza we Lwowie. Widzieliśmy u niektórych dzisiejszych dostojników Kościoła wyjątki z nauk rekolekcyjnych ks Kiedrowskiego skrzętnie ponotowane, które jako strzały ogniste mocno im w duszy utkwiły.

W tym czasie na usilne prośby książąt Sapiehów Zgromadzenie nasze przyjęło nowy dom i fundację w Jezierzanach na Podolu wraz z parafją tamtejszą, która jako ekspozytura należała do Borszczowa, I znowu na tę nową placówkę pracy duszpasterskiej upatrzony był nie kto inny, tylko

ks. Kiedrowski. Uwolniony od obowiązków ojca duchownego przy klerykach na Stradomiu przeniósł się czasowo na Kleparz w grudniu 1888 i przygotowywał się do tej nowej pracy, dawał rekolekcje przed święceniami kapłańskiemi wychowankom naszego Małego Seminarjum 1889 r., zajmował się od 1883 r. dziełem „Dzieciątka Jezus", wydając kwartalnie „Roczniki", odnowił i zorganizował na Kleparzu „Straż honorową Najśw. Sakramentu".

Dnia 1 lutego 1890 r. stanął ks. Kiedrowski z dwoma młodymi Misjonarzami, pierwszymi wychowankami Małego Seminarjum, w Jezierzanach. Były to ciężkie chwile. Dom nie był urządzony, ani kościół, parafja opuszczona. Wnet okazał ks. Kiedrowskt na tem nowem polu pracy dar organizacyjny ducha prawdziwie kapłańskiego i misjonarskiego.

Trzeba było widzieć, jak w krótkim czasie i dom i kościół wewnątrz i parafjanie i wszystko zmieniło się na lepsze. Nastał porządek i ład w domu i kościele, katechizacje zakwitły i nauki w kościele i wycieczki po parafji z gruntu przerabiały lud i religijnie i narodowo. Odnowiły się lub powstały bractwa i Stowarzyszenia; częste spowiedzi i komunje św. stały się zwyczajem, bo też Misjonarze codziennie siadywali w konfesjonałach. Aby odległej ludności parafji przyjść z pomocą, zwłaszcza dzieciom i chorym, sprowadził ks. Kiedrowski Siostry Służebniczki, które się osiedliły w kilku miejscowościach w parafji i błogą działalność rozwinęły.

Gorliwy proboszcz Jezierzański zaczął się krzątać około budowy [nowego kościoła w Zalesiu, zbyt oddalonego od kościoła parafjalnego. Niedługo stanęła świątynia, zaczęto potem budować kaplicę w Dawidkowcach, później coraz więcej ich powstawało. Spieszył z pomocą duchowną sąsiednim księżom proboszczom. Urządzał u siebie wspaniałe nabożeństwa, pierwsze komunje św. dla dzieci, misje i rekolekcje. W krótkim czasie Jezierzany stały się jakby punktem środkowym na całą okolicę, skąd promieniowała światła i świątobliwa postać ks. Kiedrowskiego, którego wszyscy

czcili i kochali jak ojca, tak księża, jak i okoliczna szlachta i panowie, a chyba najwięcej nasz ludek, któremu przychodził z pomocą tak w potrzebach co do duszy jako i co do ciała, n. p. po pożarze Jezierzan.

Od roku 1881 do 1891 misje ludowe ustały, bo zabrakło ks. Kiedrowskiego, a kilku konfratrów w tym czasie opuściło nasze Zgromadzenie. Zamiast nich w Krakowie na Kleparzu odbywały się rekolekcje ludowe, którym dał początek ks. Antoni Kowalik i prawie sam odprawił z ludem, według stanów, 71 seryj tych rekolekcyj z niemałym pożytkiem dla dusz, bo były to „głębsze nauki", jak mawiał poczciwy ludek, ujęty gołębiczą prostotą i niezmordowaną gorliwością zacnego Misjonarza, o którym cuda opowiadali ludzie i mieli go za świętego.

Tymczasem gdy młodzi wychowankowie Małego Seminarjum zostali wyświęceni na kapłanów, przezacny ksiądz wizytator Soubieille zaczął w roku 1890 i 1891 zaprawiać ich do dzieła misyj ludowych i sam w nich brał czynny udział, ale że brakło kierownika ks. Kiedrowskiego, a nić tradycyjna się urwała, więc nie mogły wydawać wielkich owoców. W tem za zrządzeniem Bożem nastała zmiana na lepsze, gdy ks. biskup Puzyna wezwał nasze Zgromadzenie do odprawiania tak zwanych misyj parafjalnych. Gorliwy ów arcypasterz, podówczas jeszcze biskup sufragan lwowski, powziął myśl wielką, żeby te parafje, które miał kolejno wizytować, wpierw były przeorane gruntownie pługiem misyjnym i do tej pracy powołał księży Misjonarzy.

Kierownikiem tych nowych misyj został na początek ks. Kiedrowski, który miał plany misyjne ułożyć, dostosowane do nowych okoliczności i nowych, przeważnie młodych Misjonarzy, do dzieła misyj wdrożyć. I tak znowu ks. Kiedrowski wyruszył z Jezierzan, jak orzeł z rozpostartemi skrzydłami gorliwości na podbój dusz, a za jego przykładem szedł ks. Antoni Gąsiorowski, a nieco później ks. Franciszek Kamiński, Sybirak i kapłani, którzy wyszli z Małego Seminarjum.

Od roku 1891 pod sterem ks. Kiedrowskiego zaczęto odprawiać misje w Sokołówce, Bóbrce, Świrzu, Starem Siole i Chodorowie i tak dalej obrabiano parafję po parafji, jeden dekanat po drugim, i odtąd w następnych latach bez przerwy dawano misje w różnych djecezjach. Tę samą metodę pracy misyjnej zaprowadził w djecezji krakowskiej ks. biskup Puzyna, gdy zasiadł na stolicy biskupiej św. Stanisława.

W ciągu tych prac apostolskich ks. Kiedrowski raz o mało co życia nie postradał. Gdy bowiem po odbytej misji w Limanowie w lutym 1894 r. wracali do domu, wóz się przewrócił na zamarzniętej rzece Łososinie, a ks. Kiedrowski wpadł w jej nurty.

Wskutek przemoczenia i zziębnięcia dostał zapalenia płuc i przez kilka miesięcy na dobre chorował i potem już rządziej brał udział w misjach już to dla słabości, już też jako proboszcz nie chciał się wydalać od parafji w Jezierzanach.

Obok misyj jeździł ks. Kiedrowski jako socjusz z ks. biskupem Puzyną podczas jego wizyt djecezjalnych. Księża proboszczowie byli mu bardzo wdzięczni, iż swym taktem i dobrocią wpływał na dobry przebieg tych wizyt, i że wiele niepotrzebnych kolizyj i nieporozumień przez to się usunęło.

W tych latach ustawicznej pracy duszpasterskiej i w Jezierzanach i po tylu misjach, rekolekcjach i przejściach ks. Kiedrowski raz po raz począł na zdrowiu zapadać, a kilkakrotnie tak ciężko chorował, iż obawiano się o jego życie. Ponieważ zaś powstał (r. 1890) nowy domek misyjny, czyli rezydencja dla księży Misjonarzy w Sokołówce pod Bóbrką, tam dotąd przeniesiono ks. Kiedrowskiego jako Superjora w lipcu 1894 r., aby nieco wypoczął. Tutaj niby wypoczywał, lecz rzeczywiście pracował sługa Boży, choć cicho, ale niemniej owocnie. Przypatrzmy się nieco tej jego wydatnej pracy w Choderkowcach, małej mieścinie, przylegającej do Sokołówki, gdzie mieszkał ks. Kiedrowski, aby z tego zrozumieć, jak gorliwy ów Misjonarz wszędzie, gdzie był, choćby

w bardzo niedogodnych warunkach, umiał działać na chwałę Bożą i zbawienie dusz. Aby utrzymać i lepiej zaopatrzyć szpital św. Wincentego a Paulo we Lwowie, nabyła Siostra Paulina Kulesza, przełożona, za pieniądze fundacyjne, nieduży folwark ze starem domostwem w Choderkowcach, a obok stojący domek w Sokołówce „Paulinówką“ zwany, oddano naszemu Zgromadzeniu. W tej rezydencji mieszkali od czasu do czasu księża Misjonarze w przejeździe lub dla odpoczynku, i odprawiali msze św. w małej, pokojowej kapliczce u SS. Miłosierdzia w Choderkowcach i na tem się prawie kończyło. Wtem zjawia się tamże ksiądz Kiedrowski na stały pobyt, i rozpoczyna się w tej sennej, ruskiej przeważnie miejscowości, niebywały ruch, odkąd nowy superjor obok nabożeństw zaczął głosić często ogniste kazania i przemowy. Wnet zaczęło się zbierać tylu ludzi, nawet z dalekich stron, jak na odpust, że miejsca nie było, iż na kurytarzach i podworcu stać musieli. „Żal mi ludu“ jęknęło na ten widok dobre serce ks. Kiedrowskiego, trzeba im zbudować kaplicę. Trzy lata ledwie upłynęły a już stanął na miejscu pokojowej kapliczki kościółek, pięknie pomalowany i ozdobiony, który ks. Kiedrowski poświęcił 29 września 1897 r. I odtąd ludność zewsząd tłumnie poczęła chodzić do tego kościółka, jak na cudowne miejsce, przeważnie Rusini, gdzie odmawiali głośno Różaniec św., odprawiali drogę krzyżową, spowiadali się i nauk pilnie słuchali. „Jakże tu nie chodzić, kiedy ojciec święty (t. j. ks. Kiedrowski) takie piękne nauki mówi, my tu teraz jak w niebie“ mawiali uszczęśliwieni ludziska. Z końcem 1898 r. dokonał tamże ks. Kiedrowski poświęcenia nowego domu na ochronkę dla dzieci w Choderkowcach, w następnym zaś roku odbyły się rekolekcje ludowe w tejże kaplicy, gdzie się wyspowiadało tysiąc osób. Powstał też dom za jego staraniem, gdzie się odbywały katechizacje, zebrania osobno dla chłopców i osobno dla dziewcząt, a nawet przedstawienia.

Wyrosło na tak podatnym gruncie „Stowarzyszenie Dzieci Marji“. Powstały też dzieła miłosierdzia i rodzaj

ambulatorjum dla ubogich i chorych. Podczas gdy młodzież znajdowała pouczenie i godziwą rozrywkę, to w pobliskim kościółku rozlegały się śpiewy pobożne, odprawiały się różne nabożeństwa, droga krzyżowa lub odmawiano Różaniec. Dawniej lud, jakby martwy, senny, leniwy, którego trzeba było muzyką w pole do roboty wywabiać, teraz stał się gorliwy, pracowity, do dobrego ochotny i umoralniony, ugrzeczniony i narodowo uświadomiony. Naprawdę zmieniło się oblicze ziemi. Gdzie była przedtem pustynia, zamieniła się w oazę pobożności i bojaźni Bożej i het daleko promieniowała znowu chwała Boża i zbawienie dusz.

Błogosławiona to ręka i serce, które przy pomocy Bożej wprost czy za pośrednictwem innych, tego wszystkiego dokonało!

Obok tych prac duszpasterskich, jak dawniej, tak i teraz z całą gotowością służył Siostrom Miłosierdzia, jako ich dyrektor, w prowincji chełmińskiej od r. 1893, po księdzu Kajetanie Sakowskim, który 1892 objął kierownictwo nad djecezjalnem seminarjum w Krakowie na Stradomiu. Dawał też rekolekcje i czynił exkursje do domów SS. Miłosierdzia z prowincji krakowskiej. Podobne usługi oddawał przeróżnym Zakonom i Zgromadzeniom.

Trzebaby skreślić osobny rozdział, aby dać obraz tego, co zdziałał ów sługa Boży przez całe swe długie życie, dla Zakonów i dla dusz Bogu poświęconych.

Miał on szczególny dar wpływania na osoby Bogu oddane. Swą ojcowską dobrocią, taktem, a nieraz wielką stanowczością wnosił reformę i do klasztoru i do jednostek. O, z jaką wdzięcznością wspominano „Czcigodnego Ojca Kiedrowskiego“ w zakonach męskich i żeńskich, gdzie się objawiała błoga działalność tego gorliwego Misjonarza, np. Norbertanki, Benedyktynki, Franciszkanki, Franciszkanie, kanonicy Lateraneńscy...

Jeśli różnym zakonom przejściowo oddawał ks. Kiedrowski usługi duchowne, to jakież musiało być to dobro, które tak często, a potem z obowiązku, jako ich dyrektor,

tak obficie rozpościerał w Zgromadzeniu SS. Miłosierdzia, zwłaszcza w tych latach, gdy był jeszcze młodszy i zdrowszy.

Owo pole pracy duchownej nad duchownymi córkami św. Wincentego a Paulo miało w tym zacnym Misjonarzu, obok gorliwości i poświęcenia, pewien odcień delikatności, szacunku i cichej wdzięczności. Pamiętał ksiądz Kiedrowski, i w niektórych razach jawnie oświadczał Siostrom Miłosierdzia, że im zawdzięcza swe życie doczesne i powołanie do Zgromadzenia. W księdze żywota wypisane jest to, co zdziałał dla dobra ich dusz, ilu z pomiędzy nich uratował powołanie, cnotę, postęp w doskonałości, i z jaką cierpliwością leczył ich choroby dusz, przenikając jakby nawskróś ich sumienia. Na ambonie i w konfesjonałach nieraz ostro przemawiał, bo mówił „owoce z drzewa mocno się wstrząsa, ale potem się je delikatnie zbiera, t. j. z wyrozumiałością i miłosierdziem Chrystusowem w konfesjonale przyjmuje".

Dzięki własnej pracy nad sobą, czytaniu książek, spowiedzi i komunikacji duchownych, tak znał dusze i ich potrzeby, cnoty i wady, iż w naukach swych i przemowach przedstawiał jakoby fotografje różnych dusz i sumień tak dalece, iż przychodziły do księdza Kiedrowskiego czasami osoby z ogromnem zdziwieniem i pytały się go, kto mu tak dokładnie ich życie, czyny, wnętrze duszy opowiedział, że one są właśnie takiemi, jak je w swych naukach przedstawił. Obok wonnych kwiatów, miała ta praca nad duchownemi córkami św. Wincentego i swe kolce, którymi jego czułe serce nieraz bywało do żywego zranione i rozdarte, lecz on się tem nie zrażał i mawiał ze św. Pawłem „wszystko to znoszę dla wybranych".

Kiedy się tu wspomina prace księdza Kiedrowskiego nad Siostrami Miłosierdzia, nie można pominąć dzieł, któremi się one z powołania swego zajmują, a więc: chorych po szpitalach, ubogich po zakładach, dzieciach, kalekach, więźniarkach, Stowarzyszeniach, a zwłaszcza Dzieciach Marji! żłóbkach, szkołach. Wszystkie te dzieła były przedmiotem troskliwości i pieczy duchownej księdza Kiedrowskiego. Nie

tylko spowiadał, nauczał tamże, ale urządzał rekolekcje, nabożeństwa różne, dbał o potrzeby biedaków i w tym celu sam zbierał jałmużny i rozkoszą jego serca było sprawiać drugim przyjemność.

Słowem, był ojcem najlepszym, stając się wszystkiem dla wszystkich.

Jego gorliwość znajdowała ujście urządzaniem wycieczek apostolskich do domów obydwóch Zgromadzeń, a wtedy mając sposobność zetknięcia się z ludem prostym lub dziećmi opuszczonymi, spełniał uczynki miłosierdzia co do ciała i duszy. A wszystko to czynił cicho, nieznacznie, w ukryciu.

Ileż to dzieł zawdzięcza swój początek jego inicjatywie, gorliwości i poparciu! On zaś krył to wszystko przed okiem ludzkiem i mówił w sercu „Samemu Bogu cześć i chwała, nam zaś uniżenie".

Ale Pan Bóg ma upodobanie pokornych wywyższać, i to objawiło się na księdzu Kiedrowskim. Właśnie tego pokornego sługę Swego, który chciał być w ukryciu i cicho na uboczu pracować, wyprowadza na jaw, stawia na świeczniku i czyni go pierwszym w maluczkiem Zgromadzeniu w Polsce. Gdy bowiem ów czcigodny Misjonarz, sterany pracami całego 64-letniego życia, i schorzały i nawiedzony głuchotą, która z latami stawała się coraz cięższa, miałby prawo poniekąd do zasłużonego odpoczynku, a przynajmniej do lżejszej pracy kapłańskiej, wtedy to po nagłej śmierci księdza wizytatora Piotra Soubieille w kwietniu 1900 r. za wolą Ojca Generała Fiat'a, a na przedstawienie ks. delegata Meugniot'a, powierzono księdzu Kiedrowskiemu urząd wizytatora prowincji polskiej i oddano w zarząd obydwie prowincje SS. Miłosierdzia w Galicji i Poznańskiem. Chociaż czcigodny starzec pod brzemieniem tego ciężaru zajęknął i pragnął się wymówić i wyprosić od jego przyjęcia, przedstawiając swe słabe siły fizyczne i wyczerpanie, to przecież posłuszny woli Bożej, przyjął urząd wizytatorski, jakoby z samej ręki Boskiej, licząc na pomoc Boską i życzliwą współpracę współbraci w Zgromadzeniu.

Zwykł był powtarzać to wyrzeczenie św. Marcina biskupa „Jeśli jestem wam potrzebny, nie uchylam się od pracy“ i owe słowa proroka Jonasza „wrzućcie mnie do morza, jeśliby potrzeba ueiszyć wzburzone morze i nawałności“. Trudności zaś były niemałe, a najpierw sprawy materjalne, co do utrzymania centralnego domu Zgromadzenia w Krakowie na Kleparzu. Już z końcem rządów wizytatorskich ks. Piotra Soubieille przechodziło nasze Zgromadzenie rodzaj ciężkiego kryzysu z powodu braku środków materjalnych do utrzymania licznego wówczas kleru i dalszego prowadzenia dzieł i instytucji potrzebnych, jak Małe Seminarjum, Zakłady księdza Siemaszki. Przedtem zaś wydano na budowę nowego domu na Nowej Wsi Narodowej dla Małego Seminarjum wraz z wielkim kościołem, ogromne, jak na tamte czasy, sumy pieniężne, a i na Kleparzu celem pomieszczenia kleryków musiano poczynić konieczne dobudówki i adaptacje. Tymczasem z Małego Seminarjum napływały rok rocznie zastępy młodzieży duchownej do Seminarjum Internum na Kleparz, nowi zaś kandydaci na miejsce tamtych licznie się zgłaszali. Wielkie były potrzeby, brakło zaś środków na utrzymanie.

Można było naprawdę powtórzyć te słowa ewangeliczne: „Skąd kupimy chleba, żeby ci jedli?“ (S. Jan r. VI.). Ból przenikał ks. wizytatora Kiedrowskiego na widok tych potrzeb swych współbraci, ale i krzątał się, aby temu zaradzić.

Niektóre domy SS. Miłosierdzia dużą ofiarnością przyszły mu z pomocą. Sam przezacny O. Generał Fiat użyczył na ten cel 6000 franków dwom polskim Misjonarzom, którzy po odbytej podróży do Paryża, do Krakowa wracali latem 1900 roku.

Piekąca sprawa pomieszczenia licznego naszego kleru i Misjonarzy, została szczęśliwie rozwiązana przez to, że nasz dom stradomski otworzył swe podwoje na przyjęcie naszych kleryków, po wyprowadzeniu się z niego świeckich alumnów do nowo zbudowanego domu na Podzamczu przez ks. kardynała Puzynę w roku 1901.

Obok tej trudności utrzymania Zgromadzenia, zastał ks. Wizytator i drugą też niemałą trudność, nieco osobliwą, t. j. brak sposobności i pola do pracy dla licznych już teraz młodych Misjonarzy, którzy rok rocznie zasilali szeregi dawniejszych. Lubo żniwo zawsze jest wielkie, ale wtenczas była owa winnica Pańska niedostępna dla polskich Misjonarzy, kordonami mocno przez zaborców strzeżona. Ginęły kłosy pod zaborem rosyjskim i pruskim, a żeńcy nasi zbierać ich nie mogli, pozostał tylko szczupły zabór austrjacki, i tu też za wizytatorstwa księdza Kiedrowskiego misje ludowe bardzo się rozwinęły. Misjonarze nasi podzieleni na trzy kolumny misyjne: zachodnio i wschodnio galicyjską i bukowińską przebiegali wioski i miasteczka opowiadając ludowi ewangelję i przynosząc mu królestwo Boże. Czasem tylko jakby ukradkiem, poza inne kordony, tu i ówdzie się zapuszczali. Dopiero po klęsce rosyjskiej w wojnie z Japonią 1905 roku i po dokonanym chwilowo przewrocie pod berłem carów, pozwolono Misjonarzom odprawiać misje w Królestwie Polskiem, z czego oni skwapliwie korzystali i urządzili wraz z innymi Zakonami wiele wypraw misyjnych, obfitujących w błogie owoce. Trwało to jednak krótko, despotyczna i schizmatycka Rosja znowu zabroniła wstępu Misjonarzom w swe granice 1908 r.

Ksiądz wizytator Kiedrowski cieszył się ogromnie z rozwoju misji i zawsze otaczał pracowników misyjnych szczególniejszą czcią i miłością. Trzeba było widzieć, jak ów przeszło 70-cio letni Starzec Czcigodny, odmłodniał na wieść, że Misjonarze wracają z misji. Wtedy z młodzieńczą rzutkością biegł zwykle i sam dawał sygnał dzwonem domowym, wybiegał na spotkanie pracowników Bożych, witał ich jak wysłańców Bożych, sam dbał o ich potrzeby, zwoływał współbraci, cieszył się, gościł ich, wypytywał się z najwyższem zainteresowaniem o szczegóły misyjne, a łzy płynęły mu ze wzruszenia, gdy opowiadano o cudach łaski Bożej i zmiłowaniach Bożych nad duszami. Widać było jasno, jak to wielkie serce, tego wielkiego Misjonarza, przepełnione

było miłością do dzieła misji. Mimo to stawało się rzeczą widoczną, że misje ustawać poczną nawet w Galicji, gdy zwolna i tu zabraknie sposokności i pola pracy dla Misjonarzy, gdyż dzięki gorliwości naszych Biskupów prawie już we wszystkich djecezjach odbywały się misje i rekolekcje, dawane też przez inne Zakony i Zgromadzenia. I właśnie z tej potrzeby pracy nad duszami, której zakres z powodów wyżej wymienionych, stawał się coraz ciaśniejszy, zrodziła się myśl apostolska, aby wyjść na szersze pole pracy, a mianowicie przejechać oceany i ratować dusze naszych rodaków którzy byli wyjechali do Brazylji, albo do Ameryki Północnej. Miało to być dla polskich Misjonarzy, jakby otwarciem okna, aby odetchnąć nowym zapałem gorliwości, a przez to ściągnąć błogosławieństwo Boże na maluczkie nasze Zgromadzenie tu w Polsce, i dodatkowo można było później liczyć na jakąś pomoc materjalną.

Zachęciły zaś i dały rozpęd do tego przedsięwzięcia prośby o Misjonarzy polskich, skierowane ze strony księży Biskupów i wezwanie nas do Ameryki Północnej, celem odprawienia misji dla tamtejszych Polaków.

Wielka tu jest zasługa ks. wizytatora Kiedrowskiego, iż mimo małodusznych odwodzeń od tego kroku, poszedł mężnie za głosem Opatrzności Bożej i posłał Misjonarzy do Brazylji (1903 r.) i do Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej (1904 r.). Niedługo potem powstały tu i tam nowe domy polskich Misjonarzy, zależne bezpośrednio od ks. wizytatora prowincji polskiej dawniej „krakowską“ zwanej. Niebawem podążyły do Brazylji polskie Siostry Miłosierdzia z prowincji chełmińskiej i rozwinęły błogą działalność w szkołach, pośród rozrzuconych w Paranie kolonistów polskich. Tak tedy z pracy obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo dojrzewały owoce duchowne na drugiej półkuli świata, a dodatkowo i pomoc materjalna do domów macierzystych przychodziła.

Mimo podeszłego wieku i głuchoty z całą gorliwością wizytował ks Kiedrowski domy obydwóch Zgromadzeń.

Wyjeżdżając z rekolekcjami do prowincji chełmińskiej, brał ze sobą zwykle ks. konfratra do pomocy. Czasami uproszono go gdzieś z rekolekcjami, które sam osobiście dawał np. dla księży świeckich w Tarnowie, a wtedy z rozkoszą serca, jakby z zapartym oddechem, słuchano jego nauk i korzystano z jego bogatego doświadczenia.

Za sześcioletnich rządów wizytatorskich ks. Kiedrowskiego, powstało prócz domów w Ameryce i w Galicji kilka domów misjonarskich jak: Sarnki dolne (1900 1/9), Biały Kamień (1902), Tarnów (1903), Milatyn Nowy (1906), Odporyszów (1906) i jeden dom w Kaczyce na Bukowinie (1902 27/2).

W r. 1902 pojechał ks. Kiedrowski z dwoma polskimi konfratrami na konwent generalny do Paryża, gdzie doznawał czci i miłości ze strony Zgromadzenia. Te słowa „Venerabilis Pater" często się słyszało, gdy o nim była mowa. Ze swej strony ks. Kiedrowski żywił zawsze synowską cześć i miłość do św. Wincentego i szczere przywiązanie do Jego następców i wogóle do wszystkiego, co stanowi ducha naszego Zgromadzenia. Tę zaś cześć i miłość potęgował, rzec można, za każdym pobytem w Paryżu, przy relikwjach św. Wincentego a Paulo, dokąd niejednokrotnie miał sposobność jeździć. Pomijając jego nowicjat, był ks. Kiedrowski w 1874 r. po śmierci O. Generała Etienne, jako deputowany na konwencie, na którym dokonano obioru nowego Generała, O. Eugenjusza Boré, a w cztery lata później 1878 r. brał znowu udział w wyborze Generała O. Antoniego Fiata.

Kierując się żywą wiarą za przykładem świętego swego założyciela, żywił ks. Kiedrowski w sercu i na zewnątrz okazywał szczerą cześć i szacunek dla ks. biskupów, chociaż pośród nich miał niejednego dawnego swego wychowanka, to też z ich strony doznawał wzajemną cześć i zaufanie.

W sposób szczególniejszy miłował ów godny uczeń św. Wincentego, wszystkich kapłanów i obok szacunku, okazywał im wielką serdeczność braterską, nawet nieznanym

sobie kapłanom. Tę samą cześć, płynącą z żywej wiary okazywał wszełkim osobom Bogu poświęconym, żyjącym w Zakonach, czy w Zgromadzeniach; wzruszał się widokiem ich ubóstwa, czy poświęcenia, usta niosły życzenia i dobre słowa, a ręce błogosławiły. Wogóle delikatna owa i szlachetna uprzejmość i dobroć tego czcigodnego Misjonarza bardzo wszystkich budowała, wzbudzała ku niemu zaufanie i pełną szacunku miłość.

Dla członków obydwu Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo miał ks. wizytator nietylko ojcowskie serce, ale był pełen życzliwości i serdecznego wylania i poświęcenia. Obok wielkiej dobroci i daleko posuniętej wyrozumiałości, umiał ów „Dobry Ojciec“ być też stanowczym, surowym, a nawet groźnym, gdy zachodziła potrzeba, wtedy ostro karcił zło, zwłaszcza, gdy chodziło o reguły i ducha Zgromadzenia. W poszczególnych wypadkach, gdy się w czem pomylił, jako przełożony odnośnie do podwładnych, albo go w błąd wprowadzono, lub też sam uznał, że co do sposobu, w czem uchybił, przekraczając granice słuszności, wtedy umiał ów pokorny sługa Boży naprawić mężnie to, co mu się niewłaściwem wydawało, przez co serca rozżalone rozbrajał i większe zaufanie pozyskiwał. Uczył więc słowem, więcej przykładem.

Tymczasem przy słabem i pracą steranem zdrowiu, coraz cięższej było ks. Kiedrowskiemu sprawować urząd wizytatora i dyrektora Sióstr Miłosierdzia. Zgromadzenie nasze w Polsce rosło w liczbę domów i osób, rozszerzyło się i poza oceany, zajęcia też i prace się podwajały. Trzeba było zwizytować nowe domy w Ameryce północnej i południowej, a na to sił brakło 70-cio kilkoletniemu starcowi. Jasno widział, że temu wszystkiemu już nie sprosta i dlatego rozważywszy to przed Bogiem, poprosił O. Generała Fiata, o zwolnienie go od obowiązku wizytatora.

Odetchnął swobodnie ks. Kiedrowski, gdy O. Generał, jakby przymuszony i z bólem serca spełnił te jego gorące prośby, zdaje się częściej powtarzane i w kwietniu 1906 r.,

uwolnił go z wizytatorstwa. „Niech będzie Bóg uwielbiony" wypisał sobie te słowa wdzięcznem sercem ks. Kiedrowski.

Niebawem w charakterze superjora domu wysłał nowy ksiądz wizytator ks. Słomiński, dawnego wizytatora do cichego domku w Sokołówce (ad Bóbrka), aby tamże odpoczął (1906 r.). Tutaj, o ile mu siły starczyły, pracował ks. Kiedrowski w kościółku przez siebie zbudowanym, w poblizkich Choderkowcach, czynił wycieczki apostolskie, spieszył z posługą duchowną Siostrom Miłosierdzia do Poznania i do Chełmna, jako ich dyrektor, dawał rekolekcje Dzieciom Marji.

Błogosławił w r. 1907 pięciu Siostrom Miłosierdzia, wyruszającym z Chełmna do Brazylji. W lipcu 1908 r. brał udział we wspaniałych uroczystościach także w Chełmnie z okazji 50-cio letniej rocznicy założenia Dzieci Marji.

Wielką miał radość czcigodny ów Misjonarz z okazji poświęcenia domu i wspaniałego kościoła ks. ks. Misjonarzy w Tarnowie 3 października 1908 r., zbudowanego staraniem ks. superjora St. Tyczkowskiego. Na tę uroczystość zjechał sam ks. Emil Villette, późniejszy Generał naszego Zgromadzenia.

Nadszedł rok 1911, w którym przypadała 50-cio letnia rocznica święceń kapłańskich ks. Kiedrowskiego. Złote owe gody kapłańskie ks. Józefa Kiedrowskiego, przybrały wielkie rozmiary i stały się familijną uroczystością obydwóch Zgromadzeń św. Wincentego a Paulo prowincji polskiej. Ks. wizytator Słomiński, wystosował z tej okazji okólnik do konfratrów swej prowincji i w uroczystej formie zapowiedział ów jubileusz „Ojca prowincji naszej", który się miał obchodzić w Krakowie przez trzy dni. Wspaniałe i wzruszające te obchody były i potrzebą serca dla Misjonarzy i Sióstr Miłosierdzia i zarazem żywą manifestacją czci i wdzięczności dla tego „Ojca prowincji polskiej". Podobne obchody złotego jubileuszu kapłaństwa jego odbywały się i gdzieindziej jak w Chełmnie, Sokołówce... (Vide Roczniki obydwóch Zgromadzeń z r. 1911).

Obchody te radosne i zarazem podniosłe, były prawie ostatnim jakoby błyskiem zachodzącego słońca, złotym promieniem chwały, czci i nagrody i radości wdzięcznej, która spadła na czcigodną głowę dostojnego jubilata.

A potem nastała cisza, spokój, rzecby można szarzyzna codziennego życia i ciche, utajone cierpienia. Jak po wspaniałych uroczystościach wystawienia Najśw. Sakramentu, chowają Sanctissimum do Tabernaculum, a po śpiewach, modłach, przepełnionego ludem kościoła, zostaje cisza i samotność, a po żarzących się świecach i światłach olśniewających migoce lampka z oliwą przed ołtarzem, tak bywa nieraz w życiu sług Ołtarza i innych dusz wybranych.

Pan Jezus wie, co czyni, chce przez to wiernych swych sług zwolna przygotować do godów niebieskich.

Zewnętrzne zaś okoliczności w ostatnich latach życia ks. Kiedrowskiego sprzyjały temu przygotowaniu.

Najpierw tegoż jeszcze roku 1911 zwinięto domek w Sokołówce, a ks. Kiedrowski na zawsze opuścił to ukochane miejsce obok wieczystych lip, miły kościółek w Choderkowcach i cicho osiadł na stałe w Krakowie na Kleparzu. Niebawem zwolniono go 30 maja 1912 r. od obowiązku dyrektora Sióstr Miłosierdzia w prowincji Chełmińskiej, dokąd z taką gorliwością i miłością zawsze jeździł i zwiedzał domy Sióstr, oddając im, ile możności usługi duchowne. Pożegnał na zwsze Poznań, Gniezno, Trzemeszno, Chełmno i tyle miast i grodów i cichych miejscowości, z którymi życie jego przez tyle lat tak ściśle się związało. Biło zaś w tym czcigodnym jubilacie gorące i wielkie serce kapłana—Polaka.

Na podobieństwo św. Wincentego a Paulo coraz bardziej tu na ziemi czuł się osamotnionym przez to, że raz poraz rozstawały się z tym światem drogie mu osoby, z którymi tyle lat żył i na chwałę Bożą z nimi pracował; padali ci, te i tamci znajomi i słudzy Boży, jako drzewa w lesie, a on stał cicho jak starożytny dąb i lubo z wolą Bożą się chętnie zgadzał, każdą nową stratę w swem czułem

i szlachetnem sercu przeboleć musiał. Tknęła go wiele śmierć Piusa X. (1914), przeżył jeszcze dwóch Generałów naszego Zgromadzenia (+A. Fiat 1915, E. Villette 1916), wyprzedzili go młodzi Misjonarze, jego dawni wychowankowie i towarzysze w pracy misyjnej n. p. ś. p. ks. Jakób Konieczny i ks. Józef Sokołowicz — a on stał jakoby żołnierz na posterunku, w niebo więcej wpatrzony. Własnoręcznie notował sobie skrzętnie śmierć osób mu drogich i Bogu je serdecznie polecał i tak coraz było mniej owych niteczek w jego sercu, które go tu do ziemi wiązały.

W tymto czasie wybuchła straszliwa wojna światowa ze wszystkimi swymi okropnymi skutkami i odbić się musiała wielce na wrażliwem jego sercu. Jak prawie wszyscy inni, tak i ks. Kiedrowski, jej ujemne skutki przecierpieć musiał i na sobie doświadczył. Domy nasze się prawie wyludniały, gdyż nasi Misjonarze, tak księża, klerycy, jako i bracia musieli iść albo pod broń do wojska, po za wrogie kordony, albo tamże w rozmaity sposób pracować.

I dom kleparski, gdzie przemieszkiwał ks. Kiedrowski, tego samego losu, co inne domy, doświadczył, za to zaludnił się i przepełnił wojskiem i rannymi żołnierzami.

Ponad to przykre kalectwo głuchoty siłą rzeczy odłączyło czcigodnego ks. jubilata od stosunków z ludźmi i nie dozwalało mu, choć w pewnej mierze, oddawać się pracy nad duszami w konfesjonale. Przykro też musiało być sędziwemu przeszło 80-cio letniemu starcowi, gdy go już pamięć zawodzić poczęła, tak iż n. p. w znanym sobie dobrze Krakowie dla braku orjentacji błądzić począł.

Tak więc kontakt z ludźmi i ze światem zrywał się coraz bardziej, za to świat Boży wewnątrz coraz bardziej się rozszerzał, a Bóg z darami swymi coraz częściej i serdeczniej nawiedzał wiernego sługę Swego. Jako drzewo po stracie liści chowa swe soki i żywotność do wnętrza i korzeni, tak i w ks. Kiedrowskim, życie wewnętrzne, Boże, jakby kosztem ziemskiego życia się rozwijało i powiększało. Jak jednogłośnie świadczą ci, którzy znali księdza jubilata,

mimo słabości i niedomagań, wynikających ze sędziwego wieku, zachował on zawsze coś młodzieńczego w sobie, gdy chodziło o rzeczy duchowne, Boże, wtedy ożywiał się; stawał się jakby innym człowiekiem, t. j. człowiekiem Bożym, żyjącym ciągle żywą wiarą i miłością Bożą, pełen jakiejś nadludzkiej mocy i mądrości niebieskiej.

Gorliwość o chwałę Bożą ciągle jego serce trawiła, pobożność stawała się dziwnie miła, pociągająca i budująca. Do końca życia odprawiał rozmyślanie, długo gotował się do mszy św., a gdy przed śmiercią już czytać nie mógł, prosił pokornie, aby mu jaki ustęp pobożny odczytano dla rozgrzania serca przed komunją św., którą mu codziennie przez 3 tygodnie przynoszono.

W stosunku z bliźnimi stawał się coraz więcej dobrym, cichym i wyrozumiałym, jak serdecznie i pokornie dziękował za najmniejszą usługę mu uczynioną, zwłaszcza w chorobie. Łagodność, słodycz, cichość niebieska i niskie rozumienie o sobie coraz bardziej się uwydatniała w miarę zbliżania się do wieczności. Jednem słowem, ks. Kiedrowski dojrzewał dla nieba. Pogoda i radość wewnętrzna promieniowała z postaci sędziwego Misjonarza.

To wszystko nie przeszkadzało mu, że do końca życia żywo zajmował się tem, co kochał przez całe życie, t. j. Kościołem świętym, Zgromadzeniem naszem i Polską. Zapisywał sobie skrzętnie w swej kronice i notował każdy ważniejszy wypadek odnoszący się do historji Kościoła św., czy do spraw obydwóch Zgromadzeń; śledził też z wielkiem zajęciem wypadki, tyczące się naszej Ojczyzny. Ujrzał, jak niegdyś Mojżesz, choć z daleka, świt zjednoczonej i wolnej Polski, wypisując wielkimi literami: „Niech żyje Polska!“.

Ostatnia notatka i wypadek, jaki skreślił swą ręką, był dzień śmierci księdza Józefa Sokołowicza we Lwowie († 8 stycznia 1918). W miesiąc później i on poszedł za nim. Do dnia 17 stycznia 1918 r. chodził codziennie ksiądz jubilat ze mszą św. do Sióstr Miłosierdzia na Kleparz, gdzie u chorych Sióstr odprawiał Najświętszą Ofiarę z budującą poboż-

nością, roznosił chorym Siostrom komunię św., później je nawiedzał, chodząc od łóżka do łóżka, pocieszał je dobrem słowem i wracał do domu.

Wstawał Sędziwy Starzec zawsze o godzinie 4-tej i odprawiał zawsze wspólną medytację, chodził na wspólne ćwiczenia i odmawiał z drugim konfratrem brewiarz, czytywał ascetyczne książki, w których sobie przez całe życie wielce smakował.

W dzień św. Antoniego (17 stycznia) na dobre się położył do łóżka i już z niego nie powstał. Miał czcigodny Misjonarz tę pociechę, że gdy leżał na łożu boleści, Siostry Miłosierdzia mu służyły z szacunkiem i miłością, a to z tej okazji, że dom księży Misjonarzy na Kleparzu w wielkiej części zamieniono podczas wojny na szpital dla rannych żołnierzy, w którym stale tamże dwie Siostry Miłosierdzia służyły. Chorego jubilata nawiedzały różne osobistości i biskupi. Budował wszystkich swą pogodą w cierpieniach. Przedewszystkiem spojrzenie umierającego zwolna Misjonarza było tak przenikliwe, dobre i nieziemskie, iż ci, na których przy powitaniu czy pożegnaniu spojrzał, nigdy tego wzroku nie zapomną. Był to wzrok, jakby istoty już z nieba patrzącej, poprzez to ginące ciało.

Opatrzony wszystkimi świętymi Sakramentami, cicho, spokojnie i pogodnie rozstał się ksiądz Kiedrowski z tym światem dnia 10 lutego 1918 r. w domu księży Misjonarzy na Kleparzu (w pokoiku na I. piętrze, naprzeciwko schodów), aby rozpocząć nowe, wieczyste życie. Pogrzeb miał wspaniały. Uroczystą mszę św. żałobną miał Najprzew. ks. Biskup Nowak, sufragan krakowski, w asystencji na tronie J. E. księcia Biskupa Sapiehy, który potem odprawił „Castrum doloris" w kościele; na cmentarz zaś czcigodne zwłoki swego dawnego ojca duchownego, prowadził ks. Biskup Nowak przy udziale niezliczonego duchowieństwa tak świeckiego i zakonnego oraz przy udziale różnych Zgromadzeń wśród których bieliły się, jak biały łan, kornety Sióstr Miłosierdzia, a tłumy ludności zaścielały ulice Krakowa. Nad grobem

N. ks. Biskup Nowak wymownie i rzewnie przemówił. Było to w sam popielec 13 lutego 1918 r. Śmiertelne szczątki tego godnego duchownego syna św. Wincentego a Paulo pochowano we wspólnym grobowcu księży Misjonarzy na cmentarzu krakowskim, gdzie spoczywają ciała ks. Piotra Soubieille, ks. Jana Binka, ks. Miruckiego i tylu innych Misjonarzy, z którymi ks. Kiedrowski razem żył, pracował i cierpiał na ziemi, a teraz, mamy błogą nadzieję, zażywają wiecznej szczęśliwości w niebie.

X. Czesław Lewandowski.

S. p. ks. Stanisław Grabowski.

Siódmy rok dobiega od śmierci ś. p. ks. Stanisława Grabowskiego. W międzyczasie rozegrały się wiekopomne wypadki dziejowe, które zepchnęły na drugi plan wszelkie osobiste nieszczęścia; w świetle tragedji wszechświatowej tragedja pojedyńczego człowieka kryć się musi w cienin. Ze śmiercią ludzie zupełnie się oswoili; wobec miljonowych ofiar z życia ludzkiego, jakie wojna pochłonęła, śmierć człowieka, choćby najbliższego, niema już dla nas tej grozy, co dawniej; wrażliwość została przytępiona. Zdawałoby się tedy, że i my, żyjąc w tym szalonym wirze wypadków współczesnych, zapomnieliśmy o przeszłości, że przeto konfratrzy nasi, co w czasie tej zawieruchy wojennej zmarli, rychło utonęli w niepamięci, a wspomnienie pośmiertne o nich, w dodatku mocno spóźnione, nie może już drgać takim bolem, jak nekrolog, pisany pod świeżem wrażeniem czyjegoś zgonu. Tak jednak nie jest. Owszem, pamiętamy o nich i pomni na słowa Chrystusa: »*Colligite fragmenta, ne pereant*«, tudzież stosując się w tej mierze do przepisów Konstytucji naszych i Dekretów, z pjetyzmem zbieramy wszelkie wiadomości, dotyczące życia i działalności naszych zmarłych współbraci, zwłaszcza jeżeli któryś z nich czemś wybitnie się odznaczył.

Z pomiędzy kilkudziesięciu konfratrów, którzy w ubiegłem siedmioleciu zeszli z tego świata, osobna wzmianka należy się ś. p. ks. Stanisławowi Grabowskiemu, jako postaci na wskróś oryginalncj, indywidualności niezwykłej. Artysta niepośledniej miary, malarz, rzeźbiarz, technik i poeta, pozostawił po sobie mnóstwo dzieł; wiele domów prowincji naszej szczyci się posiadaniem dzieł sztuki, będących owocem pracy ś. p. ks. Grabowskiego, czem zmarły utrwalił pamięć po sobie na długie lata. Zgasł przedwcześnie, wtedy właśnie, kiedy prężył swe ramiona do wyższego lotu. Kochany za życia, zgonem swoim okrył kirem smutku serca konfratrów, i nawet teraz jeszcze po latach, mimo znieczulonej naszej wrażliwości, na wspomnienie straty tego utalentowanego kapłana-artysty, mimowoli ciśnie się do oczu łza.

«*Labitur ex oculis nunc quoque gutta meis*«. (Ovid.)

Kolebką ś. p. ks. Grabowskiego było miasteczko Kęty, położone kilka mil na zachód niedaleko Krakowa, sławne w całym świecie katolickim, że stamtąd wyszedł [znakomity profesor Wszechnicy Jagiellońskiej, święty Jan Kanty. Cześć dla świętego rodaka nie pozostanie bez wpływu na przyszłą działalność artystyczną ks. Stanisława, bo święty ten posłuży mu za temat do obrazów religijnych. Światło dzienne ujrzał ks. Grabowski dnia 4 kwietnia 1883 r. Był wnukiem znanego w Krakowie na początku XIX wieku Ambrożego Grabowskiego, długoletniego księgarza, archeologa i zbieracza dawnych pamiątek [1]). Rodziców miał zacnych, pracowitych i pobożnych; to też w atmosferze ciepła rodzinnego wyniósł ks. Stanisław zasady gruntownej wiary chrześcijańskiej, pod okiem starszych wzrastał od lat najmłodszych w skromności młodzieńczej.

Pierwsze lata jego młodości, okres szkolny i okoliczności, wśród jakich obudziło się w sercu młodego Stanisława powołanie do stanu duchownego, pięknie opisuje naoczny

---

[1](Stanisław Estreicher, wydając w r. 1909 w Bibljotece Krakowkowskiej „Wspomnienia Ambrożego Grabowskiego", kilkakrotnie zasięgał informacyj u naszego ks. Stanisława.

świadek, ks. Antoni Siuda, ówczesny katecheta w szkole wydziałowej w Kętach, do której po ukończeniu szkoły ludowej uczęszczał ks. Grabowski [1]).

„Poznałem ś. p. ks. Stanisława Grabowskiego w 1895 roku jako swego ucznia w pierwszej klasie wydziałowej w Kętach, a tak dla samej prawdy, jako dla niego powiem, że był to jeden z najlepszych, z najzacniejszych uczniów moich wśród 20-letniej mojej pracy szkolnej. W szkole zawsze skupiony, pilny, uważny, nie miał nigdy z nikim żadnego zatargu; kochali go nauczyciele, miłowali koledzy, a wśród swych rówieśników zwracał na siebie uwagę myślącym wyrazem twarzy i niezwykłą jakąś słodyczą, którą miał się w życiu tak odznaczać.

I wśród szarych dni Kęckich zajaśniało słonko łaski Bożej. Na wiosnę r. 1897 zawitali do Kęt ś. p. ks. Franciszek Kamiński, Jakób Konieczny i Józef Sokołowicz. Z wymownych ust Misjonarzy płynęły całe potoki rad, upomnień przestróg, a gorące serce tych apostolskich mężów zapaliło miłością ku Bogu serca rodaków wielkiego mistrza Akademji Krakowskiej, św. Jana [2]). I jakież było zdumienie, jakaż nasza radość. gdy mi oświadczył ś. p. Jakób Konieczny, że zgłosił się do niego uczeń Stanisław Grabowski i prosił go, żeby mu powiedział, czyby nie mógł się kształcić na takiego Misjonarza. Na zapytanie, z jakiej pochodzi rodziny, dałem mu w odpowiedzi jak najpiękniejsze świadectwo moralnośc, dla całego domu naszego kandydata. Niestety, za dużo wiosen już liczył Stasio, żeby mógł się dostać do Małego Seminarjum na Nowej Wsi, toć zdawało się, że wszystko spełznie na niczem. Na szczęście przyszła mi myśl zbożna prawdziwie, mianowicie, żeby z nim przerobić prywatnie pierwszą klasę gimnazjalną, a w jesieni zgłosić się do klasy drugiej

---

[1]) List ks. Antoniego Siudy, obecnego proboszcza w Raciborowicach, pisany do ks. Maksymiljana Wrońskiego w listopadzie 1920 r.

[2]) Wspomnianą przez ks. Siudę misję opisał ks. Sokołowicz w Rocznikach, r. 1898, str. 34—37.

i po dobrym wyniku z egzaminu pójdzie już regularnie co raz dalej. Wobec takiego planu nauki, na prośbę ojca i samego Stasia, wziąłem się najprzód do łaciny, a mój Stasio tak się pilnował, tak punktualnie przychodził na lekcje, tak się garnął do nauki, że znów z prawdziwą przyjemnością wspominam sobie te chwile, które nad książką przeżyłem z nim na wikarjacie, a nawet wogóle w szkole. Oczywiście, że w lipcu ani w sierpniu nie było dla nas wakacyj. Praca szła z dnia na dzień, z wyjątkiem niedziel i świąt, ale za to miałem znów prawdziwą przyjemność, gdym się w pierwszych dniach września dowiedział, że Staś zdał zupełnie dobrze wstępny egzamin do drugiej klasy i że rokuje jak najpiękniejsze nadzieje".

Sporo jednak jeszcze czasu upłynie, zanim ziszczą się nadzieje zacnego katechety. Przeniesiony, niby roślinka na lepszą glebę, z ciasnego kółka rodzinnego w rojne zbiorowisko młodzieży szkolnej, która w Małem Seminarjum księży Misjonarzy w Krakowie na Nowej Wsi kształci się na przyszłych kapłanów Misjonarzy, młody student stanął wobec zadania, jakiego jąć się musi każdy, kto pragnie dojść do zawrotnych wyżyn godności kapłańskiej: zabrać się do długoletniej żmudnej pracy na ławie szkolnej, do której kilkomiesięczna praca domowa była tylko przygrywką. Praca ta trwała lat jedenaście; trzy lata w Małem Seminarjum, dalsze lata w Seminarjum Wyższem księży Misjonarzy w Krakowie częścią na Kleparzu, częścią na Stradomiu. Miała ona dwa etapy: pierwszy obejmował nauki gimnazjalne, drugi nauki ścisłe filozoficzne i teologiczne.

Nauka spełnia wobec studenta podwójne zadanie. Po pierwsze zasila jego pamięć mnóstwem wiadomości ze wszystkich dziedzin ducha ludzkiego, stąd pochodzi, że program szkolny jest taki obfity (literatura starożytna i nowożytna, nauki historyczne, nauki przyrodnicze, matematyka, fizyka i t. d.). Jest to niejako wiedza encyklopedyczna, przelana do głowy studenta, która staje się pewnego rodzaju magazynem, dokąd od czasu do czasu się zachodzi, gdy jaka wiadomość

jest potrzebna. Drugie zadanie nauki, to kształcenie władz duszy: kształcenie rozumu, wyobraźni, pamięci, wyrabianie spostrzegawczości; jest to tak zwane kształcenie formalne, gdy tymczasem tamto pierwsze zowie się wykształceniem materjalnem. Wykształcenie formalne jest przedewszystkiem głównym celem nauki gimnazjalnej, jest ono wynikiem wykształcenia materjalnego, które bardzo często się odrzuca, jako już niepotrzebne, skoro wykształcenie formalne zostało osiągnięte, tak jak odkłada się na bok przyrządy gimnastyczne, skoro ciało już dostatecznej nabrało elastyczności i gibkości. Wykształcenie formalne uzdalnia ucznia do prac samodzielnych. Dopiero w szkołach zawodowych, a więc u kleryków na kursach teologji, wiedza encyklopedyczna stanowi sama dla siebie cel.

Jakżeż więc oddziałała nauka na umysłowość ks. St. Grabowskiego? Przedewszystkiem stwierdzić należy, że ks. Grabowski nie należał nigdy w klasie do tak zwanych uczniów celujących; nigdy się ponad innych nie wybijał. Jednak tę ilość wiedzy, jakiej się od każdego ucznia wymaga, niewątpliwie posiadał i pod tym względem nauka szkolna, pojęta jako zapas wiadomości encyklopedycznyeh, względem niego najzupełniej swe zadanie spełniła. Ale nie to stanowi cechę charakterystyczną umysłowości ks. Stanisława; erudytą nigdy nie był. Natomiast wykształcenie tak zwane formalne wyniósł ks. Grabowski z murów szkolnych w stopniu bardzo wysokim. Miał on wrodzoną wysoką inteligencję, którą jeszcze bardziej wygimnastykował przez tyloletnie studja, ale przedewszystkiem cechowała go wybitna zdolność do obserwacji i umiejętność trafnego określania swoich samodzielnych spostrzeżeń. Profesorów swoich zadziwiał oryginalnością poglądów; podczas gdy większość uczniów kontentuje się tem, że mniej lub więcej wiernie reprodukuje, niby płyta gramofonowa, to, co poprzednio z ust profesora usłyszała, Ks. Grabowski dawał zawsze samodzielne odpowiedzi, na każdą kwestję zapatrywał się ze swego punktu widzenia. Stąd te jego nieoczekiwane dowcipne powiedzenia,

aforyzmy, nieraz paradoksy, będące jakoby przebłyskiem jego ducha, który szukał sobie odrębnych dróg do ujawnienia się na zewnątrz. Ten zmysł do obserwacji będzie do końca życia jednem z charakterystycznych znamion jego osobowości.

Samo wykształcenie naukowe nie jest jedynym warunkiem przygotowania do szczytnej godności kapłańskiej; w daleko większej mierze potrzebne jeszcze jest wykształcenie duchowe, t. j. urobienie woli, ukształtowanie charakteru, nabycie gruntownej pobożności i cnót kapłańskich, a członkom Zgromadzenia Misji potrzebne ponadto są specjalne cnoty, stanowiące ducha ich powołania. To wykształcenie duchowe, ogólne i specjalne, daje Zgromadzenie księży Misjonarzy swoim adeptom w tak zwanem: Seminarjum Internum. Ks. Grabowski został do niego przyjęty dnia 2 października 1900 roku. Jest to tak zwany dzień powołania, bo od tego dnia liczy się czas przebyty w Seminarjum, faktycznie jednak przywdział sukienkę kleryka na początku września, razem z całym swoim kursem. Pod okiem kierowników duchownych zaczął się więc kształcić na przyszłego kapłana-Misjonarza. Ówczesny jego dyrektor, a obecny rektor Konwiktu teologicznego w Warszawie przy ulicy Trauguta, ks. Józef Gaworzewski, takie daje świadectwo swemu dawnemu alumnowi:

„Ś. p. ks. Stanisław Grabowski odznaczał się wybitną inteligencją, zmysłem spostrzegawczym, który raz po raz ujawniał się w sądach dojrzałych, zabarwionych często sporą dozą soli atyckiej. Właściwą bowiem mu było rzeczą patrzeć na wszystko pod kątem widzenia krytyka-satyryka, a choć miarkował swój dowcip i ubierał go w słowa delikatne, na dnie ich mieściła się cięta satyra. Serce jednak miał dobre, które nie pozwoliło, by język kiedykolwiek obraził miłość bliźniego. Dość wcześnie objawił się u niego talent malarski. Chęć do prac pędzla pchała go całą falą uczucia i bujnej wyobraźni. Mimo to pokazał dość silnej woli, aby nie dać się unieść fantazji i bujać wśród świata marzycielskiego.

Owszem, jako młodzieniec, umiał pogodzić świat fantazji ze światem rzeczywistości. To opanowanie siebie, kierowanie się wolą zamiast uczuciem, aby się wyrazić słowami wieszcza, było granitem, który kładł pod tęczę artyzmu. Umiał wskutek tego urobić sobie zasady prawdziwej pobożności, umiał spełnić obowiązki wobec Boga, umiał być uprzejmym wobec kolegów i umiał być bezwzględnie uległym woli i rozporządzeniom przełożonych. Nie pamiętam pod tym względem najmniejszego jego uchybienia" [1]).

Po dwuletnim przygotowaniu został ks. Grabowski przypuszczony do złożenia ślubów dnia 1 listopada 1902 r.; składał je w kościele księży Misjonarzy na Kleparzu wobec ks. Superjora Bolesława Bayera. Poczem stopniowo razem z innymi kolegami przyjmował święcenia duchowne, mianowicie: święcenia mniejsze dnia 18 marca 1905, subjakonat 16 marca 1907, djakonat 7 lipca 1907, wreszcie święcenia kapłańskie dnia 3 maja 1908.

Kapłańskie swoje obowiązki spełniał ks. Grabowski nienagannie i sumiennie. Zakres jego pracy duszpasterskiej nie był duży. Zaraz po wyświęceniu zamieszkał w Krakowie na Kleparzu i w tamtejszym kościółku pracował nad chwałą Bożą w konfesjonale, na ambonie, prowadził bardzo często pogrzeby ze szpitala św. Łazarza, chodził z nabożeństwami do różnych kaplic Sióstr Miłosierdzia, obslugiwanych przez księży Misjonarzy kleparskich. Była to praca cicha, ukryta, o której, co prawda, nie pisze się sążnistych sprawozdań i za którą nie odbiera się szumnych podziękowań, ale była ona nie mniej owocna, niż praca innych głośnych działaczy. Słynie od lat wielu kościół kleparski z tego, że z dalekich stron napływają tam penitenci, pragnący oczyścić swą duszę w zdrojach pokuty świętej. Tę piękną tradycję wyrobili kościołowi pierwsi Misjonarze, jeszcze z owych czasów, kiedy się prowincja krakowska zakładała. Młodsze pokolenie miało tę szlachetną ambicję, aby się tak piękna tradycja nie przer-

[1]) List pisany do autora nekrologu z dnia 8 listopada 1920 r.

wała, ale do tego potrzeba było spowiedników, którzyby całymi dniami konfesjonału pilnowali i byli na każde zawołanie penitentów. Otóż do licznej rzeszy owych bezimiennych, cichych, ale wytrwałych pracowników należał przez lat kilka także ś. p. ks. Grabowski. Jakiś czas był on również katechetą w szkole św. Stanisława, będącej pod zarządem Sióstr Miłosierdzia na Kleparzu. Uczenice bardzo go lubiały, bo umiał im w sposób oryginalny uprzystępnić trudne do pojęcia abstrakcje katechizmowe.

Nie było mu zatem dane, jak innym wielkim Misjonarzom, przebiegać wzdłuż i wszerz polskiej ziemi i na misjach ludowych przeorywać serca zatwardziałych grzeszników i siać ziarno nauki Bożej, ale na swojem skromnem stanowisku zdziałał z pewnością nie mniej, niż tamci, i wykonywał cnoty, jakich św. Wincenty od synów swoich duchownych się domaga.

Z pomiędzy tych cnót, któremi każdy Misjonarz ma się w szczególniejszy sposób odznaczać, ks. Grabowski posiadał w wysokiej mierze prostotę. Był to zawzięty wróg wszelkiej obłudy i dwulicowości. W parze z tą jego prostotą szła prawdomówność. To, co miał w sercu, to miał i na języku i dlatego wolał nieraz narazić się temu i owemu niż wyrzec się swoich zasad. Najczęściej jednak wypowiadał swoje uwagi nie w tej formie, w jakiej je zwykle wypowiadają tak zwani weredycy, t. j. we formie szorstkiej i brutalnej, ale ubierał je w szatę dowcipu. *„Ridentem dicere verum quid vetat?“ (Horat.).* Dowcip jego nie przeradzał się w sarkazm, nikogo nie urażał; ten, w którego ostrze dowcipu godziło, czuł się rozbrojony i musiał mimowoli drugim wtórować do śmiechu. Więc mimo swej prawdomówności był jednak ks. Grabowski — rzecz dziwna — ogólnie lubiany, bo jakże niebyło lubieć i kochać tego sympatycznego konfratra, który niewinnym swoim konceptem drugich rozweselał, swymi oryginalnymi pomysłami zaciekawiał, bogactwem swoich idei dawał obfity materjał do dyskusji. Rozmowa z nim nigdy nie była banalna i jałowa, jaką się nieraz po

salonach prowadzi, ale zawsze poruszała żywotne problemy, czyto religijne, czy literackie, czy artystyczne lub z zakresu pedagogiki. A nie były to rozprawy czysto akademickie, prowadzone jedynie dla zabicia czasu lub dla ćwiczenia się w djalektyce, przeciwnie, w tych turniejach na języki czuć było, że ks. Grabowski broni słuszności swoich zapatrywań z wewnętrznem przekonaniem i z entuzjazmem propaguje nowe ideje. Wnętrze swej bogatej duszy otwierał zwłaszcza przed tymi, którzy się więcej, niż inni, do niego zbliżyli i rozumieli jego odrębną psychikę; takim konfratrom był niezmiernie wdzięcznym za okazaną sympatję i wywdzięczał się im na swój sposób, jak na prawdziwego artystę przystało. Ktoś inny na jego miejscu byłby za swe dzieła sztuki żądał bajońskich sum, jak to między artystami jest we zwyczaju, ale nasz ks. Stanisław wszystkie swoje dzieła, czyto pędzla, czy dłuta, rozdarowywał swoim przyjaciołom.

Miał ks. Grabowski jeszcze inny piękny przymiot: był niezmiernie pracowity, nigdy nie widziano, żeby oddawał się bezczynności. Spełniał wzorowo obowiązki swoje kapłańskie; chwile zbędne obracał na zajęcia, ku którym czuł nieprzeparty pociąg. Zawsze miał przed sobą jakiś plan, czasem kilka planów, i wzorem prawdziwego artysty pracował zwykle nad kilkoma rzeczami równocześnie. Gdy się weszło do jego pokoju, czuło się odrazu, że tu mieszka nie żaden zwyczajny filister, ale artysta z krwi i kości. Była to po części pracownia malarska, po części warsztat mechanika, magazyn różnych różności, jednem słowem artystyczny nieład Na sztalugach zwykle jakiś obraz zaczęty, na ścianach szkice i kartony lub wykończone już malowidła, na stoliku pełno instrumencików i przyrządów, w kącie dwa ciężkie walce metalowe, służące do robienia miedziorytów, bo i tym rodzajem sztuki ks. Grabowski się interesował.

We wrześniu 1911 r. powierzono ks. Grabowskiemu obowiązki profesora w Małem Seminarjum księży Misjonarzy w Krakowie na Nowej Wsi, wykładał mianowicie nauki przyrodnicze, fizykę, chemję, uczył języka polskiego

i rysunków. Ulubionem jednak polem pracy naukowej była dlań fizyka i chemja. Za jego to staraniem znacznie powiększono gabinet fizyczny, a czego brakowało to ks. Grabowski własnym przemysłem uzupełniał, sam sporządził kilka przyrządów, między innymi machinę elektryczną Wintera, zrobił minjaturowy telegraf bez drutu, interesował się wielce projektowaną swego czasu nadbudową Małego Seminarjum, która miała służyć do badań astronomicznych. Przez dłuższy czas myśli jego obracały się koło zbudowania maleńkiego modelu aeroplanu i przy tej robocie okazała się w całej pełni oryginalna konstrukcja jego umysłowości. Oto ks. Grabowski, który na ławie szkolnej dla matematyki nie okazywał zbytniego zainteresowania, skoro tylko uznał, że ona do budowy modelu jest mu chwilowo bardzo potrzebna, zabrał się do rozwiązywania najzawilszych zagadnień trygonometrycznych i geometrji wykreślnej. Obowiązki profesorskie pojmował poważnie i całą duszą oddany był kształceniu powierzonej sobie młodzieży. Lekcje fizyki i chemji odbywały się z reguły z praktycznemi doświadczeniami.

Uczył ks. Stanisław także języka polskiego. Wychowankowie Małego Seminarjum na Nowej Wsi, rekrutują się ze wszystkich dzielnic całej Polski, przeważnie jednak z Poznańskiego i Górnego Śląska. Wychowani, a właściwie wynaradawiani w szkole niemieckiej, przynoszą oni do Małego Seminarjum małą znajomość języka polskiego i potrzeba dopiero intenzywnych kilkoletnich wysiłków, żeby sprostać mogli wymogom, jakie szkoła polska swym uczniom stawia. Otóż dla przyspieszenia tego procesu wykształcenia, ks. Grabowski propagował usilnie myśl, by obok właściwych urzędowych lekcyj, co jakiś czas urządzano poranki, czy wieczorki, na których studenci mogliby popisywać się deklamacją wzorowych wyimków z literatury polskiej, tak poezji jak i prozy. I rzeczywiście, tę pożyteczną myśl wprowadzono w czyn. Prócz tego ks. Grabowski wielce przyczyniał się do uświetnienia przedstawień teatralnych, dawanych przez wychowanków Nowowiejskich. Przedstawienia te zapoczą-

kował ś. p. ks. Wojciech Wdowicki w roku 1896, Superjor i dyrektor Małego Seminarjum, i odrazu podniósł je na wysoki poziom artyzmu. Część dekoracyjną tych pierwszych teatrzyków wykonywali klerycy-teologowie, którzy w latach 1896 — 1898 na Nowej Wsi mieszkali; zasłużyli się przedewszystkiem ks. Franciszek Trawniczek, obecny superjor we Filadelfji, który wykonywał wszystkie roboty malarskie, oraz ks. Emanuel Dziewior, obecny superjor w Jezierzanach, który znowu pracował nad sporządzeniem kostjumów teatralnych; ci dwaj przy pomocy innych kolegów zaopatrzyli teatr Nowowiejski w kurtyny, kulisy, garderobę i t. d., tak, że przez szereg lat nie wiele było potrzeba uzupełniać. Od tego czasu stało się obowiązującą regułą, że dwa razy do roku księża i klerycy misjonarscy chodzili na Nową Wieś, gdzie przypatrując się grze młodych artystów, przeżywali przyjemne chwile wrażeń estetycznych. Drugi okres rozkwitu teatrzyków Nowowiejskich zaczął się w roku 1908, gdy superjorem tamtejszym został ks. Stanisław Konieczny, a równocześnie dyrektorem Małego Seminarjum zrazu ks. Wilhelm Szymbor, a od września r. 1911 ks. Józef Zieliński. Współpracował z nimi od r. 1911 ks. Stanisław Grabowski. Wtedy owe przedstawienia amatorskie co do swej wartości artystycznej podniosły się ogromnie w górę i na tej wyżynie utrzymały się aż do r. 1913. Pamiętnem było między innemi przedstawienie, na którem odgrywano „Zaczarowane koło" Lucjana Rydla. Całe audytorjum poprostu z zapartym oddechem śledziło grę młodocianych aktorów; wszyscy byli pod urokiem i czarem poezji, która tryskała z dźwięcznych strof tego cudnego poematu scenicznego. Sukces ten był w przeważnej mierze zasługą ks. Grabowskiego, który wykonał jego część dekoracyjną i dopomagał reżyserowi wskazówkami. Nie da się zaprzeczyć, że wogóle przedstawienia amatorskie są znakomitym środkiem kształcenia młodzieży. Bywało, że uczeń umysłowo zaspany, po pierwszym występie na deskach scenicznych jakby się nagle przebudził; odnalazła się w nim inteligencja i ochota do pracy. Młody

student zapoznaje się w ten sposób z techniką żywego słowa, co mu w późniejszem życiu w zawodzie kaznodziejskim jest nieodzownie potrzebne.

Przechodzimy teraz do szczegółowego omówienia tych stron życia ś. p. Grabowskiego, które stanowiły najwybitniejszą cechę jego osobowości, t. j. jego twórczości w zakresie malarstwa i rzeźbiarstwa, po części także poezji.

Talent malarski objawił się u niego dość wcześnie, bo jeszcze na ławie szkolnej. Pierwsze próbki talentu, to karykatury, rysowane naprędce w przerwach między lekcjami, a wątku do nich dostarczalo samo życie szkolne, koledzy, zabawne sytuacje. Przełożeni, widząc te niezwykłe na tem polu zdolności, pozwolili mu się kształcić prywatnie, i wtedy ks. Grabowski z zapałem studjował perspektywę i rysunek. Wprawdzie systematycznych studjów malarskich, w tem znaczeniu, jak je odbywają uczniowie Akademji Sztuk Pięknych, ks. Grabowski nie przechodził, był zatem samoukiem, ale też nie był zupełnie zdany na własne jedynie siły. Owszem, o ile to tylko zgodnem było z charakterem jego duchownym (bo studja te odbywał jako kleryk), starali się przełożeni udostępnić mu wykształcenie, powołując w tym celu profesorów z Akademji Sztuk Pięknych. Byli nimi zrazu prof. Cynk, potem prof. Wyczółkowski. Przychodzili oni do prywatnego mieszkania swego ucznia i wtajemniczali młodego artystę w arkana sztuki malarskiej, każąc mu jak najwięcej rysować. W tece pośmiertnej pozostało po ks. Grabowskim z owych czasów mnóstwo rysunków, kartonów, szkiców, oraz pierwsze próby portretów, do których pozowali mu właśni koledzy i inni konfratrzy. Z upodobaniem rysował ks. Grabowski twarzyczki dziecięce o rysach anielskich; bywał także bardzo częstym gościem w Towarzystwie Dobroczynności w Krakowie na Stradomiu, gdzie między tamtejszymi starcami znajdował przepyszne typy o twarzach iście apostolskich. To, co ks. Grabowski w ciągu tygodnia namalował, potem profesor poprawiał i dawał praktyczne wskazówki. Teoretyczne zaś wiadomości z historji sztuki

czerpał ks. Stanisław bądź z własnej lektury bądz z wykładów prof. Konstantcgo Górskiego i prof. Kopery. Pierwszy wykładał na Stradomiu tylko przez jedno półrocze sztukę starochrześcijańską, drugi natomiast wykładał przez dłuższy czas i zaznajamiał swoich słuchaczy praktycznie z historją sztuki, oprowadzając ich po Muzeum Narodowem i po kościołach krakowskich.

Pierwszą poważniejszą pracą ks. Grabowskiego, prócz znakomitego *autoportretu*, przechowanego między rysunkami, to niewielki obrazek w formie okrągłej, mający średnicy 28 cm. Jest to kopja znanego obrazu Müllera, przedstawiającego *Świętą Rodzinę.* Prof. Cynk, oglądając tę pierwszą pracę, wyraził się o talencie ks. Grabowskiego bardzo pochlebnie, tembardziej, że ks. Grabowski użył do tej pracy bardzo grubego płótna, co bardzo utrudniało techniczne wykonanie obrazka, o miniaturowych niemal rozmiarach rysów twarzy osób przedstawionech. Obraz przechowuje u siebie ks. rektor Józef Gaworzewski.

Cudne okolice Krzeszowic, gdzie ks. Grabowski jako kleryk corocznie przepędzał letnie wakacje a później jako ksiądz często bywał, nęciły jego talent, by te cuda przyrody odtworzyć na płótnie. Tak powstało, o ile dotąd stwierdzić zdołałem, *pięć widoczków okolic Krzeszowic.* Jeden posiada ks. Sobawa na Kleparzu z r. 1905, wielkość 15×22 cm. przedstawia las na Bartlówce, który prześwietla słońce, na przedniem tle burzany. Ks. superjor Franciszek Bączkowicz, posiada akwarelę, na której uwidoczniona jest burza, widziana z willi księży Misjonarzy; ciemności, zalegające niebo i ziemię, rozdziera i rozświetla błyskawica, het daleko nad ruinami zamku tęczyńskiego. Rozmiary widoczka wynoszą 32×42 cm., obrazek opatrzony jest datą 31 sierpnia 1909. Dwa widoczki krzeszowickie o rozmiarach 28×20 cm. ma ks. rektor Józef Gaworzewski, a jeden przed swoim odjazdem do Ameryki Północnej otrzymał w darze ks. Stanisław Konieczny, rektor Kolegjum w Erie, w maju 1912 r.

W r. 1906 odważył się ks. Grabowski na większe kompozycje. Namalował *portret ks. wizytatora Kaspra Słomińskiego*, jako pastel; wielkóść 70×48 cm. Znajduje się w Seminarium Internum na Stradomiu [1]). Drugi jego portret, to podobizna *ks. Wilhelma Michalskiego*, ówczesnego dyrektora kleryków na Stradomiu; wielkość 74×55 cm. Znajduje się obecnie na Stradomiu w sekretarjacie prowincjonalnym. W tymże r. 1906 opuścił pracownię malarską naszego artysty obraz, który najlepiej zatytułować jako *Studjum*. Przedstawia stojący na stole turybularz, obok naczynie z wodą święconą, na niem kropidło, nieco dalej ampułki do mszy św.; rozmiary tego obrazu 52×48 cm., data: maj, r. 1906. Znajduje się u ks. Konstantego Michalskiego na Stradomiu. Podobny obraz widywało się przez długi czas w pracowni ks. Grabowskiego, mianowicie: gruba księga, stojąca na stole, obok lichtarz, biret i komża niedbale na stół rzucona. Nie zdołałem dojść, kto jest obecnie właścicielem tego obrazu; prawdopodobnie któryś z wielbicieli ks. Stanisława zabrał go sobie po jego śmierci na pamiątkę.

Dorobek artystyczny roku 1907, był wcale pokaźny. Ks. Józef Kryska, superjor stradomski, otrzymał od swego alumna na imieniny malowidło, które słusznie budzi ogólny zachwyt. Jest to *fragment architektoniczny*, przedstawiający dwa marmurowe portale, jeden prowadzi do zakrystji stradomskiej, drugi na przyległy korytarz, w głębi schody; całość oblana jest światłem słonecznem, wpadającem przez zakratowane okna. Wielkość obrazu 35×30 cm. W tym samym roku powstały *portrety księży Wizytatorów Piotra Soubieille i Józefa Kiedrowskiego*, obydwa mają rozmiary 64×50 cm. malowane z fotografji, przynajmniej pierwszy z nich. Inny obraz przedstawia postać Pana Jezusa zatopionego w modlitwie; oprawny jest w grube ramy niezłocone,

[1]) Żeby się nie powtarzać, zaznaczam odrazu, że portrety malowane przez ks. Grabowskiego, znajdują się u osób portretowanych; jeżeli są gdzieindziej, to nie omieszkam tego zaznaczyć.

także według pomysłu ks. Grabowskiego, na dolnej ramie grubo wyryty napis: *Oratio Christi.* Wielkość 63×48 cm. Ostatnie trzy płótna znajdują się u ks. Wizytatora na Stradomiu.

Dotąd mógł ks. Grabowski oddawać się swemu ulubionemu zajęciu tylko dorywczo, bo studja teologiczne wszystek czas pochłaniały. Kiedy w r. 1908 swe studja ukończył, był odtąd co do rozkładu czasu swobodniejszy. W tymto roku zaprosił go do siebie rektor Małego Seminarjum we Lwowie, ks. J. Gaworzewski, gdzie na jego żądanie malował ks. Grabowski duże płótna jako *dekoracje teatralne*. Wykonał wtenczas bardzo piękny las z prześliczną polaną. Dekoracja wszystkim niezmiernie się podobała, jak również i druga, przedstawiająca więzienie. Wtenczas także wykonał *portret ks. rektora Gaworzewskiego*, w rozmiarach 68×52 cm. Zanotujmy tu odrazu, że w tymsamym roku dnia 9 stycznia studenci czwartej klasy Małego Seminarjum, która podówczas była na Stradomiu, odegrali jasełka. Kulisy i bardzo piękną kurtynę ks. Grabowski wymalował, będący wtedy jeszcze djakonem; dekoracje pochwalił prof. Wyczółkowski, który także był zaproszony na przedstawienie. Obecnie mają się znajdować we Lwowie w Małem Seminarjum arcybiskupiem. *Ks. Wilhelm Szymbor*, jest w posiadaniu swego portretu, który również powstał w pracowni ks. Grabowskiego, o rozmiarach 41×27, bez sygnatury i bez daty, bo artysta chciał go jeszcze wykończyć, jednakże pochodzi z r. 1908. Wreszcie ks. Karol Michalski posiada obrazek *Tulipany*, wielkości mniej więcej 30×20 cm. Rok powstania 1908. Datę 7 lipca 1908 ma na sobie nieduży obraz (29×27 cm.), który miał służyć do celów propagandy Stowarzyszenia Dziecięctwa Pana Jezusa. *Matka Boska* siedzi na złocistym tronie, trzymając lewą ręką stojącego na Jej kolanach Pana Jezusa, prawicę ma w górę wzniesioną, a usta zdają się mówić do licznej rzeszy dzieci, które znajdują się przed tronem, słowa wyryte na obrazie: „Idźcie i wy nauczajcie świat“. Niestety obraz ten nie uzyskał aprobaty kościelnej,

być może dlatego, że postać Matki Boskiej traktowana jest trochę modernistycznie, ale mimo to, cały obraz czyni miłe wrażenie, zwłaszcza twarzyczki dziecięce, które z pewnością wzięte są z żywych modeli, bo obraz malowany był w Rabce w kolonji wakacyjnej dzieci im. św. Józefa, gdzie artysta miał zatem liczny wybór. Obraz przechowuje się w biurach Stow. Dzieciątka P. Jezusa na Kleparzu. Nawiązując do poprzedniej notatki wspomnieć także trzeba, że okładkę tytułową „Roczników Dziecięctwa P. Jezusa" zdobi często rycina, na której widnieją główki dziecięce, a dookoła biegnie napis: „Dopuśćcie dziateczkom przyjść do mnie". Kliszę do tej ryciny wykonał także ks. Grabowski. W r. 1908 malowany był także obraz, który obecnie przechowuje dom nasz Jezierzański *Anioł Stróż*, wielkości 90×66 cm. Na obrazie przedstawiony jest Anioł bez skrzydeł, trzymający obie dłonie nad głową pacholęcia.

Następny rok 1909 wzbogacił galerję dzieł ks. Grabowskiego czterema obrazami. *Autoportret* z datą 24 stycznia 1909, o rozmiarach 50×30 cm., wisi u ks. Wizytatora na Stradomiu. — Ks. Zygmunt Bielawski we Lwowie posiada *Kopję krzyża z zakrystji stradomskiej* z datą 13 kwietnia 1909 r. o rozmiarach 39×32 cm. — *Rynek kleparski*, widziany o wschodzie słońca z okien domu księży Misjonarzy ma rozmiary 24×34 cm. z datą 7 października 1909. Znajduje się w sali księży Misjonarzy na Nowej Wsi. Z tego roku pochodzi także *Portret ks. Piotra Śliwickiego*, Wizytatora księży Misjonarzy prowincji warszawskiej, nosi datę 25 października 1909, format owalny, osie 31×25 cm. Na stronie odwrotnej jest notatka: kopjowane w Muzeum XX. Czartoryskich z minjatury w 5-krotnem powiększeniu. — Taki sam portret znajduje się u ks. Superjora J. Kryski na Stradomiu. Wielkość obrazu nieowalnego 33×25 cm. U góry znajduje się napis: Ks. Piotr Hyacynt Śliwicki, herbu Jelita, Wizytator księży Misjonarzy prow. warsz. * 1705 † 1774, wizytat. 1738—1774. U góry po lewej stronie wymalowany jest herb. Na dole po prawej stronie napis: W dniu Imie-

nin ks. Józefa Kryski, Superjora na Stradomiu. Po lewej stronie jest notatka: malował z minjatury St. Szkudelski 1909. Twierdzą niektórzy, że i ta kopja jest dziełem pędzla ks. Grabowskiego, a opierają się na tem, że ks. Grabowki ową kopję ofiarował ks. Superjorowi na imieniny, ale, rzecz dziwna, nie umieścił na niej swej sygnatury, a przytoczony powyżej podpis zdaje się mówić coś przeciwnego. W każdym razie zagadka pozostaje dotąd niewyjaśniona.

W r. 1910 odbył ks. Grabowski podróż do Drezna celem zwiedzenia sławnej na cały świat tamtejszej galerji obrazów. Między innymi zaciekawił go jeden obraz nieznanego autora; ks. Grabowski po dłuższem badaniu przyszedł do przekonania, że to jest portret św. Wincentego a Paulo i z temi uwagami podzielił się z dyrektorem galerji, który sobie jego spostrzeżenia pilnie zanotował.

W lecie roku 1910 pojechał ks. Grabowski do Milatyna, gdzie na prośbę tamtejszego Superjora ks. Franciszka Buchhorna skopjował *Obraz Cudownego Pana Jezusa.* Z pracy tej wywiązał się z największem staraniem; kopja nie ustępuje nawet oryginałowi, jak zaświadczali liczni znawcy sztuki malarskiej, których w czasie wojny przez Milatyn dosyć się przesunęło. Ponieważ oryginalny obraz bardzo trudno zdejmować, bo wisi bardzo wysoko w głównym ołtarzu, przeto kopja służyła do robienia małych i dużych obrazów. Wisi w pokoju ks. Superjora milatyńskiego. W tym samym roku malował ks. Grabowski *podobiznę ks. J. Jakubowskiego*, wizytatora księży Misjonarzy prowincji warszawskiej; obraz jest owalny, średnica 31×25 cm. Po stronie odwrotnej jest napis: Według litografji H. Hirschla z książki K. W. Wójcickiego „Życiorysy znakomitych ludzi 1850". Wisi u ks. Wizytatora na Stradomiu jako p e n d a n t do portretu ks. Śliwickiego. — Tamże znajduje się jeszcze maleńki pejzaż noszący napis *„Graby z Czerny"*, znanej miejscowości koło Krzeszowic, gdzie ks. Grabowski w tamtejszym Zakładzie dla opuszczonych chłopców im. ks. Siemaszki często bywał. Obrazek ten, jak świadczy notatka, ukończył ks. Grabowski

15 września 1910 roku, rozmiary 30×24 cm. Inny obrazek tego samego artysty ma ks. Mateusz Marzotko na Kleparzu: *Rozkwitające róże w doniczce*, o rozmiarach 48×24 cm., z datą 1 sierpnia 1910 r. Wreszeie w tymże roku opuściło pracownię ks. Grabowskiego płótno większych rozmiarów: *Portret ks. Hugona Króla*, opatrzony datą 6 lipca 1910 r., o rozmiarach 62×43 cm. Była to zapewne spłata długu wdzięczności ze strony ucznia względem swego byłego profesora filologji klasycznej. Obraz, malowany „en plain air", ma charakterystyczne tło: kleparski kościół Sióstr Miłosierdzia.

Rok 1911 stanowi w działalności artystycznej ks. Grabowskiego przełom. W tym to roku dnia 7 grudnia otwarto w Krakowie w Pałacu Sztuk Pięknych pierwszą w Polsce wystawę sztuki kośc❘ielnej. Oczekiwano jej otwarcia z żywem zajęciem i spodziewano się po niej wielkich rezultatów. Ks. Grabowski czuł się o tyle na siłach, że uznał za rzecz odpowiednią i swoje dzieła na wystawę posłać. Były to obrazy wprost imponujących rozmiarów. *Serce Pana Jezusa*, dzieło konkursowe. Na obrazie tym postać Pana Jezusa wielkości uaturalnej, trzyma wyciągnięte ramiona i zda się cały świat do swego serca przyciągać. Drugi obraz: *Św. Jan Chrzciciel*, nawołujący żydów do pokuty, postać środkowa z projektowanego kryptyku. Wreszcie trzeci obraz: *Pan Jezus Bolesny*, załamujący ręce; pod spodem napis: Ludu mój, ludu, cóżem ci uczynił? [1])

Do obrazów powyższych dołączył ks. Grabowski płaskorzeźbę, przedstawiającą *Komunję św. Stanisława Kostki*. Jest to odlew gipsowy, mająey format okrągły, którego średnica wynosi 44 cm. Zdobi on obecnie jedną z sal Małego Seminarjum na Nowej Wsi. Wystawa nie znalazła uznania u surowych krytyków, nie szczędzono nawet takich wybitnych talentów, jak Malczewskiego, Sichulskiego, Madejskiego,

[1]) Dokładnych rozmiarów nie podaję, bo obrazy zabrała po śmierci ks. Grabowskiego rodzina do Kęt.

Hoffmana i wielu innych [1]). Nic więc dziwnego, że i dzieła naszego domorosłego artysty w oczach fachowców nie znalazły miłosierdzia. Mniej wymagająca publiczność w cichości swej duszy zapewne osądziła dzieła ks. Grabowskiego nie tak surowo, czego dowodem choćby rozmowa, jaką podsłuchał bawiący przypudkowo na wystawie ks. Superjor Szczepan Krzyszkowski: [2])

„Ależ ten strasznie wygląda“ — szepnęła jakaś pani, zwiedzająca wystawę do towarzysza, gdy stanęli przed obrazem ks. Grabowskiego.

„To św. Jan Chrzciciel“ odpowiada jej towarzysz.

Po dość długiem wpatrywaniu się w postać świętego konkluduje pani:

„A wiesz, że w tym obrazie jest coś“

„Potęga bije z postaci tego biedaka“ dokończył towarzysz i poszli.

„Postać św. Jana (opisuje ks. Krzyszkowski w dalszym ciągu swe wrażenia z wystawy) wymalował ks. Grabowski po kolana; pasem rzemiennym do bioder przytwierdzona skóra wielbłądzia i muszla do czerpania wody — to całe urozmaicenie obrazu, w którym wszystko skupia się w twarzy, zdającej się udochowniać w jedną myśl gniewną: „Jaszczurcze plemię, któż was nauczył uciekać od idącego gniewu?“ Tryptyku ś. p. Stanisław nie dokończył, choć widziałem z dalszych dwóch obrazów, mająch go uzupełnić. już podmalowany jeden, przedstawiający ucieczkę św. Jana z łona rodziny na pustynię. Chciał tu, zdaje się, puścić wodze swemu zamiłowaniu w malowaniu gęstwiny leśnej. Sama

---

[1]) Przegląd Powszechny, r. 1911, grudzień, ks. Pawelski: Na otwarcie wystawy historji sztuki kościelnej w Krakowie. Rok 1912, luty. Ks. Rudnicki: Z powodu I. wystawy współczesnej sztuki kościelnej w Krakowie. Marzec—kwiecień. Ks. Tuszowski: Po zamknięciu wystawy sztuki kościelnej.

[2]) List ks. Superjora Krzyszkowskiego do autora nekrologu z dnia 3 listopada 1920 roku.

postać chłopczyny, uciekającego w las, pomimo realnego traktowania, a może właśnie dla tej realności, okazała się mniej szczęśliwą do obrazu o treści religijnej. Bo też zmodernizowanie malarstwa religijnego w ten sposób, jak to w najnowszych czasach czynić zaczęto, jest niemożliwe i przez społeczeństwo chrześcijańskie nigdy w takiej formie przyjętem gościnnie nie będzie. Malarz religijnych tematów musi opromienić ukochane i w tajnem sanctuarium duszy chrześcijańskiej pieszczone ideały, a nie modernizować te drogie, ba, najdroższe uczucia każdego człowieka, zazdrośnie przed spospolitowaniem chronione. Ks. Grabowski przez koleżeństwo nie chciał zrywać z prądami szkoły malarskiej, ale dużo myślał i przetrawił tych myśli w sobie, boć mu najwięcej na sercu leżała ta właśnie część malarstwa".

Prócz dzieł, posłanych na wystawę, wykonał ks. Grabowski w roku 1911 *portret ks. Wizytatora Słomińskiego*, w rozmiarach 80×60 cm. Wisi w salce księży Misjonarzy na Kleparzu. W tymże roku utrwalił *w płaskorzeźbie ks. Józefa Kiedrowskiego*, na uczczenie jego 50-letniego jubileuszu kapłańskiego; wielkość rzeźby wynosi 41×29 cm. U spodu jest wyryty napis: Pięćdziesięciu latom kapłańskiej pracy ks. Józefowi Kiedrowskiemu, 1911. Znajduje się w sekretarjacie prowinc. na Stradomiu.

Na wakacje roku 1912 zaprosił do siebie ks. Grabowskiego ówczesny Superjor z Odporyszowa, ks. Szczepan Krzyszkowski, przyjaciel naszego artysty, powiernik jego myśli, pokrewny mu duchem i upodobaniami artystycznemi, bo sam w chwilach wolnych od obowiązków kapłańskich chętnie sięgał po paletę malarską. Były to wakacje cokolwiek pracowite, niby „niepróżnujące próżnowanie", ale za to miał ks. Superjor prawdziwą satysfakcję widzieć młodego artystę przy robocie.

„Malował ks. Grabowski — pisze ks. Krzyszkowski [1]) — szalenie szybko i to prawie z reguły „à la prima"; węglem

[1]) W liście, jak poprzednio.

rzucał ogólne zarysy i już z szalonym pośpiechem kładł kilka farb na paletę, pędzel już zamaczany i półsuchym pędzlem kontury i cienie rzucone, a za chwilę już światła i koloryt, barwne plamy z rysunkiem pokrywały płótno i jak na kliszy w wywoływaczu wynurzyla się myśl artysty siłą jakąś wewnętrzną, zmuszona w realne przybrać się kształty. Przy takim forsownym sposobie malowania męczy się artysta niepomiernie. Portret czy wogóle obraz jakiś chciał mieć gotowy w ciągu dnia lub dwóch najwyżej, aby mu farby nie zaschły; sądził, że tylko w ten sposób zrobione obrazy mają cechę świeżości i jędrności, i że gdyby chciał je przemalowywać, popsuje więcej, niż poprawi. W ciągu swego krótkiego pobytu w Oporyszowie namalował ks. Grabowski sześć obrazów. Prosiłem go, żeby „á la prima" wykonał *popiersia* na przygotowanych już płótnach szwagra mego i jego żony, czyli mej siostry, z fotografij. Zdaje się, że poczciwe serce jego nie umiało proszącemu odmówić; wziął się zaraz na drugi dzień do roboty i na wieczór był jeden portret gotowy. Tak samo podobiznę mej siostry skończył w ciągu drugiego dnia. Zły był na to malowanie bez modelu i żeby zatrzeć niemiłe wrażenie tego czynu, ochotnie wziął się do zrobienia *popiersia ks. Dziewiora* już z natury; skoro już portret prawie był gotowy i pozujący wstał zobaczyć swój konterfekt, zburczał ten ostatni artystę, że za szeroką mu twarz zrobił, a on takiej nie ma. Ks. Grabowski, choć się z początku upierał, że podobieństwo być musi, bo przecież pędzlem w powietrzu mierzył sumiennie proporcje, poprosił jednak ks. Dziewora, żeby raz jeszcze usiadł i przymierzywszy powtórnie proporcje, skonstatował pomyłkę i bez zakłopotania, szczerze się śmiejąc z tego, co zaszło, szpachtlem zebrał z boków obu policzków farby i przysunąwszy bliżej środka uszy, w ciągu może kwadransa miał pyszne podobieństwo i gotowy portret, jeden z lepszych przez siebie dokonanych. Po takiej wytężającej pracy zarówno umysłu, jak rąk i nóg, nic dziwnego, że się czuł zupełnie wyczerpany. I skarżył się na to. Ale za jakiś czas znów sam

brał pędzel, i wyszukawszy sobie tekturkę, zrobił na niej *podobiznę ks. Skrzydelskiego*, siedzącego na kanapie w pokoju gościnnym. Obrazek to niewielki, a że postać oddana była cała, więc zdawaćby się mogło, że trudno będzie uchwycić podobieństwo twarzy. Tymczasem, mimo że twarz stanowi tylko kilka kleksów barwnych, można od razu poznać, kogo obrazek ten przedstawia. Nalegaliśmy bardzo na ś. p. ks. Stanisława, żeby zrobił *widok kościoła Odporyszowskiego*, który możnaby następnie zreprodukować na widokówki; opierał się tej robocie, mówiąc, że to monotonny przedmiot i banalny, ale wreszcie zabrał się o wschodzie słońca do malatury i tak też zrobił ten widok. Z predylekcją malował mniejszych rozmiarów widoczek, przedstawiający charakterystycznie *pokrzywioną sosnę* z widokiem na rozległą szachownicę pól, wynurzającą się z pod obwisających jej gałęzi; siedzą tam sobie w wygodnych, wakacyjnych pozycjach ks. Dziewior, czytający gazetkę i ks. Skrzydelski. Zrobił też według już swego własnego upodobania na tekturze *pień dolny* bez korony innej sosny na tle lasu, wznoszącego się z lekka ku górze; tę rzecz wyjątkowo coś trzy dni malował; jest to jedna z najlepszych jego prac".

Opisane wyżej przez ks. Krzyszkowskiego obrazy wszystkie znajdują się w Odporyszowie, prócz portretów, z których jeden pojechał do Lwowa, drugi do Jezierzan; ostatni zaś obrazek, „Pień sosny" podarował ks. Grabowski ks. Gaworzewskiemu na imieniny, ma rozmiary 34×24 cm. Zanotować trzeba pod r. 1912 jeszcze jedno dzieło, *Popiersie ks. sup. Stanisława Koniecznego*, malowanego tuż przed wyjazdem jego do Ameryki Północnej. Portret jest cokolwiek mniej udatny, przechowuje się na Nowej Wsi.

Po bujnej produkcji 1911 — 1912 r. nastąpił w następnym roku 1913 w twórczości malarskiej ks. Stanisława pewien zastój. Zdaje się, że zniechęciły go głosy zbyt surowej krytyki o jego pracach wystawowych, lub może czuł się duchowo przemęczony, dość, że od tego czasu sięgał po paletę chyba wtedy, gdy nie mógł czyimś prośbom odmówić.

Tak powstał w r. 1913 *portret ks. dyrektora Józefa Zielińskiego,* o rozmiarach 35×35 cm. Oprawnym jest w ramy w stylu renesansowym, które sam artysta zaprojektował. — Skończył ks. Grabowski galerję swoich obrazów obrazem religijnym, którego historja jest następująca: księża Misjonarze z Nowej Wsi przez kilka lat jeździli ze mszą św. do prywatnej kaplicy księżnej Marcelowej Czartoryskiej na Wolę Justowską. Księżna pochodziła z rodziny belgijskiej książąt Chimay. Córka jej, zaręczona z następcą tronu belgijskiego, zmarła w młodziutkim wieku; po jej śmierci przechowywała stroskana matka z wielkim pietyzmem wszystko to, co jej ukochaną córeczkę przypominało, między innemi rzeczami jakąś deszczułkę, którą na noc przystawiała do łóżeczka córki, aby z niego nie wypadła. Tę pamiątkę ceniła księżna bardzo wysoko. Kiedy zapoznała się księżna z ks. Grabowskim, który na Wolę Justowską też jeździł, skoro nań kolejka przypadała, i kiedy dowiedziała się o jego zdolnościach artystycznych, uprosiła go, aby na owej deszczułce wymalował *obraz Matki Boskiej Ostrobramskiej.* Nie na rękę była artyście ta nowa robota, odkładał ją dlatego bardzo długo, wreszcie tuż przed samym wyjazdem księżnej robota była skończona. Księżna zabrała obraz ze sobą, gdy w r. 1913 wyjechała na stałe za granicę.

W spuściźnie malarskiej ks. Grabowskiego jest jeszcze kika obrazów, których czas powstania na razie trudno mi było ustalić dla braku dokładnych informacji. Ks. Michał Sadowski w Erie otrzymał w podarunku od ks. Stanisława aż cztery obrazy, w rozmiarach mniej więcej 15×20 cm. Dwa przedstawiają *pola obsiane zbożem,* z polskiemi wierzbami, zagrodami, z polską wsią — temat ulubiony naszego artysty; trzeci przedstawia *chryzantemy,* a czwarty *popiersie ks. Sadowskiego.* W czasie swego kilkoletniego pobytu na Kleparzu zrobił ks. Stanisław *kopję obrazu św. Jana Kantego,* umieszczonego w jednym z bocznych ołtarzy w kościele św. Florjana. Malował ją ks. Grabowski w kościele. Obraz ten, bardzo dużych rozmiarów, zabrała rodzina do

Kęt wraz z trzema innymi obrazami wystawowymi. — We Lwowie u ks. Rektora Janiewskiego jest podobno jeszcze jeden *autoportret* ks. Grabowskiego, bardzo charakterystyczny, który niektórzy zaliczają do najlepszych jego dzieł.

Wspomniano poprzednio, że ks. Grabowski po roku 1912 malował już niewiele. Bujny jego temperament artystyczny pchał go na inne pole twórczości, na którem już raz spróbował swoich sił: na pole rzeźbiarstwa. Zapowiedziano na rok 1913 w Krakowie wystawę rzeźb. I tym razem ks. Stanisław postanowił wystąpić publicznie, posłał więc na wystawę wykonane przez siebie trzy płaskorzeźby. Pierwsza przedstawiała podobiznę młodego studenta z Małego Seminarjum na Nowej Wsi, *Leona Stańkę* [1]). Rzecz wykonana była w gipsie, o rozmiarach 11×11 cm.; obecnie się znajduje na Nowej Wsi u ks. dyrektora Zielińskiego. Druga rzeźba odlana w bronzie, w tych samych rozmiarach, co poprzednia, przedstawiała samego *ks. Grabowskiego*. Wreszcie trzecia plakieta, także ulana w bronzie, przedstawiała *ks. Maksymiljana Wrońskiego*, w rozmiarach 14×11 cm. Tym razem miał ks. Grabowski większe szczęście. Komitet wystawowy widocznie uznał talent ks. Stanisława, skoro dwie plakiety (studenta Stańki i ks. Wrońskiego) posłał do Warszawy na tamtejszą wystawę plastyczną. Stamtąd zakupiło Muzeum Czapskich w Krakowie bronzową plakietę ks. Wrońskiego do swoich zbiorów.

Talent ks. Grabowskiego był prawdziwie wszechstronny. Obok malarstwa i rzeźbiarstwa zajmował się nasz artysta także drobniejszemi pracami, mającemi atoli związek ze sztuką. I tak karta tytułowa pisemka, wydawanego przez krótki czas przez ks. Misjonarzy w Erie, p. t. „Głos z Erie“, zdobił rysunek wykonany przez ks. Grabowskiego. Przedstawia on *Św. Jana Kantego*, z prawą ręką na grubej księ-

---

[1]) Leon Stańko, wychowanek Małego Seminarjum księży Misjonarzy, później ze Seminarjum Stradomskiego powołany do wojska pruskiego, zginął w czasie wojny światowej na froncie francuskim w r. 1916 mając lat 18.

dze, a lewą ręką przygarniającego ku sobie młodego studenta. — Również jego pomysłu jest *okładka na „Katechezach ks. Bielawskiego“*. — Ponadto według wzorów przez niego podanych wymalowano dawniejszą *zakrystję* przy kościele księży Misjonarzy na Kleparzu. Gdy w r. 1912 kościółek kleparski rozszerzono, wtedy ks. Grabowski wykonał jeden z kamieni, które się mieszczą w sklepieniu, tak zwany *zwornik*; kamień ten, zrobiony z gipsu, ma na sobie ozdobę: mianowicie serce P. Jezusa oplatane cierniową koroną; widziałem sam artystę przy tej robocie, mówił mi, że zwornik ma być umieszczony w sklepieniu nad presbiterjum, ale czy umieszczono, nie mogę na pewno twierdzić. W salce księży Misjonarzy na Kleparzu wisi akwarela, malowana przez niejakiego S. Tęczyńskiego, w r. 1902, przedstawia ona szarżę ułanów. Dorobił do niej szerokie *ramy mosiężne*, ks. Grabowski; na górnej ramie wyryty jest orzeł z szeroko rozpostartymi skrzydłami, na dolnej ramie słońce, a przed nim księga otwarta. Po prawej stronie na dole wyryta pieśń: „Jeszcze Polska nie zginęła“, po lewej pierwsza zwrotka pieśni: „Długo spała Polska święta“. Brak sygnatury i daty, prawdopodobnie robotę wykonano w r. 1908.

Znał się także ks. Grabowski na sposobie odczyszczania starych obrazów, i miał wtedy prawdziwą satysfakcję, gdy wśród tej roboty z pod warstwy brudu i kurzu wyłaniały się przepyszne barwy, malowane pędzlem jakiegoś mistrza dawnej szkoły. I tak odrestaurował obraz: *Powrót Tobjasza*, tudzież obraz, przedstawiający *św. Sebastjana;* oba obrazy wiszą u księży Misjonarzy na Kleparzu. Historja odkrycia tego ostatniego obrazu jest następująca: Na jednej z misyj, odprawianych w pewnej miejscowości wschodniej Galicji, ks. superjor Jan Rossmann, zauważył w zakrystji wiszący na ścianie obraz, zakurzony, ale coś go tknęło, że to pewnie jakieś cenniejsze malowidło, więc obrazem się zainteresował. Po jakimś czasie wypadło mu znowu pojechać do tej samej miejscowości. Patrzy na ścianą, obrazu niema. Pyta się więc proboszcza, gdzie się obraz podział.

„Kazałem go wyrzucić na strych, po co ma tu wisieć taka brudna płachta" — brzmiała odpowiedź.

„Czyby ks. proboszcz nie był taki dobry podarować mi ów obraz?" — zapytał ks. Rossmann. Ksiądz proboszcz machnął ręką i rzekł od niechcenia:

„Bierz Ojciec, to nie wiele warte".

Uradowany Misjonarz czemprędzej każe obrazu poszukać i sobie przynieść, rozwija płótno, na którem rzeczywiście już prawie nic nie było widać, bada, ogląda, wtem wzrok jego pada na szczątek ramy, gdzie widniał czytelny jeszcze napis: Tizian. Natychmiast zwija płótno z powrotem ostrożnie i z tryumfem wiezie cenny skarb na Kleparz. Uwiadomiony o wypadku ks. Grabowski, wnet obraz umiejętnie odczyścił i oto zdumionym oczom pokazał się na płótnie św. Sebastjan takim, jakim go obecnie na obrazie widzimy. Chciano atoli mieć pewność co do jego pochodzenia i wartości, przeto posłano fotografię do słynnego znawcy sztuki kościelnej, O. Alberta Kuhn'a do Einsiedeln, Benedyktyna. O. Kuhn odpisał, że zdaniem jego obraz malowany został nie przez Tiziana, ale przez jakiegoś innego mistrza szkoły włoskiej, prawdopodobnie malował go Tintoretti; zresztą dla dokładniejszej oceny musiałby widzieć sam oryginał.

Wartość artysty każdego mierzy się nie tylko tem, co rzeczywiście wykonał, ale chcąc mieć dokładne wyobrażenie o jego wartości artystycznej, uwzględnić ponadto należy jego pomysły i projekta, które atoli nie doczekały się realizacji. Stosuje się to w pełnej mierze i do ks. Grabowskiego. Czuł on w głębi duszy swojej jakieś utajone moce twórcze, które pchały go do czynu i poprostu nie mógł artysta nadążyć, aby to, co się w duszy jego poczęło, czemprędzej przyoblec w ciało. W tece pośmiertnej znajduje się np. projekt z r. 1908 do trzech obrazów, które zdaje się miały stanowić całość: Jezus na świat przychodzący, Jezus potępiający, Jezus nagradzający. Tamże znajduje się szkic do obrazu św. Wincentego a Paulo. Z r. 1910 pochodzi projekt do tabernakulum do Milatyna: nad drzwiczkami do taber-

nakulum wznosi się postać P. Jezusa z rozciągniętymi rękami, dookoła dwa napisy: „Przyjdźcie do mnie wszyscy", „*venite ad me omnes*"; Na drzwiczkach trzeci napis: „Jam jest żywot". — Kiedy podczas restauracji kościoła księży Misjonarzy na Nowej Wsi aktualną była kwestja nowych witraży, wtedy ks. Grabowski wykonał maleńki szkic do dwóch witraży w presbiterjum: mianowicie dwóch aniołów z rozpostartymi skrzydłami, twarzami zwróconymi do siebie. Często także wspominał, że chciałby wykonać model ołtarza wielkiego do tamtejszego kościoła.

Miał wreszcie ks. Grabowski, także niemały talent i pociąg do poezji. W papierach pośmiertnych znajduje się gruby bruljon, zapełniony wierszami. Lubiał ks. Stanisław tłómaczyć na język polski hymny łacińskie z brewiarza. Spuścizna ta czeka dotąd na jakiego znawcę, któryby papiery uporządkował i sąd wydał o ich wartości. Z poezji polskiej zajmował się poeta wyłącznie poezją modernistyczną Zachwycał się przedewszystkiem Wyspiańskim. Jego „Wesele" umiał niemal całe na pamięć i w chwilach natchnienia recytował konfratrom całe ustępy. Wogóle dziwne zachodziło pokrewieństwo ducha między nimi, *si licet exemplis in parvis grandibus uti. (Ovid).* Jeden i drugi poeta, jeden i drugi malarz i rzeźbiarz, obaj talenta oryginalne i wszechstronne. To też nazywał ks. Grabowskiego jeden z profesorów żartobliwie „Wyspiańczykiem".

Nie czuję się powołanym do tego, by podać ogólną charakterystykę ś. p. ks. Grabowskiego jako artysty i ocenę jego twórczości. Zrobić to może jedynie człowiek, co sam obdarzony iskrą bożego talentu umie w drugich ocenić, co znaczy borykać się z bezdusznym materjałem, który opór stawia dłutu czy pędzlowi, co znaczy ucieleśnić wymarzony w sercu ideał piękności i stawiać go na piedestał drugim do podziwiania. Sądzę, że dobrze będzie oddać znowu głos ks. sup. Krzyszkowskiemu, który stosunkowo może najlepiej znał właściwości duszy ks. Grabowskiego; wydał on takl o nim ogólny sąd:*)

W liście, jak poprzednio.

„Była to dusza na wskróś artystyczna, o czem zresztą przekonani wszyscy, którzy tylko mieli choćby na krótki czas sposobność z nim się zetknąć. Byłto nawet w zarodku artysta niepośledniej miary — wielki; bo wielkość duszy artystycznej nie mierzy się tem, co zdziałał, ale w jak trudnych warunkach działał i jak wielkich chwytał się zamiarów i poczynań; mierzy się ta wielkość siłą odczucia każdej rzeczy ze stanowiska niezwykłego niepowszednością, nie tylko wielką, ale i uroku pełną. Śmierć nielitosna zabrała ks. Grabowskiego już wtedy, gdy dopiero szukał dróg pierwszych i obierał kierunek dla swego talentu najwłaściwszy. Męczyła się ta dusza, upornie wyrywając się ku jakimś wyżynom malarskim, rzeźbiarskim, ba nawet na polu inżynierji, budownictwa kościelnego, konstrukcji maszyn lotniczych i tp.; ustawicznie coś dłubał i coś chciał nadzwyczajnego zdziałać, skonstruować, odkryć. Do jakich wyżyn malarskich byłby doszedł ten tak miły dla wszystkich, a tak wrażliwy na wszystkie piękno konfrater, trudno dokładnie określić; ale bez przesady twierdzić można, że, zważając na pełne wdzięku poczucie artystyczne, we wszystkich pracach jego się odbijajace, zważywszy tę mikroskopijną czułość w doborze tematów o walorach ściśle artystycznych, przytem biorąc na uwagę szaloną zdolność szybkiego reprodukowania czy to podobizny rysunkowej, czy kolorytu i napięcia świateł i cieni, to po przetrawieniu nabytych nauk i po ustaleniu swej drogi byłby ś. p. ks. Grabowski stanął prawdopodobnie między pierwszorzędnymi mistrzami pendzla naszych czasów".

Niestety nie było danem ks. Grabowskiemu dożyć tego okresu życia, w którymby jego talent doszedł do pełnego rozkwitu. Piękną jego ewolucję przerwala śmierć, śmierć niespodziewana. Cieszył się ks. Grabowski zawsze czerstwem zdrowiem, aczkolwiek nie można powiedzieć, jakoby imponował siłą fizyczną. Dopiero kilka miesięcy przed zgonem coś się w nim psuć zaczęło; musiał raz po raz położyć się na dłuższy czas i dopiero, gdy już boleści bardzo się wzmogły, przewieziony do szpitala św. Łazarza, poddany został operacji.

Lekarze skonstatowali ropienie ślepej kiszki, nowotwory i zrosty we wnętrznościach. Na drugi dzień po operacji ks. Grabowski oddał ducha Bogu, dnia 1 kwietnia 1914 r. Jechał do szpitala z tem mocnem przekonaniem, że kuracja potrwa co najwyżej kilka tygodni i skończy się pomyślnie i ani na chwilę nie przypuszczał możliwości katastrofy, jednak na śmierć dobrze się przygotował, przyjąwszy pobożnie ostatnie Sakramenta święte. Ostatnie jego słowa były: „Jezus, Marjo, Józefie święty, wam oddaję ducha mego". Kiedy wieść o jego zgonie się rozeszła, zdawało się niektórym, że to niewczesny żart „prima aprilis", a niestety była to smutna prawda. Ciało ś. p. ks. Stanisława spoczęło na cmentarzu krakowskim między starymi ojcami, „*appositus est patribus suis*", dusza tymczasem uleciała w zaświaty do owej krainy piękna, do której się ustawicznie wyrywała. Miejmy nadzieję, że litościwy Bóg, odpuściwszy mu drobne usterki, „*quae per fragilitatem humanae conversationis commisit*", wpuścił go do przybytków niebieskich na oglądanie owej galerji Świętych Pańskich i wszystkich piękności niebieskich, których żaden pendzel malarski odmalować, żadne pióro poety wiernie opisać nie byłoby w stanie. Tu na ziemi widział i szukał ks. Grabowski piękna w stworzeniach, „*in aenigmate*", ale tam (daj to Panie Boże), wpatruje się w Tego, który wszelkiego piękna jest praźródłem i pierwowzorem, „*nunc autem facie ad faciem*".

Ks. Maksymiljan Wroński.

Ś. p. ks. Jan Sosnowski.

(ur. dnia 29 kwietnia 1880, zmarł dnia 17 lipca 1918).

Już starożytni Rzymianie nie wiele przywiązywali wagi do tego, co ktoś sam o sobie mówił, a zwłaszcza jeżeli się chwalił. U nich przecież powstało to charakterystyczne i znane wszystkim przysłowie: „*propria laus sordet*". Również i Pismo Święte mówi: Niech cię chwali cudzy, a nie usta twoje, obcy, a nie wargi twoje. Toteż, u nas w Zgroma-

dzeniu, zawsze się człowiek trochę żenuje, kiedy mu przychodzi mówić, lub pisać, nawet o kimś ze zmarłych konfratrów. Tak czuje się człowiek jedno z całem Zgromadzeniem, i z każdym z poszczególnych jego członków, a swoim konfratrem, że mówiąc, czy pisząc, o Zgromadzeniu lub o konfratrze, zdaje mu się, że mówi i pisze także o sobie. Chciałby więc powiedzieć jak najmniej rzeczy ujemnych, chciałby pominąć wszystkie cienie, chciałby, żeby fotografja była śliczna i wyrazista, a jednak, żeby nie było znać na niej żadnego retuszu, żadnej propria laus. Trudna to rzecz. Zarówno bowiem na ludzi, jak na rzeczy, patrzy każdy pod swoim specjalnym kątem widzenia, a od pewnej dozy subjektywizmu jest prawie niepodobną rzeczą ustrzedz się. Jestem w tem szczęśliwem położeniu, że o zmarłym konfratrze ś. p. ks. Sosnowskim, pisał już w ostatnim numerze „Miłosierdzia Chrześcijańskiego“ z r. 1918, p. mecenas Olearski. Stamtąd więc będę się starał wziąć niejeden szczegół, a resztę uzupełnię tem, co słyszałem od innych, i na co sam patrzałem.

Zmarły konfrater, ś. p. ks. Jan Sosnowski, miał lat 38. Urodził się na Śląsku pruskim, w prastarej ziemicy piastowskiej, w gminie Miedźna, należącej do powiatu pszczyńskiego.

Tam też chodził do szkół początkowych. Oddany potem został do naszego Małego Seminarjum (Kleparz 1894 – 96, Nowa Wieś 1896—98), Seminarjum internum i dalsze studja gimnazjalne odbywał na Kleparzu (1898—1901) i na Stradomiu, zakończył je egzaminem dojrzałości. Na Stradomiu pozostawał aż do zupełnego ukończenia nauk teologicznych. Śluby święte złożył dnia 27 listopada 1900. Uczył się pilnie, a mając pole po temu, zaczął już wtenczas ujawniać pewną oryginalność w sądach i w wypowiadaniu myśli, ku czemu dawała mu impulsy wrodzona ambicja. Pono w bardzo oryginalny sposób obudziło się w nim zamiłowanie do nauk historycznych. Ale że w oryginalny sposób, jak opowiadają jego koledzy, to mniejsza, ważniejsze jest to, że odtąd począł się oddawać z zapałem i z zamiłowaniem historji. Skłoniło to przełożonych że stosunkowo bardzo wcześnie, bo zaraz po wyświęceniu

powierzyli mu stanowisko profesora historji kościelnej. Na kapłana został wyświęcony w styczniu 1906 r. Odtąd przebywał stale w Krakowie na Kleparzu.

Nie będę się silił na psychologiczne ujęcie jego sylwetki, bo to rzecz bardzo trudna, a powtóre mógłbym go bardzo łatwo skrzywdzić. *Homo enim videt in facie, Deus autem intuetur cor.* Do najgłębszych calizn duszy, tam gdzie rodzą się pobudki pomysłów i działań ludzkich, zagląda tylko Bóg i człowiek sam. Wprawdzie życie zewnętrzne, jest jakgdyby illustracją procesów, dokonywujących się we wnętrzu naszej jaźni, atoli trzeba mieć specjalną łaskę Bożą, albo też bardzo wiele doświadczenia i gruntownego w tym kierunku wykształcenia, żeby z poszczególnych, i luźnych nieraz aktów zewnętrznych, wykoncypować sobie i stworzyć wierną odbitkę psychologiczną wnętrza czyjejś duszy. Najprostszym sposobem można to zrobić wtenczas, kiedy ktoś sam przed nami szczerze się otworzy. Ś. p. ks. Sosnowski, należał, zdaje się, do tych dusz, które, jak pewne kwiaty, otwierają się rzadko, i nie przed byle kim. Byłem jego uczniem w wyższem gimnazjum, a później słuchałem jego wykładów na teologji, i ten stosunek profesora do ucznia, chociaż później bardzo złagodzony i zmatowany, można było zawsze wyczuć. Mówię, że nie tylko w odniesieniu do mnie, ale w stosunku do nas wszystkich, którzyśmy słuchali jego wykładów. Tą więc drogą, drogą rozmów i wzajemnego przestawania z sobą, nie można było zaglądnąć głębiej do jego duszy. Czasami zdawało się, że się zasłona na mgnienie oka rozchyliła, niby jak kiedy błyskawica rozdziera chmurę, atoli kiedy się zapuściło w tę szczelinę ciekawą źrenicę, to ona natychmiast wracała z powrotem, niby gołębica Noego, nie niosąc nawet w dziobie zielonej gałązki nadziei. Niestety, nie mam też tego cudownego daru, jak niektórzy, co to powiadają, iż wystarczy, że się popatrzą komuś w oczy, a już wiedzą, co on zacz.

Zdaje mi się, że pan mecenas Olearski, nie pomylił się, kiedy powiedział, iż „życie ś. p. ks. Sosnowskiego, po-

święcone Bogu i bliźnim, składało się z dwu nawzajem paraliżujących się czynników: i z zapału do pracy i nurtującej słaby organizm choroby. Jedno na drugie oddziaływało: choroba nieraz wstrzymywała, albo przeszkadzała w jego zamierzeniach, a usilna niezmordowana praca oddziaływała ujemnie na jego słabe zdrowie". O tak, to prawda! Nie wiem jak kto, ale ja, patrząc na konfratra Sosnowskiego miałem zawsze to wrażenie, że patrzę na chorego ptaka spoglądającego tęskno ku przestworzom i błękitom, i nie mogącego ku nim wzlecieć. Jest to straszny ból, który nie każdy potrafi zrozumieć, a nie każdy potrafi go odczuć, jeno ten, kto w nikłem i schorzałem ciele nosi potężnego i stęsknionego ducha. Ś. p. ks. Sosnowski odczuwał bardzo ten ból. Można to było czasem zauważyć i wyczuć, chociaż i z tem nie lubiał się zdradzać. Po ludzku rzecz biorąc, to ta chroniczna wada serca, która mu ustawicznie dokuczała, stanowiła jak gdyby pewien tragizm w jego życiu. Ze strony chorego serca doznawał ustawicznych paraliżowań swoich zamysłów, zakreślonych na dalszą metę i obliczonych na głębszy wysiłek. A jednak nie żalił się zbytnie na to, nie był Jeremiaszem, wyśpiewującym lamenty na gruzach swoich sił i zdrowia. Leczył się, to prawda. Ale w tem jego leczeniu się nie było nic miękkiego, owszem była nawet pewna szorstkość.

Stanowisko profesora historji i patrologji powierzono mu, jak wspomniałem, bardzo wcześnie. Nie był on coprawda na tem stanowisku siłą wybitną i pomysłowo twórczą, co zresztą mogło się było jeszcze w przyszłości okazać, gdyby był dłużej żył, ale natomiast bardzo pracowitą i skrzętną. Wykłady miał zawsze spisane in extenso, a przygotowywał je *cum ira et studio*. Na nieprzyjaciół Kościoła i na nihilistycznych burzycieli społecznego porządku, opartego o zręby katolickich zasad, fulminował często, ale nigdy dla efektu, jeno z przekonania. Te gorące, urywane słowa, które niby iskry, padały mu często z ust, dobywały się z ogniska, które zapala w duszy ukochanie prawdy.

Był bardzo uczuciowym. Stąd nieraz widziało się łzy w jego oczach, kiedy wykładał moment bardziej jakiś uczuciowy, lub czasem można było zauważyć, jak nagle poczynał krząkać, szukać niby czegoś po zeszycie, patrzeć na zegarek stukać ołówkiem w stół..., żeby się nie zdradzić, żeby od nerwowych niedomówień i wzruszeń, nie przejść w wyraźny płacz.

Taką scenę przypominam sobie z wykladu patrologji. Mówił wtenczas o świętym Ignacym Antjocheńskim, a przytaczając jego słowa, wypowiedziane w Rzymie na odgłos lwich ryków: „*Frumentum Christi sum: dentibus bestiarum molar, ut panis mundus inveniar*“, o mało się nie rozpłakał. Być może, że nie zauważyli tego konfratrzy siedzący w dalszych ławach, ale ja zauważyłem, bo siedziałem prawie tuż przy katedrze.

Było to bezwątpienia skutkiem jego żywego usposobienia i bardzo wysokiej uczuciowości, na co wskazywałoby chore serce, ale także i z pobożności. Jak bowiem wogóle wnętrza swej duszy, tak i pobożności, nie lubił on zbytnio demonstrować. Czasem ją nawet chował w pewien obojętny wyraz twarzy, lub w swobodny gest. Leżało to już w jego usposobieniu. Atoli konfratrzy z mego kursu i ja przypominamy go sobie jeszcze z tego czasu, kiedyśmy byli na I-szym roku seminarjum w domu kleparskim. Nieraz, kiedyśmy wcześnie rano, po Mszy św. i po kawie, wypadli na chwilę do ogrodu dla odmówienia koronki, tośmy tam spotykali regularnie zawsze i jego, jak chodził po ścieżce, wzdłuż muru, i odmawiał pobożnie koronkę. Kiedy odprawiał Mszę św., to w jego postawie i w ruchach znać było skupienie i skoncentrowaną na świętej czynności myśl. *Sancta sancte tractavit.* Kazania mówił zajmująco, i z dużym nakładem momentu uczuciowego. Mówią, że jego kazań lubiano słuchać. Atoli pod koniec, z pewnością wskutek wzmagającej się choroby i nawału pracy w Dziele św. Dziecięctwa, znać było w nich mniej jasności i obmyślenia, a natomiast dosyć częste powtarzania się.

O wielkiej delikatności duszy świadczyłyby jego rozmowy na rekreacjach. To mu trzeba przyznać, że nigdy nie pozwalał sobie na jakieś niepotrzebne słowa, lub mniej odpowiednie zwroty.

W chorobie był bardzo cierpliwym i niewymagającym, a kiedy go się odwiedziło, bardzo uprzejmym, mimo że się już ledwie trzymał w pozycji siedzącej na łóżku, lub w fotelu. A mówią, że właśnie w chorobie poznaje się, jak i o ile ktoś jest pobożnym.

Ś. p. ks. Sosnowski, już jako kleryk z końcowych kursów, i później po wyświęceniu jako młody kapłan, uczęszczał na Uniwersytet Jagielloński. Atoli się nie doktoryzował. Nie jest mi dostatecznie jasnem dlaczego. Pan mecenas Olearski tak o tem pisze: „W Uniwersytecie Jagiellońskim, po studjach historycznych, którym się oddawał z wielkim zapałem zamierzał się doktoryzować, i w tym celu napisał rozprawę „Spór o małżeństwa mieszane w Niemczech", w której zajął wobec rządu pruskiego stanowisko ostre i oczywiście wybitnie katolickie. Były próby skłonienia go do odstąpienia od ostro postawionych zasad, ale daremnie, ugiąć się nie pozwolił, i wolał zaniechać zamiaru, jak wbrew swemu przekonaniu postąpić". Tak, to zdaje się być prawdą, że ś. p. ks. Sosnowski nie łatwo odstępował od swoich przekonań wogóle, i trwał przy nich z pewnym uporem, chociaż nie zawsze wydedukował je z wolnych od zastrzeżeń przesłanek.

Praca jego nie ograniczała się tylko do stanowiska profesora historji i patrologji. W ostatnich latach powierzono mu redakcję „Miłosierdzia Chrześcjańskiego". Pracy jego w tym kierunku nie umiałbym może nawet ująć i ocenić, więc wolę znowu przytoczyć kompetentne słowa p. mecenasa Olearskiego. „Z woli przełożonych objął redakcję „Miłosierdzia Chrześcjańskiego". Ile trudu, pracy i zaparcia się włożył w to nowe zadanie końca swego życia, ten tylko ocenić potrafi, kto poznał jak trudno jest prowadzić tego rodzaju perjodyczne pisma jak „Miłosierdzie", „Sodalis Marianus" i t. p. Jako organa stowarzyszeń o pewnym wytknię-

tym celu, muszą z natury rzeczy obejmować dwa działy, które nie zawsze mogą być równomiernie traktowane. Pierwszy dział to sprawozdania, podania czytelników, co się w stowarzyszeniu dzieje, jak prace idą — drugi dział, to program na przyszłość, jak być powinno, jakie ulepszenia, reformy i w czem je wprowadzić, jak zapał do pracy utrzymać, albo wzmocnić. Oczywiście, że ten drugi dział, który możnaby nazwać programowym, działem zachęty na przyszłość, jest ważniejszy, jak ów pierwszy sprawozdawczy o stanie obecnym, co, zanim dojdzie do czytelnika, stanie się sprawozdaniem o przeszłości. A tymczasem właśnie ten mniej ważny dział sprawozdawczy wskazuje ciągłą tendencję do wzrostu kosztem programowej części miesięcznika. Wyobraźmy sobie kilkadziesiąt konferencyj, to jest odrębnych stowarzyszeń w różnych miejscach, a każda z nich nadsyła sprawozdania z czynności. Każdy nadsyłający sekretarz ma pretensje, żeby sprawozdanie wydrukować. Rozważmy przytem, że wszystkie mają i ten sam cel i jeden statut, że więc czynności każdej są w zasadzie te same, a więc sprawozdania wogóle do siebie podobne, a pojmiemy, jakie niebezpieczeństwo dla poczytności pisma stądby mogło wyniknąć, gdyby redaktor nie redukował tego dzieła. Ks. Sosnowski wiedział o tem i zasługą jego było, że utrzymał tradycję przez poprzednika w redukcji wyrobioną. Za to bardzo dbał o wybór artykułów, które nazwaliśmy programowymi.

Przez to nie rozumiał niewolniczych tylko projektów na przyszłość, lecz każdy artykuł, przyczyniający się do rozgrzania zapału do dobrych uczynków, każdy przykład życia poświęconego szlachetnym dążnościom. Umiał je zgromadzić od innych, ale także sam pisał takie zachęcające i rozgrzewające ducha artykuły. Do takich trzeba zaliczyć napisany przez niego w roku jubileuszowym 1913 Życiorys Fryderyka Ozanama, życiorys doskonały a zwięzły, który dzięki przedmiotowi, czyta się jak program Apostolskiego działania na innych. Prowadząc zaś redakcję Miłosierdzia, nie miał tej zachęty, jaką daje liczne grono czytel-

ników i przeświadczenie, że się do wielu ludzi przemawia, owszem pod tym względem spotykał się z obojętnością i brakiem poparcia. Mała liczba prenumeratorów, bo nawet nie wszystkie konferencje chciały je utrzymywać, deficyt administracyjny, wzmagająca się choroba, wojna i jej skutki, wszystko to każdego mogłoby zniechęcić do dalszego prowadzenia dzieła, ale jego nie zniechęciło. Jak przed wojną z całą gorliwością, tak samo podczas wojny po chwilowem wstrzymaniu wydawnictwa, ożywił je na nowo i nie wypuścił z rąk aż do ostatnich chwil życia".

Atoli ulubioną jego pracą, której poświęcał wszystkie swoje słabe siły, i którą uważał za zadanie swego życia, było kierownictwo Dziełem Świętego Dziecięctwa Pana Jezusa. Mimo bowiem, że zdrowie miał tak liche i słabe, chciał pracować, chciał być pożytecznym i wiele zrobić. Na misje jeździć nie mógł, wykładów także już nie mógł miewać wskutek coraz częstszych ataków serca, a dłuższe słuchanie spowiedzi świętej go męczyło, więc cóż miał biedny robić? Ta praca była dlań jeszcze najodpowiedniejszą. Dyrektorem Dzieła Św. Dziecięctwa był od roku 1900.

Za niego, ponieważ był dyrektorem najdłużej, ustalił się w pracy pewien ciąg i tradycja. Propagandę „Dzieła", prowadził bardzo intenzywnie. Liczba członków wzrosła bardzo znacznie, a „Roczników" drukuje się obecnie 13.000. Do pomocy nie miał prawie nikogo. Sam bardzo często pakował i uskuteczniał wysyłki. Atoli z czasem urządził się inaczej. Trzeba mu to poczytać za plus, że założył osobne biuro przy ulicy Krótkiej w domu pod Nr. 5. Na domu tem ulokował wszystkie składki na „Dzieło Św. Dziecięctwa" z lat toczącej się wielkiej wojny, ponieważ nie było sposobu odsyłać ich do Paryża. Dzisiaj już je odesłano. Pracę w „Dziele" pojmował ideowo i ukochał ją całą duszą.

Ś. p. ks. Sosnowski, bronił zawsze gorąco w „Rocznikach" sprawy biednych, opuszczonych dziatek pogańskich. Sporządził w tym celu nowe wydanie starej broszury p. t.: „Głos Dzieciątka Jezus". „Głos" jest zarazem podręcznikiem

dla zelatorów. W rękopisie został się jeszcze podręcznik dla księży kierowników, który w tych dniach ujrzał nareszcie światło dzienne. W podręczniku zebrał ks. Sosnowski bardzo skrzętnie wszystkie odnośne brevia papieskie, wylicza następnie obowiązki księży kierowników, przywileje, sposób urządzania nabożeństw, korzyści duchowne i t. d., nawet znajdziemy tam historję znaczków pocztowych i słówko o początkach filatelistyki.

Ks. Sosnowski napisał jeszcze parę innych dzieł, jak: „Nauki dla Stowarzyszenia“, przez które chciał zaradzić, w sposób przynajmniej doraźny, brakowi podobnych zbiorów nauk u nas w Polsce. Są tam kazania i jego i innych także konfratrów. Tomem I. „Utworów dramatycznych“ chciał rozbudzić, tam przynajmniej, gdzie dobrej woli nie brak, żywsze zainteresowanie się sprawami „Dzieła“. Złożył się nań cały szereg dialogowanych i więcej osób wprowadzających sztuk, osnutych na tle motywów i zdarzeń z życia misyjnego, nie rzadko o bardzo ożywionem i szczerem napięciu dramatycznem. Wszystkie tłómaczone są z francuskiego, ale tłómaczone dosyć kiepsko. W „Żywocie Siostry Teresy“ (alias Tereni), która za życia swego bardzo żywo interesowała się misjami i żarem modlitw swoich niejedno pewnie zapaliła powołanie, a więc pośrednio przyczyniła się także do ratowania biednych, opuszczonych dzieci pogańskich, chciał dać dziatkom polskim śliczny do naśladowania wzór. Nie całe jej życie będą mogły naśladować, ale jej lata dziecięce i dopokąd nie wstąpiła do Karmelu z pewnością.

Dla dopełnienia tej zaledwie naszkicowanej tylko sylwetki, wspomnę jeszcze krótko o gorącym patrjotyźmie ks. Sosnowskiego. Ku Prusakom czuł jakieś specjalne uprzedzenie, być może, że po części za te „małżeństwa mieszane“, ale głównie, i to napewno, dla tego, że urodził się w prastarej ziemicy piastowskiej, i patrzał własnemi oczami, jak zachłanny polip pruski wrastał podstępnie i przemocą coraz bardziej w duszę polskiego ludu górnośląskiego, i jak przetwarzał jej najżywotniejsze soki na swój własny organizm. To też, jak

tylko wybuchła wojna światowa, odrazu i z góry zadecydował dla Prusaków przegraną i ruinę. Przekonanie to nosił w sobie aż do dnia śmierci, i bronił go prawie z uporem, chociaż na razie nie było najmniejszych danych do takiego twierdzenia, ponieważ prusactwo było wtenczas u szczytu swego powodzenia orężnego, i głosiło chełpliwie, jak ów Goliat z obozu Filistynów, że „dalsze wypowiedzenia wojny jeszcze się przyjmuje". Powiedziałem, że bronił tego przekonania swego z uporem, bo tak wielu to przekonanie jego nazywało, ale w tym wypadku był to jakiś proroczy upór i na szczęście, sprawdził się.

Mój Boże, jakże byłby się dzisiaj cieszył, widząc Polskę oddychającą całym prawie historycznym obszarem swej wolnej i rozkutej z łańcuchów piersi.

Atoli Bóg chciał inaczej. Ostatni atak serca, chociaż przyszedł nie nieprzewidywany, jednak prawie że niespodzianie. Na cztery dni przed śmiercią prosił ś. p. ks. Sosnowski, żeby go zaopatrzono świętymi Sakramentami i spokojnie oczekiwał tego, co Bóg da. Dał śmierć. Była bardzo spokojna i raczej do zaśnięcia podobna, chociaż ciało wyglądało bardzo mizernie, bo skołatane atakiem i wycieńczone jeszcze innemi chorobami, które się nagle wywiązały. Przy jego śmierci byliśmy prawie wszyscy obecni, odmawialiśmy modlitwy za konających. Tak spokojnej śmierci i tak łagodnego przejścia do wieczności, bo prawie z uśmiechem na ustach i bez żadnego konania, jeszczem, doprawdy, nie widział.

Za wszystko, co zdziałał dobrego, a zwłaszcza za to, co z miłości dla Boskiego Dzieciątka robił dla biednych, opuszczonych dziatek pogańskich, i za to ciche, powolne spalanie się w ogniu chęci i usiłowań nawet ponad siły paraliżowanych ustawicznie fizyczną niemocą, niech mu Bóg da niebo.

Ks. Sylwester Graczyk.

Ś. p. ks. Feliks Dejewski.

Nielitościwa śmierć, która w ubiegłem pięcioleciu skosiła tysiące i miljony istot ludzkich, nie oszczędziła także polskiej prowincji Zgromadzenia Misji. Bezpośrednio skutkiem działań lub trudów wojennych zmarło wielu naszych kleryków i braci; z liczby zaś tych, którzy z wojną w bezpośredniej nie byli styczności, ubyło nam także kilku; ci zakończyli życie zapewne dlatego, ponieważ nie zdołali przetrzymać ogólnego wyczerpania fizycznego i psychicznego, jakie w tym okresie we wszystkich krajach wystąpiło na jaw. Do liczby tych ostatnich należy także ś. p. ks. Feliks Dejewski. Pierwsza to ofiara, jaką poniosła najmłodsza latorośl naszej polskiej prowincji, daleka ziemia brazylijska.

Ks. Feliks Dejewski urodził się dnia 20 listopada 1881 r. w Topolinku (parafja Topolno, w diecezji chełmińskiej), z ojca Jana i z matki Marjanny Śmiechalskiej. Wcześnie osierociały wychowywał się u swej ciotki. Początkowe nauki pobierał w miejscu rodzinnem. Wykształcenie gimnazjalne odebrał w Małem Seminarjum księży Misjonarzy w Krakowie na Kleparzu (rok 1895—1896) i na Nowej Wsi (1896—1898). Seminarjum i dalsze studja gimnazjalne odbył na Kleparzu (1898—1901) i na Stradomiu, gdzie po ukończeniu nauk gimnazjalnych i filozoficzno-teologicznych otrzymał stopniowo święcenia niższe i wyższe, wreszcie na kapłana został wyświęcony przez ks. biskupa Anatola Nowaka, dnia 21 stycznia 1906 r. Śluby święte złożył ks. Dejewski dnia 17 lutego 1901 r., na Kleparzu w obecności ówczesnego dyrektora kleryków ks. Józefa Gaworzewskiego.

Ks. Dejewski obdarzony był przez Pana Boga wielu przymiotami naturalnymi. Miał on przedewszystkiem jeden cenny dar, wielce potrzebny w życiu czynnem misjonarskiem, t. j. zdrowie. Nie pamiętamy, czy on kiedykolwiek poważnie chorował. Obok zalet fizycznych nie brakło mu także przymiotów duszy. Był temperamentu żywego, usposobienia wesołego, ogromnie towarzyski i umiał zjednać sobie ży-

czliwość przełożonych i kolegów swoim pogodnym humorem nierzadko dowcipem. Już na ławie szkolnej, w latach, kiediy dusza studenta dopiero zwolna się kształtuje, on wyrobił sobie wcześnie pewną samodzielność, śmiałość i odwagę; dlatego lubiał bardzo wszelkie występy publiczne. W przedstawieniach teatralnych, które ś. p. ks. Wdowicki zaprowadził w Małem Seminarjum na Nowej Wsi i które swego czasu ściągały licznych widzów z naszych trzech domów krakowskich, ks. Dejewski zawsze odgrywał jakąś rolę, przeważnie króla lub wodza. Zdrowie fizyczne pozwalało mu również należeć do orkiestry studenckiej, którą swoją grą na waltorni dzielnie wspierał. Chór śpiewacki kleryków, również jemu wiele zawdzięczał, bo ks. Dejewski swoim potężnym basem dawał zawsze innym głosom solidną podstawę. Ile razy klerycy urządzali jakiś poranek czy wieczorek wokalno-deklamacyjno-muzyczny (a zdarzało się to wówczas bardzo często, pięć albo sześć razy do roku), to zawsze wśród deklamatorów widziałeś ks. Dejewskiego, którego talenta wcześnie zapowiadały, że dzielny kiedyś z niego będzie kaznodzieja i misjonarz.

To też kiedy po otrzymaniu święceń kapłańskich przyszła dlań pora, aby rozpocząć pracę, wtenczas sam dobrowolnie zgłosił się u swoich przełożonych i wyraził życzenie, że chciałby pojechać het daleko za morze do osad polskich na ziemi brazylijskiej, gdzie świeżo przed kilku laty polscy Misjonarze założyli swoje posterunki. Snać czuł głos Boży, powołujący go do tak trudnej pracy; a także jakiś mimowolny instynkt pchał go do tej pracy misyjnej w tak odległych krajach. Ks. Dejewski nie był stworzony na to, by prowadzić życie siedzące i mozolnie ślęczeć nad książką (aczkolwiek książkę bardzo lubiał, rozmiłowany był zwłaszcza w polskiej literaturze i za oszczędzony grosz zebrał z czasem pokaźną biljoteczkę), ale jego temperament potrzebował rozmachu. Za ciasno mu było w przecywilizowanej Europie; w odwiecznych borach brazylijskich czuł się w swoim żywiole, do nich w chwilach wolnych od pracy misjonarskiej

się wyrywał. Odbywając dalekie wycieczki misyjne, pieszo, konno lub łódką, mógł rozkoszować się pięknem przyrody i podziwiać cuda Boże.

A do tej pracy tak się przywiązał, iż bynajmniej nie tęsknił za starą Europą. Widocznie głębokie tam na dalekiej obczyźnie zapuścił korzenie. Niestety, bliższych wiadomości o jego misjonarskiej działalności na razie nie posiadamy. Wiadomo tylko, że od czerwca 1906 r., pracował w Thomas-Coelho, od sierpnia 1908 r. w Rio Claro, poczem przez wiele lat mieszkał w Abranches. Musiała to być jednak praca wyczerpująca, kiedy mimo tak młodego wieku, wnet jego siły zostały podcięte. Nowa choroba, która w latach ubiegłej wojny wszędzie grasowała, powaliła także i tego zdrowego Misjonarza. O chorobie i ostatnich chwilach jego życia posłał ks. Bronny z Prudentopolis dnia 20 lutego 1919 r. ks. wizytatorowi Słomińskiemu, następujące szczegóły: „Ś. p. ks. Dejewski wybrał się, już chory na grypę, do Prudentopolis na odpust na 1 grudnia; w drodze choroba się wzmogła; przyjechawszy na miejsce bagatelizował sobie hiszpankę, do łóżka żadną miarą nie chciał iść. Dopiero po długich namowach usłuchał, ale już było za późno. Choroba zaatakowała mu płuca; serce, na które cierpiał, odmówiło mu posłuszeństwa, i tak biedak, przyjechawszy pierwszy raz do Prudentopolis, nie zobaczywszy go nawet, umarł po dwóch tygodniach ciężkiej choroby dnia 13 grudnia 1918 r. Robiliśmy wszystko, lekarz prawie nie odstępował, ale inne były zamiary Boże".

Miejmy nadzieję, że za to heroiczne poświęcenie, jakie ś. p. ks. Dejewski okazał, gdy ofiarował się do misyj zamorskich, Pan Bóg obdarzył go koroną wiecznej chwały. *Euge serve bone, intra in gaudium domini tui.*

Ks. Maksymiljan Wroński.

Ś. p. Siostra Józefa Żelazowska

zmarła 6-go sierpnia 1917 r., w Domu Centralnym w Krakowie, licząc lat 30 życia — powołania 10.

W życiu naszej kochanej zmarłej niema nic zdaje się, coby na szczególną zasługiwało uwagę, tem mniej nic nadzwyczajnego do zanotowania; a jednak przestając z nią ściśle przez cały niemal przeciąg jej krótkiego życia w Zgromadzeniu, zauważyłam piękne przykłady drobnych cnót i wielką delikatność sumienia, która ją cechowała od najmłodszych lat, jak to wspominają osoby, które ją wtedy znały. Był to charakter poważny i wyrobiony. Toteż nie było w jej usposobieniu chwiejności i postępowała otwarcie, okazując śmiało swoje postanowienie, nie obawiając się sądów ludzkich. Taką była już w pensjonacie Sacré Coeur (w Pressbaum) gdzie dane jej pierwsze podstawy pobożności i poświęcenia dalej się potem rozwinęły w tej czystej duszy. Tak zakonnice, które ją wychowywały, jak i jej towarzyszki, dowiedziawszy się o jej zgonie, jednogłośnie tę wytrwałość w cnocie i w wypełnianiu obowiązków jej przyznają. Pisały mianowicie, „że ś. p. Józia wcześnie oddała się już całkiem Bogu, że wierność jej i obowiązkowość, była dla wszystkich przykładem, toteż w zupełności mogły się na nią spuścić jej mistrzynie i na nią liczyć, a zwykle powierzano jej najtrudniejsze dzieci w pensjonacie“. Tak pisze jedna z matek, dawna jej młodsza towarzyszka pensjonatu: „Uderzała mnie zawsze jej iście anielska cierpliwość z jaką znosiła niespokojne a czasem i trochę dokuczliwe sąsiadki przy pulpicie lub sali naukowej. Aby wypróbować cnotę „niebieskiej wstążki“, tę bowiem oznakę nosiła droga siostra, dzieci nieraz naumyślnie głupstwa wyprawiały, aby jej w pracy przeszkodzić, lecz usiłowania ich były daremne, nigdy Józi z równowagi i spokoju wyprowadzić nie mogły.

Wątłe już wtedy bardzo jej zdrowie, bywało nieraz przyczyną dolegliwych cierpień fizycznych, mimo to, twarz Józi zawsze była równie miła, spokojna i pogodna; podziwiałyśmy w niej, to zupełne wyzucie się u siebie na drodze

obowiązku, z miłości dla Pana Jezusa. Ona w zupełności w czyn wprowadziła naszą dewizę pensjonatu: „obowiązek przedewszystkiem, obowiązek zawsze“. Podziwiałam jej wielką wierność dotyczącą najdrobniejszych przepisów regulaminu. Jeżeli chodziło o spełnienie obowiązku to S. Żelazowska, nie kierując się względami ludzkimi szła prosto do celu, mimo, że przy tem nieraz z niechęcią koleżanek spotkać się trzeba było.

To też w roku jubileuszowym 1904, zasłużyła sobie na medal Dziecka Marji i była, jak pisze o niej jedna z Matek, jej kilkoletnia mistrzyni: „prawdziwą i gorliwą kongreganistką“. Wspomnienia z pobytu w Pressbaum, były jej zawsze bardzo miłe, nieraz mówiła o czcigodnych matkach, które ją wychowywały, a zawsze z głęboką wdzięcznością. Stamtąd też wyniosła gorące, a zarazem praktycznie potem zastosowane w życiu, wielkie nabożeństwo do Najśw. Serca P. Jezusa, które w ostatniej chwili było jej ucieczką i pociechą.

Wakacje przepędzała zwykle w Moszczanach, w którym to domu dzieckiem jeszcze będąc, mieszkała jakiś czas przy chorej matce. Wtedy już okazywała wiele serca ubogim i dzieciom zakładowym, a chcąc zachować post piątkowy, prosiła aby z niemi jadać mogła, żeby nie przełamywać postu, jedząc z chorą matką. Zdala od rozrywek i zabaw świata w czasie wakacji chętnie pomagała Siostrom w pracy około ubogich i chorych. Potem, gdy odezwała się i dojrzała w niej myśl o powołaniu, odbyła tam postulat. „Posłuszna, pobożna i gorliwa, panna Józia budowała zawsze wszystkich swą jednostajnością humoru i wesołością; lubiano ją ogólnie, a dla każdego miała uśmiech i słówko uprzejme.

Zajęcie jej w sekretarjacie, gdzie pozostawała blisko lat dziewięć, choć bardzo monotonne i wymagające wielkiej akuratności, nigdy się jej nie sprzykrzyło. Ona starała się zawsze wszystko zrobić dobrze i z największą sumiennością. Mając powierzoną sobie korespondencję aspirantek, skrzętnie zapisywała, by też najdrobniejszy szczegół, tyczący się ich usposobienia lub wykształcenia, gdy tylko sądziła, że to może

być kiedyś przydatne. Pragnęła stosować się do tak często powtarzanego zalecenia najprzewielebniejszej matki „aby one mogły być nam znane niejako od kolebki" i cieszyła się, gdy zanotować mogła o zgłaszających się do Zgromadzenia dokładne i jasne informacje.

Porządek jej w powierzonem zajęciu był niejako odbiciem wewnętrznego porządku, który panował w jej duszy. Ta dokładność we wszystkich najdrobniejszych czynnościach, czy w proszeniu o pozwolenia, czy w naprawianiu ubrania, czy w sprzątaniach, w których pomimo tak słabego zdrowia, miała szczególne upodobanie, a przedewszystkiem wielką skrupulatność w odprawianiu ćwiczeń i przystępowaniu do Sakramentów św. było cechą charakteru kochanej naszej siostry.

Gdy już zapadła ciężko na zdrowiu, długo nie mogła pogodzić się z myślą, że nie będzie już czynną; łudziła się, jak zwykle suchotnicy, że jeszcze się podniesie i pracować będzie choć trochę w urzędzie.

W ostatnią noc przed śmiercią, widocznie lęk ją ogarnął lecz powiedziała, patrząc na wizerunek Serca Pana Jezusa, zawieszony u łóżka: „Pan Jezus jest przedemną, jest przy mnie, On jest zawsze zemną". I był z nią Pan Jezus rzeczywiście do ostatniej chwili, gdyż rano na tyle przytomną jeszcze była, że mogła Go przyjąć w Komunji św. jako zasiłek na tę prawdziwą drogę i podróż do wieczności.

Około 10 godziny rano, słabnąc coraz więcej, odpowiadala jeszcze na wezwania litanji do Najśw. Serca; potem zaczęto odmawiać koronkę, ale prosiła siostrę ekonomkę, która się ze Siostrami przy niej modliła, aby nie mówiła sama, chcąc przez to zapewne wyrazić, że nie chce, aby się tem zmęczyła. Ostatnia chwila już się zbliżała, chora zaczęła gasnąć pomału i w czasie koronki do Niepokalanego Poczęcia Najśw. Panny, zasnęła spokojnie, aby wejść do tej radości wesela pańskiego, przyobiecanego tym, którzy nad małem wierni byli.